

JERZY STUHR
JAK BARDZO JEST WINIEN?



WIELKA WODA, CZYLI KONIEC PRL



ROZPRAWA Z LICHWĄ
CORAZ BLIŻEJ

PYZA I WIKŁO:
SAMOBÓJ TUSKA
ILE PRAWDY W ZARZUTACH O PRZYJĘCIE 600 TYS. EURO ŁAPÓWKI W REKLAMÓWCE Z BIEDRONKI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 43 (517) 2022
24–30 października 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

JACEK SARYUSZ-WOLSKI

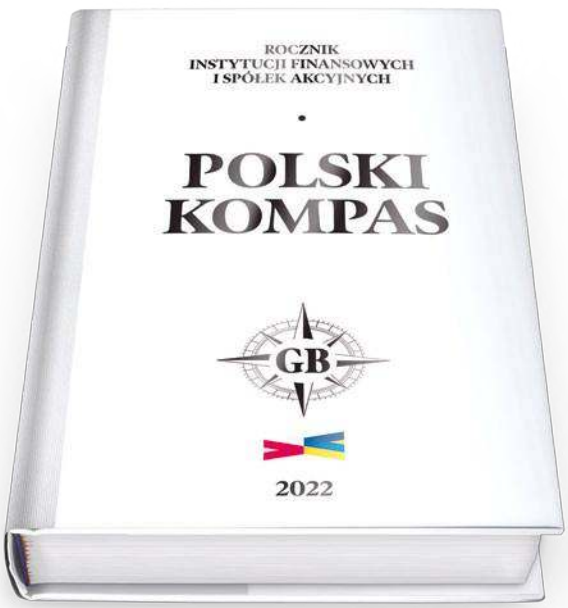
POWIEM WAM, JAK WYGRAĆ Z UNIJNYM BEZPRAWIEM

JEST SIEDEM ARMAT, Z KTÓRYCH MOŻEMY STRZELAĆ

INDEKS 287393 ISSN 2544-2694
43
9 772544 269205

POLSKI KOMPAS 2022

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH



Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na gb.pl oraz App Store i Google Play juz teraz!

PARTNER ZŁOTY:

PARTNERZY GŁÓWNI:

PARTNERZY:

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

eprasa.pl a228ebe70a

Komisja ryzykuje więcej, niż sądzi

Nie mamy pewności, czy po faktycznym zablokowaniu należnego nam – i już zaakceptowanego – Krajowego Planu Odbudowy Komisja Europejska rzeczywiście szykuje uderzenie w przysługujące Polsce główne fundusze unijne. Na razie mamy z jednej strony dość mgliste sygnały prasowe, z drugiej brak formalnego komunikatu oraz uspokajające zapewnienia niektórych polityków unijnych i polskich. Doświadczenie ostatnich lat mówi jednak, że bardzo często scenariusz był bardzo podobny: najpierw medialne wrzutki, często oparte na anonimowych doniesieniach, a później uderzenie zgodne z tymi zapowiedziami. Trzeba więc być gotowym również na najgorsze wieści.

Komisja Europejska działa w sposób czysto polityczny. Jeszcze 18 września odpowiedzialny za budżet Unii komisarz Johannes Hahn jasno stwierdził, że domniemane polskie przewiny w sferze sądownictwa nie są bezpośrednim zagrożeniem dla funduszy unijnych, więc mechanizm warunkowości nie zostanie uruchomiony. Teraz, jak się wydaje, mamy powolny odwrót od tego stanowiska. Sens jest jasny: skoro blokada KPO nawet w tych trudnych warunkach gospodarczych i geopolitycznych nie rozstrzygnęła jednoznacznie kwestii wyniku wyborów w 2023 r., a PiS zachowuje szanse na zwycięstwo, to trzeba przyłożyć mocniej.

Komisja – czy też raczej owe głębokie struktury, które rządzą Unią – sądzi zapewne, że uderzając w główne fundusze, wywoła efekt taki jak na Węgrzech w ostatnich tygodniach, po ogłoszeniu zastosowania mechanizmu warunkowości: załamanie forinta, problemy z długiem, obawy o recesję. W istocie mamy więc do czynienia z uderzeniem w złotego po to, by do problemów inflacyjnych, także nakręcanych nieelastyczną polityką Brukseli, oraz problemów wynikających z naszej pomocy dla Ukrainy (państwo frontowe) dołożyć problemy walutowe. Skoro zadziałało na Węgrzech, ma zadziałać i w Polsce. Ale to oczywiście nic pewnego. Mamy znacznie więcej rezerw, wyraźnie mniejsze zadłużenie, jesteśmy kilkukrotnie większym państwem i możemy się skuteczniej i dłużej bronić. I będziemy to robić.

Komisja działa w kontekście wyborów, które przypadają równo za rok. Spieszy się, by pomóc pozbawionej programu, histerycznej i totalnej opozycji, która – co już czuć – przegrzewa się na wielu polach, wzmacniając swoją niewiarygodność, szykując sobie kolejną klęskę w boju, w którym na stole będą leżały – co ostatnio podkreślił Jarosław Kaczyński – tylko dwie czytelne propozycje. Kalendarz związany z nadchodzącymi wyborami działa jednak także na rzecz obozu rządzącego: rok bez funduszy można wytrzymać. To nic przyjemnego, ale to rzecz do przejścia.



Najważniejsze jest jednak co innego: wypowiadając Polsce wojnę totalną, w czasie politycznego starcia o wszystko, komisja ryzykuje totalną odpowiedź. Polski obóz rządzący nie pozwoli sobie – jestem przekonany – założyć stryczka na szyję w milczeniu i pokorze, ale będzie walczył do ostatniej kropli krwi. O niepodległość, o demokrację, o prawo do rządzenia Polską. I będzie czuł się – słusznie – zwolniony z różnego rodzaju lojalności, które do tej pory starannie wypełniał. Będzie też musiał szukać pieniędzy, a można je znaleźć na dużą skalę właśnie w obszarach, których do tej pory nie ruszano, kierując się dążeniem do kompromisu.

Jak to się skończy, trudno powiedzieć, ale być może to komisja kopie pod sobą głęboki dołek. Być może już wkrótce po imperialnych planach centrum brukselsko-berlińsko-paryskiego zostaną gruzy i pojawi się szansa powrotu do źródeł, do prawdziwej idei europejskiej. Europa drży, ważne zmiany polityczne zachodzą w wielu krajach i wszystko może się stać katalizatorem wybuchu. Wszystko, czyli także nasza, polska batalia o prawo do wyboru takiego rządu, jakiego sobie życzymy.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI

spis treści



36 *Siewcy strachu*
Dariusz Matuszak



46 Walki miejskie
Konrad Kołodziejski



50 Rozwiązać problem Białorusi
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MUREM ZA STUHREM**
Krzysztof Feusette

9 **MAŁE DZIECI, MAŁY PROBLEM**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SEN O POLSCE**
Jan Pietrzak

12 **DZIECI RÓŻOWEGO TYGRYSA**
Piotr Cywiński

13 **TUSK Z USZAMI**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA ELŻBIETY KRÓLIKOWSKIEJ-AVIS**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **TRADYCJE EKSPANSJONISTYCZNE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **WOJNA SIĘ SKOŃCZYŁA, WOJNY NIE MA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **Z JACKIEM SARYUSZ-WOLSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

26 **SAMOBÓJ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

32 **PAŁA NA POLSKĘ**
Stanisław Janecki

36 **SIEWCY STRACHU**
Dariusz Matuszak

38 **NORYMBERGA?**
Wojciech Bierdoń

40 **KORWIN, CZYLI ZARABIANIE NA POLITYCE**
Jakub Augustyn Maciejewski

42 **LAMPECZKA DLA ZDROWIA?**
Dorota Łosiewicz

46 **WALKI MIEJSKIE**
Konrad Kołodziejski

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

50 **ROZWIĄZAĆ PROBLEM BIAŁORUSI**
Marek Budzisz

53 **KAŻDEGO DNIA WIDZIMY OGROMNĄ LUDZKĄ KRZYWDĘ**
Rozmowa Andrzeja Skwarczyńskiego

HISTORIA

56 **KLĘSKA, KTÓREJ WŁADZA NIE ZAUWAŻYŁA**
Wojciech Lada

ŚWIAT

60 **ABORCYJNE WYBORY W AMERYCE**
Jan Rokita

64 **MISJA MISS UNIVERSE**
Grzegorz Górny

66 **PACYNKA BERLINA?**
Aleksandra Rybińska

68 **KONIEC ATLANTYCKIEJ JEDNOŚCI**
Jan Parys

OPINIE

70 **ROSJA W PANSLAWISTYCZNYM ZWIDZIE**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

77 **CZERWONY FOTEL LANBERRY**
Jolanta Gajda-Zadworna

79 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

80 **POTRAFIMY. „ORZEŁ. OSTATNI PATROL”**
Artur Kolęda

82 **WOJNA PRZED NAMI**
Robert Tekieli

83 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

84 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

86 **GDY LICHWA POŻERA LUDZKIE ŻYCIA**
Piotr Filipczyk

SPORT

94 **POLSKI SPORT WŁAŚNIE DOSTAŁ SWOJE DAVOS**
Maksymilian Wysocki

PODRÓŻE

96 **MOJE SZLAKI: GERARD DEPARDIEU**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

97 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

98 **PORA ANIOŁÓW**
Hanna Karp

100 **STAWIAM NA MŁODYCH**
Alina Czerniakowska

102 **48 GODZIN**
Wiktor Świetlik

102 **SZKOŁA PRZETRWANIA**
Lech Makowiecki

104 **PRZYGRYWKA PRZEDZADUSZNA**
Leszek Długosz

106 **WOLNE SĄDY, CZYLI Z DESZCZU POD RYNNĘ**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 27/0822/F

eprasa.pl a228ebe70a



envifill®

Linia polimerów biodegradowalnych i kompostowalnych

Nawet do 100% udziału składników bioodnawialnych w granulatach **envifill®**. Kompozycje nie zawierają żadnych plastyfikatorów.

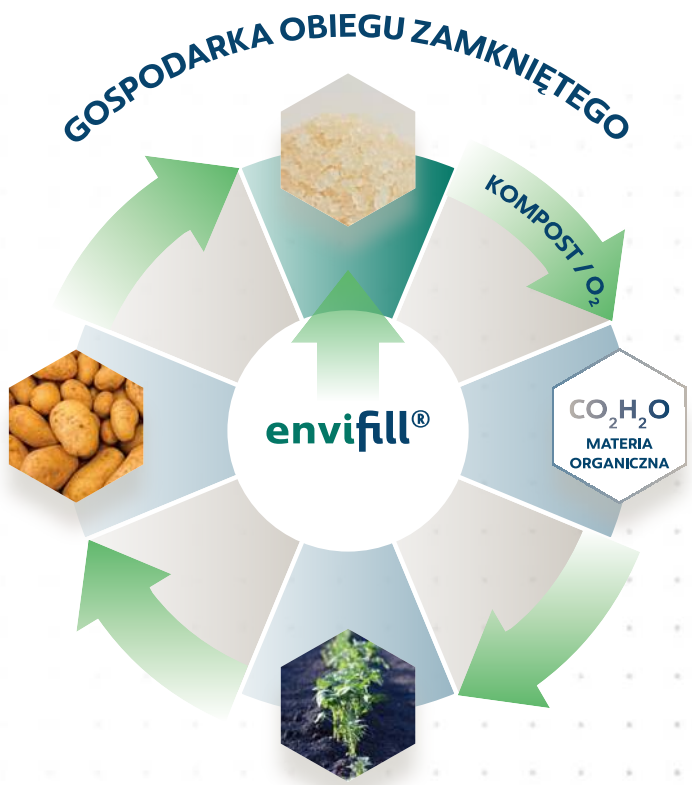
Granulaty **envifill®** wytwarzane są wyłączne ze składników roślinnych, biodegradowalnych i kompostowalnych. Ich rozkład w glebie / kompoście zachodzi w obecności mokroorganizmów, wyłącznie do CO_2, H_2O i biomasy, nie pozostawiają mikroplastiku.

Granulaty **envifill®** to kompozycje biodegradowalne i kompostowalne zgodnie z normą EN 13432, spełniające wymagania w zakresie kontaktu z żywnością zgodnie z Regulacją 10/2011.

Produkty marki **envifill®** przeznaczone są do przetwórstwa metodami wytłaczania i wtryskiwania, przy użyciu konwencjonalnych urządzeń do przetwórstwa tworzyw sztucznych.

Możliwe zastosowania granulatów envifill®

- Wytłaczanie folii płaskich, z rozdmuchem oraz do termoformowania
- Wytłaczanie rurek oraz żyłki do kosiarek
- Wtryskiwane opakowania: spożywcze, przemysłowe, higieniczno-kosmetyczne, naczynia i sztućce
- Wtryskiwane drobne elementy - plomby zabezpieczające, opaski
- Wyroby spieniane
- Lepiszcze i klej termotopliwy w przetwórstwie materiałów drewnopochodnych i celulozowych



grupaazoty.com

GRUPA AZOTY

eprasa.pl/a228ebe70a



Sygnalista nadaje

Janusz Lewandowski to człowiek, który symbolizuje brutalną, bardzo często bezsensowną wyprzedaż majątku narodowego w latach 90. Teraz w Radiu Zet zadano mu proste pytania: dlaczego Niemcy mogli subwencjonować stocznie, a Polacy nie? „Te stocznie były niewydolne. To nie jest tak, że ktoś się godził" – odpowiadał Lewandowski. Dlaczego w Niemczech sprawy potoczyły się inaczej? „Niemcy dość sprytnie, zanim weszły pewne reguły dotyczące konkurencji w UE, rzeczywiście subwencjonowali swoje stocznie. Myśmy robili to w dużo marniejszym stylu" – mówił. Dlaczego zatem Polska tego nie zrobiła? „Czasami większy może więcej" – wyjaśnił europoseł PO. Aha. Ale to nie była szczera wypowiedź. Zdaniem Platformy największy kraj w Europie zawsze może wszystko. Nigdy się nie sprzeciwią.

Dla dobra Niemiec politycy Platformy gotowi są nawet fałszować najnowszą historię. Poseł Robert Kropiwnicki przekonywał w TVP Info, że Niemcy heroicznie zwalczały swoje uzależnienie od rosyjskich surowców. „Niemcy korzystali z taniego, ruskiego gazu, ale równocześnie robili wszystko, żeby się oderwać od tego gazu. I dzisiaj nie mają" – przekonywał. Później, już w mediach społecznościowych, dodał: „Drogi PiS, Solidarna Polsko, opamiętajcie się! Mam dość szczucia na Niemcy! Róbcie politykę, ale przestańcie szczuć, robicie wrogów z UE, z Niemców, chcecie przykryć tym waszą nieudolność, ale już wystarczy. To może się źle skończyć, mało wam jednej wojny u naszych granic?". To ci wspaniali Niemcy, którzy wzorowo przepracowali swoją winę, są zdolni do wywołania kolejnej wojny?

Agnieszka Holland o Jerzym Stuhrze, który prowadząc samochód pod wpływem alkoholu, potrącił motocyklistę: „Ja jestem przeciwna przekraczaniu prędkości i jeżdżeniu pod wpływem. Faktem jest, że – jak to mówią – nie wypił za dużo, we Włoszech by to przeszło, ale nie powinien tego robić, zwłaszcza że jest w takim wieku, że trzeba szczególnie uważać za kierownicą. Może ma słabszy refleks. A ja wiem coś o tym". Kiedyś w Polsce też by przeszło, ale czasy się zmieniły. Na szczęście.

Arkadiusz Mularczyk przypomniał, że „gest i komentarze Brandta nigdy nie były skierowane do Polski ani Polaków". „Co więcej, puste gesty nigdy nie zastąpią koniecznego rozliczenia. Zamiast pozowania do kamery prawdziwy postęp dyplomatyczny dokonuje się przez formalne negocjacje i dialog!" – podkreślił poseł PiS, którego zespół przygotował raport o polskich stratach wojennych. Odpowiedział ambasador Niemiec Thomas Bagger: „Ludzie nieprzejednani nie zdołają zniszczyć dzieła pojednania tak wielu odważnych i szlachetnych Polaków i Niemców". Mularczyk ripostował: „Symboliczny gest pojednania wobec narodu wymordowanych i ograbionych nie zastąpi prawdziwego i uczciwego rozliczenia przeszłości". Tak, niemiecka odmowa w sprawie reparacji relatywizuje i podmywa także to, co w postawie Niemiec wobec Polski uważano dotąd za cenne.

Szymon Hołownia przebił samego siebie. Poinformował, że członkowie jego partii odwiedzają biura posłów koalicji rządzącej i przyklejają na drzwiach lokali faktury za rządy PiS. „Żeby im przypominać, pokazać skalę tego, co robią, żeby rozliczyć się z nimi za to, co nam zabrali" – mówił lider Polski 2050. W wystawionej przez Hołownię fakturze za rządy PiS do zapłaty jest łącznie 318,67 mld zł. Na tę kwotę składają się koszty związane z m.in. nowymi instytutami państwowymi, karami za Turów i za Izbę Dyscyplinarną, wyborami kopertowymi, KPO, CPK i budową Pałacu Saskiego. Czyli groch z kapustą. I jasny przekaz: Hołownia widzi Polskę w 2050 r. nie wielką, dumną i bogatą, ale małą, za-

eprasa.pl a228ebe70a

kompleksioną i biedną. Inwestować w swój kraj to mogą Niemcy albo Francuzi, Polacy mają albo emigrować, albo pracować za nędzne grosze.

Hołownia szczególnie ostro zaatakował odbudowę Pałacu Saskiego: „Wytłumaczcie mi, po kiego grzyba nam dzisiaj w Polsce Pałac Saski? Czy szykuje się restytucja saskiej monarchii? August III wróci z Saksonii i będzie dzisiaj panował w Polsce? Senat nie ma gdzie się podziać? To niech wynajmie lokal na mieście". To chyba wspólna linia opozycji, bo w tym samym czasie Małgorzata Kidawa-Błońska z PO mówiła tak: „To ma być odbudowywanie polskiej kultury? Wybudowali to Rosjanie jako nasi zaborcy. Ani nigdy nie było to historycznie związane z Polską". Za chwilę powiedzą, że wyburzając Pałac Saski, niemiecki okupant w istocie upiększył Warszawę.



Gdy ***Donald Tusk*** zapowiedział konferencję w sprawie afery podsłuchowej po kuriozalnych doniesieniach jednego z tygodników, Maciej Wąsik poradził mu, by zabrał z sobą ***Radosława Sikorskiego***, ponieważ „pewnie dziennikarze mają do niego kilka pytań na temat obcego alfabetu". Sikorski zareagował tak: „Powiedz, knurze, to, co insynuujesz otwartym tekstem. Obiecuję dać szansę udowodnienia w sądzie. A jak nic nie masz albo się boisz, to się zamknij". Cytuję te ordynarne zdania byłego szefa MSZ, by pokazać, jak nisko upadł i jak nędzny poziom dziś reprezentuje. Pewnie zawsze taki był, ale kiedyś trochę się kontrolował. Cóż, styl życia zawsze ma swoje konsekwencje. Wcześniej czy później.



Janina Ochojska zamieściła w mediach społecznościowych zdjęcie, na którym pozuje na tle tzw. ścianki podczas Kongresu Kobiet we Wrocławiu. Ścianka jest... specyficzna, bo złożona z kartonów z wypisanymi hasłami. Wystarczy chwila, by się zorientować, że dominują wśród nich wulgaryzmy skierowane do rządu Zjednoczonej Prawicy, głównie te kojarzone z gwiazdkami, oraz brutalne hasła feministyczne. Ale Ochojskiej się podobało. „Ściana haseł na XIV Kongresie Kobiet we Wrocławiu. Była MOC. Co ja mówię... JEST MOC" – emocjonowała się europosłanka KO. Lewacka zaraza dotyka wielu, ale dlaczego tacy ludzie jak Ochojska chcą żyć w takim szambie? Dlaczego z wiekiem idą w stronę zwykłego chamstwa? Jest w tym jakaś tajemnica.



Włodzimierz Cimoszewicz w rozmowie z Onet.pl tłumaczył się ze swojej biografii. „Mam świadomość, że do 1989 r. byłem po złej stronie, jednak wstąpiłem do PZPR, kiedy Gierek doszedł do władzy. Sentyment do gierkowskich czasów przecież ciągle jest w narodzie" – stwierdził były premier. I dodał: „Rzeczywistość była bardziej złożona, niż nam się wydaje. Jeśli dzisiaj słyszę tego, za przeproszeniem, bęcwała, który odpowiada za edukację i naukę, mówiącego o prezydencie Kwaśniewskim, że ten jest komunistą, to wiem, że rządzą Polską prymitywni, chamscy ludzie". A także: „Trzeba pamiętać, że ludzi, którzy w latach 60. i 70. sprzeciwiali się tej ówczesnej rzeczywistości, było tylu, co kot napłakał". To zależy, w jakich kręgach człowiek się obracał. W kręgu Cimoszewicza rzeczywiście było ich niewielu.



Ojciec Cimoszewicza był przed II wojną światową agentem NKWD, w czasie wojny służył w Armii Czerwonej, a w PRL pełnił wysokie funkcje w Informacji Wojskowej i WSW. Były premier przytoczył historię mającą postawić jego ojca w dobrym świetle. „Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy zgłosił się świadek, człowiek, który był aresztowany przez Informację Wojskową i powiedział, że porucznik Cimoszewicz poinstruował go wtedy, co ma zeznawać, żeby wykaraskać się ze swoich tarapatów. To jest jedyny człowiek, który miał coś konkretnego do powiedzenia o moim ojcu i jego zachowaniu". Jeśli to były same anioły, to dlaczego tak wielu ludzi przeszło po wojnie przez piekło?

Jadwiga Emilewicz w rozmowie z PAP stwierdziła, że w Zjednoczonej Prawicy brakuje dziś podmiotu „ideowo bliskiemu dawnego Porozumienia, brakuje nieco konserwatywno-liberalnej twarzy". „Bardzo ubolewam, że projekt Porozumienie się rozpadł. W koalicyjnym, prawicowym bycie jest bardziej konserwatywno-narodowa Solidarna Polska, było konserwatywno-liberalne Porozumienie, które zajmowało się nieco innymi sprawami, odcieniami i dzisiaj takiego elementu w tej układance moim zdaniem brakuje" – przekonywała poseł klubu PiS. Może i takiego bytu brakuje, ale bez Gowina ZP ma się lepiej. Paradoksalnie zrobiło się dużo racjonalniej.

Sławomir Mentzen kilka dni temu objął stery partii KORWiN, wchodzącej w skład Konfederacji. W jednej z pierwszych wypowiedzi ogłosił, że nie zgadza się z tym kolegami, którzy wzywają do zatrzymania ukrainizacji Polski: „Uważam nasz naród i polską kulturę za na tyle silną, że spodziewam się raczej polonizacji Ukraińców niż ukrainizacji Polski. Nie rozumiem, czemu mielibyśmy obawiać się kobiet i dzieci, które tu uciekły przed wojną. Niech pracują na swoje utrzymanie. Wszyscy na tym zyskamy". To jednak optymistyczne, że czasem szaleństwo potrafi się cofnąć.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl a228ebe70a

Murem za Stuhrem



KRZYSZTOF FEUSETTE

Sędzia Iustitia Kasta: Proszę wstać, sąd idzie po autograf. Witam serdecznie oskarżonego, choć bardziej pokrzywdzonego, którego dorobek nie pozwala mi zwracać się inaczej niż „mistrzu". Czy wszystko w porządku? Jak mistrz się czuje między nami, zwykłymi śmiertelnikami?

Jerzy S. (zwany Mistrzem): Ciemność widzę, ciemność. Permanentna inwigilacja. Ale jestem szczęśliwy, że będzie mnie sądzić tak wolna sędzia jak sędzia właśnie. Właśnie, czy sędzia jest wolna? Dla kogo dedykacja?

Sędzia: Dla Iusticji. Zanim przystąpimy do przesłuchania, chciałabym pokrótce przypomnieć dokonania mistrza. Któż z nas nie oglądał „Seksmisji", nie wsłuchiwał się w rżenie Osiołka ze „Shreka"...

Mistrz: Przepraszam, ale ja mam jeszcze dzisiaj wywiad w TVN24 o wadach narodowych...

Sędzia: Rozumiem. A zatem jak to się stało, że ten szalony człowiek, bo każdy motocyklista jest trochę szalony, uderzył w mistrza samochód?

Mistrz: To był moment. Myślałem właśnie o praworządności, gdy nagle coś jak mnie nie walnie w bok auta...

Sędzia: Czy zna pan Piotra Najsztuba?

Mistrz: Oczywiście, wspaniały człowiek.

Sędzia: Czy zatem nie można mówić o pewnym podobieństwie obu wypadków? Jemu z nieokreśloną prędkością wtargnęła na pasy 70-letnia staruszka, a pana zaskoczył jakiś szaleniec, być może nawet członek któregoś z gangów motocyklowych?

Mistrz: Jakby wysoki sąd tam był.

Sędzia: Czy pan śpiewa?

Mistrz: Śpiewać każdy może. Owszem, zdarzyło mi się za kółkiem.

Sędzia: Co konkretnie?

Mistrz: „Widziałem orła cień".

Sędzia: Był pan trzeźwy?

Mistrz: Nigdy nie piję za kierownicą na planie.

Sędzia: A bez planu?

Mistrz: Proszę o powtórzenie pytania.

Sędzia: Czy często pan wsiada wtedy do samochodu?

Mistrz: Często nie wsiadam.

Sędzia: Czy zatem można uznać, iż podobnie jak w przypadku pani Kozidrak także pański dorobek piosenkarski może stanowić wystarczającą przesłankę do nadzwyczajnego złagodzenia kary?

Mistrz: Wolałbym mówić o aktorskim. Czy wysoki sąd w ogóle wie, z kim rozmawia? Kim jest mój syn? Czy sąd ma świadomość, że pisowcy chcieliby go przywiązać pod Cedynią do maszyny oblężniczej, a potem powiedzieć, że to zrobili Niemcy? Czy wysoki wie, że gdyby ktoś w tym nieszczęsnym wypadku zginął, mój złotousty junior opowiadałby o tym żarty?!

Sędzia: Ale po co te nerwy? Chwileczkę, bardzo proszę media o opuszczenie sali z powodu zagrożenia terrorystycznego! Pan zamknie drzwi, panie Jurku... A teraz proszę posłuchać: jestem niezawisła i nie dam panu krzywdy zrobić. Jednak w ramach obrony praworządności musi pan mi pomóc.

Mistrz: To co mam mówić?

Sędzia: Miał pan uprawnienia?

Mistrz: Głupie pytanie.

Sędzia: Wcale nie. Kraśko bez prawa jazdy przez kilka lat jeździł i tylko musi zapłacić. W końcu, jak mawia redaktor Żakowski, nie możemy rezygnować z autorytetów praworządności tylko dlatego, że złamały prawo. Badania techniczne?

Mistrz: Aktualne.

Sędzia: Też niedobrze. Cimoszewicz nie miał i żyje w Brukseli. Uciekał pan?

Mistrz: Oczywiście.

Sędzia: To tego nie mówić. Chciał pan pomóc ofierze?

Mistrz: Nie.

Sędzia: No, to odwracamy odpowiedzi. Chciał pan i nie uciekał. Zapamiętamy?

Mistrz: Proszę pani, ja w „Nocy listopadowej" grałem.

Sędzia: Zatem wznawiam rozprawę... Panie Jerzy, mistrzu nasz kochany, proszę przypomnieć, co mistrz zrobił, gdy ten zły człowiek z premedytacją uderzył w mistrza pojazd rozpędzonym jednośladem?

Mistrz: Hamowałem. Żeby mu pomóc.

Sędzia: Droga hamowania?

Mistrz: 700 metrów.

Sędzia: Czemu tak długa?

Mistrz: Bałem się, że mnie dogoni. To mógł być pisowski łowca autografów, a ja się brzydzę. Ja nawet żonie za granicą mówiłem: „Byle nie za głośno po polsku, mejne liebe...". To jest straszne społeczeństwo. Przepijają 500 plus, a potem kupują jakieś zasr...ne motory...

Sędzia: Czy zauważył pan coś podejrzanego?

Mistrz: Podejrzane było to, że ten człowiek, choć mógłby nie żyć, podniósł się nagle i z powrotem wsiadł na motocykl. Nie chciałem tego oglądać, gdyż szybko oddaliłem się z miejsca wypadku. Zgodnie z wytycznymi sędzi Gersdorf.

Sędzia: A czy policja panu pomogła?

Mistrz: Kazali mi dmuchać w balonik. Od początku mówiłem, że to bez sensu, bo ja mogę zagrać pijanego w każdym momencie.

Sędzia: Ile pan zagrał?

Mistrz: 0,7 promila.

Sędzia: Czemu akurat tyle?

Mistrz: Był kiedyś w Polsce serial „07 zgłoś się", więc pomyślałem, że jak tyle wydmucham, to uznają to za zgłoszenie.

Sędzia: Czego?

Mistrz: No, właśnie tego wypadku, którego w sumie nie zauważyłem, gdyż odjechałem zaraz po nim.

Sędzia: Miewa pan problemy z alkoholem?

Mistrz: Nigdy. Zawsze jest.

eprasa.pl a228ebe70a

Małe dzieci, mały problem

Zdecydowałam, że wracam do przedszkola – oznajmiła moja Anielka, świeżo upieczona pierwszoklasistka

Mamo, już zdecydowałam – zagadała mnie przy kolacji siedmioletnia Anielka ze śmiertelną powagą. Córka od września jest uczennicą pierwszej klasy. Zastanowiło mnie, czego może dotyczyć jej decyzja, a że dzieci ciągle męczą mnie o pieska, pomyślałam, że może wybrała rasę. – A w jakiej sprawie? – zapytałam. – Zdecydowałam, że wracam do przedszkola – oznajmiła świeżo upieczona pierwszoklasistka.

Przyznam szczerze, że mocno zaskoczyła mnie tą deklaracją. – To nie jest możliwe – tłumaczę jej. – Ale ja wszystko dobrze przemyślałam. Będę chodziła na czworakach. Przecież umiem – oznajmiła z poważną miną. Gdy zorientowałam się, że nie żartuje, wyjaśniłam, że etap przedszkola jest już za nią, teraz zaczęła się szkoła i edukacja potrwa jeszcze kilka lat. – A ile dokładnie? – chciała się dowiedzieć Anielka, która przecież właściwie dopiero się urodziła. Pamiętam, jakby to było wczoraj, walkę o jej życie, monitory, rurki wystające z jej ciała i ten przeraźliwy strach, że tę walkę możemy przegrać. Ale to już wszystko za nami. Córka ma się świetnie i właśnie jako ostatnia z moich latorośli rozpoczęła swoją prywatną walkę z systemem edukacji. Zastanowiłam się przez chwilę, co jej odpowiedzieć, i postanowiłam zbytnio jej nie dołować. – Przynajmniej z 10 lat – odpowiedziałam. Anielka spojrzała na mnie smutno znad talerza i z powagą skomentowała: – Tego się nie da zrobić.

Zanim zdążyło mi się zrobić żal dziecka, które jeszcze nie zrozumiało, że z tej ścieżki nie ma odwrotu, przypomniał mi się inny zabawny tekst jej starszej siostry, która teraz jest już w szóstej klasie szkoły podstawowej i która też kiedyś zbuntowała się na rzeczywistość i chciała zmienić bieg zdarzeń. Gdy przynieśliśmy Anielę ze szpitala, co miało miejsce mniej więcej miesiąc od urodzenia, bo tyle trwała walka o zdrowie najmłodszej, trójka rodzeństwa z entuzjazmem przystąpiła do zajmowania się siostrą. Gdy jednak okazało się, że Anielka sporo płacze i zabiera dużo naszej uwagi i czasu, pojawiła się Hania z niezwykle poważnym postulatem. – Mamo, to już najwyższa pora! – oznajmiła. – Na co? – chciałam wiedzieć. – Pakują – zaordynowała Hania. – Ale kogo? – Anielkę! Najwyższa pora, żeby wróciła do brzucha. Już się nią zmęczyłam! – oznajmiła. – To nie jest możliwe, już się tam nie zmieści – próbowałam wytłumaczyć. – I już na zawszę tu z nami zostanie? – nie mogła uwierzyć rozczarowana Hania.

Z tych rozmyślań o nieuchronności pewnych etapów w życiu wyrwał mnie głos syna. – Co jest, siostra, nie lubisz budy? – zapytał świeżo upieczony uczeń szkoły średniej. – No, nie bardzo. Tam jest nudno. Trzeba siedzieć w ławce i pisać, a ja nie lubię pisać – relacjonowała niezadowolona Aniela. – Bierz przykład ze mnie – zachęcił brat. I z wrażenia prawie spadłam z kanapy. Bo kilka lat wcześniej nad synem większość nauczycieli załamywała ręce, nie wróżąc mu świetlanej przyszłości. Mówiąc delikatnie – szkoła nie była jego wielką pasją. Ale gdzieś tam głęboko wierzyłam, że on swoje zamiłowanie do nowych technologii i komputerów przekuje w sukces i to, co jest słabością, będzie kiedyś mocną stroną. I się nie pomyliłam, bo syn dostał się do tego technikum, do którego chciał, i poszedł w tym kierunku, o którym myślałam. – Też nie znosiłem szkoły, ale tego nie da się uniknąć. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym będzie ci łatwiej – pocieszył najmłodszą mój rodzynek. A Anielka bez euforii powlekła się do biurka, by skończyć pracę domową z kaligrafii.



Zamyśliłam się nad tym, co można by zrobić, by szkoła była nieco przyjaźniejsza. Niedawno koleżanka opowiadała mi, że rówieśniczka Anielki, jej koleżanka z przedszkola, w podskokach biegła pierwszego dnia do szkoły. Niestety, wieczorem już nie była taka zadowolona. Gdy znajoma zajrzała do zeszytu, zobaczyła pracowicie rysowane przez córkę szlaczki poprawione i wyrównane czerwonym flamastrem. Niestety, system edukacji nie lubi odchyłów w żadną stronę. Z zadumy wyrwało mnie jednak szybko pytanie kolejnego dziecka: – Mamo, a skąd wiedziałaś, że się zakochałaś w tacie?

Dreszcz przebiegł mi po plecach. No, ale nie bez powodu mówią: małe dzieci – mały problem, duże dzieci – duży problem.

Dorota Łosiewicz

Tadżykistan

Bunt wiernego sojusznika



Władimir Putin i Emomali Rahmon, prezydent Tadżykistanu

Na poligonie w miejscowości Sołoti, który znajduje się w obwodzie biełgorodzkim nieopodal granicy Rosji z Ukrainą, dwóch Tadżyków wcielonych do rosyjskiego wojska zastrzeliło w koszarach 11 żołnierzy i raniło kilkunastu kolejnych. Wiadomo, że jeden ze „strzelców" przyjechał do Moskwy dopiero kilka miesięcy temu i najprawdopodobniej został „zmobilizowany" po jednej z łapanek, które przeprowadzono w moskiewskim metrze. Trafił więc do armii rosyjskiej wbrew własnej woli, a także niezgodnie z prawem, bo nie miał rosyjskiego obywatelstwa. Władze w Tadżykistanie już zapowiedziały dochodzenie i wyjaśnienie tragicznego incydentu, do którego doszło z punktu widzenia Rosji w najgorszym z możliwych momentów, kiedy chwieje się pozycja Moskwy w Azji Środkowej.

W czasie niedawnego szczytu Rosja – Azja Środkowa, który odbywał się w kazachskiej Astanie, Emomali Rahmon, prezydent Tadżykistanu, wprost zażądał od Putina bardziej równoprawnych relacji. „Jesteśmy małymi narodami, ale mamy własną historię i kulturę. Chcemy, by nas szanowano" – powiedział. Takie słowa z ust Rahmona mają swoją wagę, do tej pory bowiem Tadżykistan słusznie był uważany za jednego z najwierniejszych sojuszników Rosji w regionie. Dość przypomnieć, że Moskwa ma tam swoją bazę wojskową i kluczowe z punktu widzenia jej potencjału jądrowego instalacje radarowe. Jeśli teraz ten moskiewski sojusznik przestrzega Moskwę przed „powtórką błędów" z czasów ZSRR, kiedy lekceważenie interesów i opinii przedstawicieli republik środkowoazjatyckich doprowadziło do rozpadu państwa, to jego wypowiedź może świadczyć tylko o jednym – że pozycja Rosji słabnie. Państwa Azji Środkowej nie chcą już, by Moskwa traktowała je „hurtowo", ale – jak wprost oświadczył Rahmon – podchodziła do ich problemów i potrzeb indywidualnie. A zatem nie ma już jakiejś „rosyjskiej strefy wpływów", którą Moskwa stabilizowała, lecz są poszczególne państwa o różnych interesach, potencjałach i wizjach przyszłości.

Wypowiedź prezydenta Rahmona należy traktować jako zapowiedź zmian o charakterze tektonicznym. Rosja nie jest już postrzegana w kategoriach członka środkowoazjatyckiej wspólnoty, pojawili się inni wpływowi gracze i każde z państw regionu zaczyna uprawiać własną politykę, poszukując najlepszych konfiguracji. Obiektywnie rzecz biorąc, musi to prowadzić do osłabienia rosyjskich wpływów.

Marek Budzisz

Fot. IU Liquid and water photo/Shutterstock.com



Czerwone cesarstwo

Chiny

Centralizacja partii, państwa i gospodarki przez wykorzystywanie totalitarnych metod kontroli społecznej to znaki rozpoznawcze współczesnych Chin. Mocarstwa, które czas liberalnego otwarcia i wzrostu gospodarczego, zapoczątkowanego ponad 40 lat temu przez Deng Xiaopinga, ma już za sobą. W Pekinie odbył się XX Zjazd Komunistycznej Partii Chin (KPCh). Niejawne obrady i niewielka ilość informacji nie dają pełnego obrazu sytuacji. Jak tłumaczą eksperci, dopiero dokumenty pozjazdowe pokażą przyszłość.

Xi Jinping, który już od 10 lat zajmuje stanowisko partyjnego przywódcy, dążył do przedłużenia swojej władzy. Niepisany konsensus ograniczał dotąd ten czas do dekady. Wcześniej – w 2018 r., chiński parlament zniósł limit dwóch kadencji dla konstytucyjnej funkcji przewodniczącego ChRL. Jest to odczytywane jako zgoda na dożywotnie pełnienie obu funkcji, co sprawia, że ranga przywództwa Xi Jinpinga porównywana jest z rządami Mao Zedonga. Oznacza to również podważenie formuły „zbiorowego kierownictwa", choć Xi Jinping wciąż jest zależny od popierających go klanów. Podczas zjazdu skupiają się one na walce o obsadę stanowisk w komitecie centralnym, jego organach oraz w stałym komitecie. A za ich pośrednictwem przez politykę kadrową kontrolują wszystkie instytucje w państwie.

Xi Jinping, opierając się na ideologii będącej mieszanką leninizmu i nacjonalizmu, prowadzi politykę odbudowy silnej partii po kilku dekadach jej słabnięcia na rzecz różnych grup interesu. Trwająca od 2014 r. krucjata antykorupcyjna ograniczyła wpływy konkurencyjnych frakcji. Najbardziej ucierpiała grupa szanghajska, której symboliczną postacią jest nieobecny na zjeździe Jiang Zemin.

Pandemia, która zaczęła się w Chinach, stała się pretekstem do ograniczania wolności, kontroli i represji w ramach drakońskiego modelu walki z rozprzestrzenianiem koronawirusa. Jednak zaraza wpłynęła także na pogorszenie się sytuacji ekonomicznej, a wyczerpanie formuły „fabryki świata" wprowadziło chińską gospodarkę w stagnację. Stąd zapowiedź zwiększenia redystrybucji dóbr, kreowania konsumpcji wewnętrznej i samowystarczalności. Już teraz nastąpiła centralizacja regulacji finansowych i sektora bankowego. Partia obawia się, że spadek wzrostu gospodarczego niesie za sobą ryzyko niepokojów społecznych.

Tym, co najbardziej niepokoi świat zachodni, jest jednak niebezpieczeństwo podporządkowania Tajwanu i próba zdobycia przewagi na Morzu Południowochińskim. Xi Jinping podtrzymał cel, którym jest „pokojowe zjednoczenie" z wyspą, nie wykluczając użycia siły. Tworząc wraz z Rosją antyzachodnią oś, nie odniósł się jednak do wojny na Ukrainie i jej konsekwencji, którymi są sankcje.

Maciej Walaszczyk

Fot. Mirko Kuzmanovic/Shutterstock.com

eprasa.pl a228ebe70a



Lula kontra Bolsonaro

Brazylia

Tegoroczne wybory prezydenckie w Brazylii budzą najwięcej emocji od czasu obalenia dyktatury wojskowej w połowie lat 80. W pierwszej turze 2 października Luiz Inácio Lula da Silva z lewicowej Partii Pracy (PT) zdobył 48,43 proc. głosów, a jego rywal, walczący o reelekcję Jair Bolsonaro z Partii Liberalnej (PL), 43,2 proc. poparcia – o wiele więcej, niż przewidywały sondaże. Dogrywka odbędzie się 30 października i będzie to starcie dwóch zupełnie różnych wizji Brazylii.

Brazylia wciąż wychodzi ze skutków najgorszej w swojej historii recesji oraz nadal zmaga się z ograniczonym wzrostem i wysoką inflacją. Po pandemii wzrósł poziom ubóstwa oraz wskaźniki brutalnych przestępstw – w tym morderstw, rabunków i porwań. Urzędujący prezydent obiecał rozprawić się z przestępczością i korupcją, ale Brazylijczycy pamiętają jego nonszalancki stosunek do pandemii – z powodu braku restrykcji oraz wstrzymania importu szczepionek system opieki zdrowotnej w niektórych częściach kraju całkiem się załamał, a ponad 680 tys. osób zmarło. Nie udało mu się także rozruszać gospodarki. Bolsonaro, zwany brazylijskim Trumpem, sprzeciwia się aborcji, ideologii LGBT+ oraz ograniczaniu praw religijnych. Jego wyborcy to głównie wojsko, rolnicy, przedsiębiorcy oraz tzw. evangélicos, członkowie nowych ruchów protestanckich, którzy w Brazylii już niemal dorównują liczbą katolikom.

Jego rywal Lula da Silva był już prezydentem Brazylii w latach 2003–2010. Później odsiedział 580 dni za korupcję. Wyrok unieważniono w 2021 r. Dawny lider związkowy sam określa się jako orędownik sprawiedliwości społecznej. W kampanii zobowiązał się m.in. do zniesienia limitu wydatków publicznych, podwyższenia podatków dla bogatych i wzmocnienia ochrony Amazonii, gdzie wśród rdzennej ludności od lat ma wdzięczny elektorat. Lula może też liczyć na głosy związkowców oraz najbiedniejszych wyborców. Za jego prezydentury mogli oni korzystać z wielu programów socjalnych i wydaje się, że wybaczyli mu skandal korupcyjny wokół państwowej spółki naftowej Petrobras. Bo to właśnie z naftowych zysków te programy były finansowane (choć przy okazji część pieniędzy trafiło do kieszeni Luli i jego współpracowników).

Bolsonaro ma jednak pewną przewagę nad swoim rywalem. W wyborach do Kongresu Narodowego jego partia zdobyła większość w obu izbach. W ośmiu z 26 stanów już wybrano gubernatorów z Partii Liberalnej lub partii sojuszniczych, w kolejnych ośmiu weszli do drugiej tury. Może to utrudnić Luli wdrażanie lewicowej polityki, jeśli zostanie wybrany. I jeśli Bolsonaro taki wynik wyborczy zaakceptuje. W sierpniu podkreślił, że stanie się tak tylko wówczas, gdy wybory przebiegną w sposób „czysty i transparentny". Jego zwolennicy są mniej dyplomatyczni. W rozmowie z agencją Reuters jeden z nich zagroził, że „jeśli Lula wygra te wybory, to znaczy, że doszło do oszustw i wtedy wszystko może się wydarzyć".

Aleksandra Rybińska

Fot. BW Press/Shutterstock.com, Wagner Vilas/Shutterstock.com



Czwarte referendum

Słowenia

Na początku października słoweńskie Zgromadzenie Narodowe zatwierdziło poprawki do kodeksu rodzinnego, które zrównują prawnie związki homoseksualne z małżeństwami oraz zezwalają im na adopcję dzieci. Głosowanie było skutkiem wyroku tamtejszego Trybunału Konstytucyjnego, który uznał dotychczasowe prawo za dyskryminujące, a tym samym niejako nałożył na parlament obowiązek dokonania zmian legislacyjnych. Wspomniana decyzja wywołała jednak protesty. Na demonstracji przed budynkiem Zgromadzenia Narodowego zebrało się 10 tys. osób, co jak na kraj liczący 2 mln mieszkańców jest liczbą dość pokaźną.

Krytycy nowelizacji przypominają, iż posłowie zignorowali wolę słoweńskiego społeczeństwa, ponieważ w XXI w. odbyły się aż trzy referenda powszechne, w których większość mieszkańców odrzuciła projekty legalizacji tzw. małżeństw homoseksualnych. W 2001 r. opowiedziało się przeciwko temu 72 proc. obywateli, w 2012 – 54,5 proc., a w 2015 – ponad 63 proc. W tej sytuacji organizacje pozarządowe postanowiły uruchomić proces przeprowadzenia czwartego już ogólnonarodowego plebiscytu w tej sprawie, by zablokować przyjęte rozwiązania. W ciągu pięciu dni udało się zebrać 30 tys. podpisów pod petycją o rozpisanie referendum. Wszystkie sondaże wskazują, że większość głosujących ponownie opowie się przeciw przywilejom małżeńskim dla par jednopłciowych.

Nawet jeśli środowiska prorodzinne odniosą triumf w głosowaniu, nie oznacza to, że posłowie uszanują wolę ludu. Obowiązujące w Słowenii prawo mówi bowiem, że władze muszą wziąć pod uwagę wyniki referendum dopiero rok po jego przeprowadzeniu. Oznacza to, że nazajutrz po przeprowadzonym plebiscycie mogą one przyjąć ustawę, która dzień wcześniej została odrzucona przez większość obywateli w powszechnym głosowaniu. Tego właśnie obawiają się organizacje profamilijne. Na razie czeka nas jednak kampania, która znów spolaryzuje słoweńskie społeczeństwo i odwróci uwagę od problemów liberalno-lewicowego rządu.

Grzegorz Górny

Fot. shutterstock

eprasa.pl a228ebe70a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sen o Polsce



Jan Pietrzak

Zbliża się nasze narodowe święto, Dzień Niepodległości. Towarzystwo Patriotyczne z tej okazji od 10 lat przyznaje nagrody „Żeby Polska była Polską". Otrzymało je do tej pory kilkudziesięciu wybitnych Polaków. Tak będzie i tym razem. W refrenie pieśni sprzed niemal pół wieku poza wieloma znaczeniami tkwi fundamentalny dla naszej historii problem niepodległości.

Obok nas toczy się od ponad pół roku okrutna wojna Rosji przeciw Ukrainie właśnie w tej sprawie. Kreml nie życzy sobie, żeby Ukraina była Ukrainą. A ponieważ sobie nie życzy, to niszczy miasta i morduje ludzi. To poglądowa lekcja dla młodego pokolenia Polaków, a także innych nacji, jaką cenę trzeba zapłacić, by żyć w swoim kraju, by mieć swoje państwo. Polacy tę cenę płacą od blisko trzech stuleci. W jednej z licznych zwrotek pieśni konfederatów barskich czytamy: „Krwi nie wołamy, zdobyczy nie chcemy, nie chcemy mordów, do łupiestw niezdolni, tylko Ojczyznę odzyskać pragniemy, tylko być wolni!". Dla tej jednej myśli, dla tego jednego zdania musieliśmy wygrać dwie wojny światowe, obalić komunę, jak potocznie nazywano imperium zła, robić liczne bunty i powstania. Z niegasnącej nigdy potrzeby wolności miliony Polaków ryzykowały życiem z pieśnią na ustach, „czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnić, z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć!". A oddającym życie za tę świętą sprawę śpiewano: „Śpij, kolego, w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie".

Sen o Polsce był wystarczającą nagrodą, by o nią walczyć. Ten sen o Polsce, głęboko zakorzeniony w polskiej literaturze, muzyce, malarstwie, jest spychany do kąta pod naporem modnych trendów rozpowszechnianych przez wszechogarniające media obecnej cywilizacji. Za wszystkim czają się oczywiście pieniądze. Mamy się wyrzekać polskich aspiracji, bo w przeciwnym razie nie dostaniemy jakichś pieniędzy. Sprowadzenie marzeń, aspiracji europejskich narodów do prostackiej przepychanki przy kasie jest doprawdy upokarzające. Na niepodległość nie ma ceny.

Dzieci różowego tygrysa



Piotr Cywiński

To był jego dzień, a może jej – nie wiem. Na świat przyszedł jako chłopiec, ale – choć ma już wąsy – na mężczyznę nie wygląda. W uchu kolczyk, wyzywający makijaż nad zarostem, karminowe, szminkowane usta, na szyi złoty łańcuch z okazałym, czerwonym pomponem, spod tiulowej, filetowej bluzki widoczne owłosienie na torsie i rękach, jaskrawozielone, sztuczne futerko od pach do pasa, bransoletka na nadgarstku, na wytatuowanych palcach pierścionki, paznokcie pomalowane pod kolor ust, wąska, długa spódnica z błyszczącego brokatu w kolorze butelkowym... – tak właśnie pokazał/a się na gali Targów Książki we Frankfurcie, gdzie odebrał/a główną nagrodę niemieckich księgarzy.

Kim de l'Horizon, bo o nim mowa, to pseudonim literacki 30-letniego autora wolumenu pt. „Księga krwi", uznanego za najlepszą spośród ponad 200 zgłoszonych pozycji. Bohater tego repetytorium nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. „Tak jak autor. Ta biograficzna książka jest jakby listem do babci chorej na demencję, stanowi wspomnienia z dzieciństwa i konfrontację z samym sobą. [...] Napisana raz to z delikatnością, to znów z drastyczną energią, fascynuje i prowokuje radykalizmem, w swojej nowej formie o niebinarnej tożsamości" – uzasadniła werdykt przedstawicielka tegorocznego jury. Sam laureat/ka zamiast przemowy zaśpiewał/a: „Chcę cię prowadzić przez noc wśród wzgórz, powiem ci coś, czego nie chcesz słyszeć, pójdziemy wszyscy w tę noc"...

Niemal w tym samym czasie dziennik „Berliner Zeitung" doniósł o postanowieniu uruchomienia w stołecznej dzielnicy Schöneberg pierwszego w Niemczech przedszkola, a może nawet dwóch pod nazwą „Różowy tygrys" i „Żółtozielona pantera" dla „lesbijek, gejów, biseksualnych, transgenderowych i interpłciowych". Dzieci mają w nich poznawać, „jak to jest być lesbijką czy gejem, żeby później mogły łatwiej przyznawać się, że nie są heteroseksualne". Mają im w tym pomóc odpowiednio dobrane zabawki i literatura, np. książka „O księciu, który poślubił księcia". Pomyślano też o homo- bi- trans- i interseksualnych rodzicach – w tym samym budynku znajdzie się poradnia oraz „miejsca pielęgnacji" dla osób nie tylko ze środowisk LGBT+. Nie wiem, na czym ma polegać ta pielęgnacja, może będą to salony piękności albo masażu, tego akurat nie uszczegółowiono.

W tym kontekście zastanawiam się tylko nad demencją babci autora dedykowanego jej książkowego listu, na ile problemy starcze z pamięcią to cierpienie, a na ile błogosławieństwo...

eprasa.pl a228ebe70a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tusk z uszami

Brakowało nam Donalda Tuska na pogrzebie Jerzego Urbana. Oj, brakowało. A przecież twórca pańswinizmu zadeklarował, że mu do lidera PO najbliżej. Trudno się z nim nie zgodzić.

Od swojego powrotu do Polski Tusk już ostentacyjnie robi wszystko, by do końca rozbić polską wspólnotę, zanegować państwo prawa, ośmieszyć demokrację, a politykę zastąpić przemocą. Wszystko to oczywiście pod hasłem łączenia, odbudowy prawa, prawdziwej demokracji i miłości. Czy przeciwnicy PiS tak bardzo przyzwyczaili się do świata na opak, że nie razi ich codzienny gwałt na logice i języku? Czy wdrukowana w nich nienawiść do partii Kaczyńskiego każe uznawać, że wszystko jest dopuszczalne, by wyeliminować wrogów?

Stan ten utrwala opiniotwórcza, bo nie tylko medialna przewaga obozu III RP. Doskonałym jej przykładem jest fakt, że udało się wypromować na męczennika i polityczną ofiarę III RP Pawła Adamowicza. Polityk ten źródło swojego sporego majątku, którego zresztą – tak jak liczby mieszkań – nie był w stanie doliczyć się przed urzędem skarbowym, wyjaśniał pochodzącymi z emerytury darowiznami rodziców. Śledztwo w jego sprawie wszczęła prokuratura jeszcze za rządów PO, ugrupowanie Tuska zawiesiło jego członkostwo, a Jarosław Wałęsa, konkurent z listy tej partii, widział jego przyszłość w więzieniu. Dziś słyszymy, że Adamowicz padł ofiarą kampanii nienawiści PiS, choć został zabity przez psychopatę, który nie wiedział za bardzo, kogo atakuje. Prawdziwa ofiara polityczna, Marek Rosiak, który został zamordowany za działalność w PiS, a jego zabójca chciał pozbawić życia lidera tej partii, w ogóle nie istnieje w świadomości publicznej.

Obecnie Tusk deklaruje, że nie trzeba będzie ustaw, by oczyścić Polskę ze „złogów PiS", czyli legalnie wybranej i rządzącej zgodnie z demokratycznymi zasadami partii. „Trybunał Stanu to jest pieszczota, oni będą siedzieć, a nie, że odbierze im się prawo kandydowania!" – grzmiał z trybuny Tusk. Jego tyrady wzbudziły entuzjazm pogrobowców komunizmu.

„Mocne słowa są potrzebne. Dobrze, że Donald Tusk je wypowiada. Poszedłbym o krok dalej. Trzeba zablokować pewnej grupie polityków PiS paszporty, by nie mogli uciec za granicę przed odpowiedzialnością" – zadeklarował Jerzy Wenderlich, były propagandzista PRL, któremu marzy się, żeby znowu właściwa władza decydowała, kto jest zamknięty w więzieniu, a kto jedynie w kraju.

Tusk wybiega naprzeciw takim oczekiwaniom. – Chcę zbudować bardzo silną władzę, bardzo silną partię, chcę dysponować taką siłą, która pozwoli nam ten porządek zrobić – głosi. – Nie mamy czasu, żeby cztery czy pięć lat sprzątać po PiS, do wyborów będziemy mieli przygotowaną rozpiskę na pierwsze dni po wyborach. W ciągu 100 dni wszystko będzie wyczyszczone – pokrzykuje.

Lider PO ogłosił także, że nawet w czasie stanu wojennego w latach 80. miał poczucie, że jest mniej opresji i jadu w polityce niż w tej chwili. Trzeba przyznać, że usilnie nad tym pracuje.

Ma swoją grupę tajnych ekspertów, którzy uzasadnią wyrzucenie konstytucji i prawa do śmieci. Może są to ci, zapowiadani przez Tomasza Siemoniaka silni ludzie, którzy przegnają Adama Glapińskiego z NBP, a Julię Przyłębską z Trybunału Konstytucyjnego. Może również oni rozwiążą PiS, jak zapowiedział to politolog prof. Radosław Markowski, i zadbają, by żadna partia nie mogła zagospodarować jego elektoratu, o co wzywa z kolei psycholog prof. Maciej Górecki z UW.

Trzeba przecież do gruntu wyciąć przeciwników, by „piątka maleństw", czyli wnucząt Tuska „dorastała w kraju, gdzie będzie mniej nienawiści, łajdactwa, mniej agresji. Żeby to codzienne życie, które niewiele ma wspólnego z wielką polityką, to nie było życie wśród ludzi, którzy nie mogą na siebie patrzeć".

Czy Tusk gotów jest na samobójstwo? Jedynie ono wydaje się otwierać perspektywę, do której retorycznie wzywa.

Mówiąc o 100 dniach odwołuje się do Napoleona. Zapomina, że okres ten zakończył się jego klęską pod Waterloo i zesłaniem na daleką wyspę. Tusk z Napoleona ma tyle, co jego przekaz z miłością. Pewnie więc i jego 100 dni będzie trwało 100 godzin do zatwierdzenia wyniku wyborów. Nikomu nie będzie chciało się wysyłać go na Wyspę św. Heleny, można mu jednak poradzić, by nie męczył się już w kraju, gdzie nienawistnicy nie chcą go wybierać.

Jego najbliższy totumfacki Paweł Graś jako minister nadzorował willę bogatego Niemca, za co podobno tamten nie kazał mu płacić czynszu. Patronka Tuska Angela Merkel zrezygnowała już funkcji politycznych i z pewnością przyda się jej stróż nieruchomości. W tej roli Tusk mógłby się doskonale odnaleźć. Nadal w wielkim świecie, a nie w polskim grajdole nienawiści, między ludźmi, którzy potrafią właściwie ocenić jego kompetencje.

Tusku, pomyśl. To przecież rola dla ciebie.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a228ebe70a



Walizka Elżbiety Królikowskiej-Avis

publicystki, pisarki, wieloletniej korespondentki w Londynie

Od zawsze kochałam podróże. Należałam do tych dzieci, które patrząc dookoła, zastanawiały się: „Co jest za tym pagórkiem, lasem, jeziorem?". Od najwcześniejszych lat na imieniny i pod choinkę zawsze dostawałam, po pierwsze – tylko książki, a po drugie – zwykle podróżnicze. Pochłaniałam powieści Jules'a Verne'a, Marka Twaina, Arkadego Fiedlera czy Władysława Umińskiego. Jako część planu, prócz języków obcych w szkole – rosyjskiego, niemieckiego – nauczyłam się angielskiego, a potem już jako 30-latka hiszpańskiego. W późnych latach 70. jako chyba jedyna w środowisku krytyków filmowych znająca język hiszpański byłam wysyłana do Hiszpanii i Portugalii na międzynarodowe festiwale filmowe. To właśnie w Portugalii w 1989 r., gdzie byłam w jury FIPRESCI, poznałam swojego przyszłego męża, Petera Avisa, wówczas naczelnego jednego z brytyjskich miesięczników filmowych. W jakimś momencie nawet prywatne podróże zaczęły zamieniać się w materiał dziennikarski. Trzy z moich ostatnich książek – „Prosto z Piccadilly", „Róg Piccadilly i Nowego Świata" czy „Cywilizacja Zachodu na rozdrożach wartości" – zawierają wiele rozdziałów, które są bezpośrednim skutkiem moich prywatnych wojaży, m.in. po Singapurze, RPA czy Kubie. W moim życiu od dawna podróżowanie przeplatało się ze sprawami zawodowymi i prywatnymi.

WIATRACZEK

Nie ruszam się bez ręcznego wiatraczka, który tak samo przydaje się w dusznym autokarze, jak w jeszcze bardziej dusznej chacie Pigmejów.



ZESTAW SAFARI

Kiedy wyjeżdżam do krajów tropikalnych – nigdy na Północ – gdzie jest pustynia, dżungla lub sawanna, zabieram zestaw, na który składa się: lekka kurtka z długimi rękawami, kilka topów, kilka par spodni, koniecznie plecak i czapka z dużym daszkiem dla ochrony przed słońcem. Wszystko w kolorach ochronnych, żeby nie zwracać uwagi/nie drażnić/nie płoszyć mieszkańców tych terenów – zwierząt. To one są tam gospodarzami, my – gośćmi.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a228ebe70a





PLECACZEK
Zakupiony 20 lat temu w Wielkiej Brytanii. Służy świetnie, ponieważ jest nieduży, impregnowany, poręczny i wbrew pozorom – pojemny.

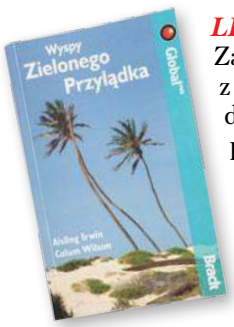


BIŻUTERIA
Gdy wyruszam do egzotycznych krajów, wymieniam biżuterię. „Stacjonarną" zastępuję naszyjnikami i bransoletkami, które są stamtąd i bardziej pasują do afrykańskich czy azjatyckich warunków.



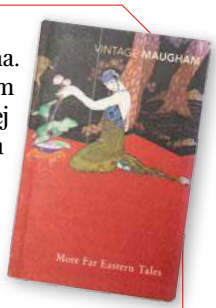
ŻAKIET
Bez względu na kierunek podróży, nie ruszam się bez letniego żakietu, jedwabnej bluzki i spodni. Życie wielokrotnie pokazało, że zawsze pojawi się okazja, kiedy będą potrzebne, np. na balu kapitańskim lub na kolacji u konsula w jakimś egzotycznym kraju.

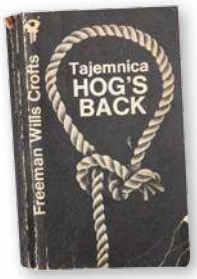




LEKTURY
Zawsze biorę z sobą jeden, dwa dobre przewodniki, bo bez tego nie ma podróży. Jeżeli chodzi o lekturę, nigdy nie kupuję na lotnisku, lecz starannie wybieram wcześniej.

Np. lubię książki Williama S. Maughama. Niewiele osób w Polsce wie, że był wielkim podróżnikiem. „More Far Eastern Tales" (Więcej dalekowschodnich opowieści) to rewelacyjna lektura, która opowiada o brytyjskich ekspatach porozrzucanych po całym świecie, rewers życia w Imperium Brytyjskim.





W podróży lubię brytyjską i amerykańską klasykę kryminalną. Brytyjczyków Dorothy L. Sayers czy Freemana W. Croftsa, XIX-wiecznego brytyjskiego autora kryminalnego, rówieśnika sir Conan Doyle'a, zupełnie w Polsce nieznanego. I Amerykanów Earla D. Biggersa, twórcy detektywa Charliego Chana, czy Raymonda Chandlera.

ZESTAW PLAŻOWY
Nic dodać, nic ująć.





SPRAY NA INSEKTY, WODA W SPRAYU, ŻELAZKO W SPRAYU
Na upał, kurz, słońce, moskity, w namiotach, hotelach i land roverach.

Z INDII
Przywieziona z Radżasthanu. Miniatura mogolska na jedwabiu.





Z TAJLANDII
Figura dawnego tajskiego dworzanina.



Z INDONEZJI
Pół szafy. Z bliźniaczą figurą podtrzymują drewniany kij, na którym można zaczepić wieszaki z odzieżą.

Z INDONEZJI
Garuda, hinduski człowiek-ptak, wierzchowiec boga Wisznu, dziś logo i nazwa indonezyjskich linii lotniczych.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl a228ebe70a

OGNIEM NA WPROST

Cyryl na wojnie



Okazuje się, że w ruskiej Cerkwi Bóg wcale nie musi być na pierwszym miejscu. Były kagiebista Władimir Michajłowicz Gundiajew, obecnie Cyryl – patriarcha moskiewski i całej Rusi – jednoznacznie opowiedział się za wojną wywołaną przez Putina na Ukrainie. Pod koniec września w ostatnim kazaniu przekonywał, że śmierć w mundurze to zaszczyt, a jednocześnie gwarancja odpuszczenia grzechów. Ile warte są te gwarancje, miało okazję przekonać się ponad 65 tys. poległych na Ukrainie bojców, tylko jak na razie nie mamy dokładnych przecieków z „tamtej strony". Tymczasem według norweskiej gazety „Dagbladet", w 2017 r. protestancki dom modlitwy Soreide, znajdujący się w odległości 3 km w linii prostej od Haakonsvern pod Bergen, najważniejszej bazy marynarki wojennej z fregatami oraz okrętami podwodnymi, przejęła rosyjska Cerkiew. „Działka umożliwia obserwację wejść do portu oraz dużej części bazy morskiej" – pisze „Dagbladet". Reporterzy gazety nie zastali nikogo w budynku, okna były szczelnie zasłonięte. Rosyjska Cerkiew Prawosławna jest również właścicielem nieruchomości w Jatta pod Stavanger. Stojący tam budynek znajduje się zaledwie 1 km od ośrodka NATO Joint Warfare Center i należy do byłego proboszcza prawosławnej parafii. W opinii Alfy Sefland Winge, badaczki zagrożeń infrastruktury krytycznej norweskiej Akademii Marynarki Wojennej, „istnieje cała gama możliwych środków, takich jak zakłócanie sygnałów, podsłuch, sterowanie dronami lub zakwaterowanie osób zajmujących się rozpoznaniem terenu". Ot! Ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni. Tak głośno, że aż uszy bolą.

Wbrew majaczeniom niektórych ukraińska ofensywa na przyczółku chersońskim nie zatrzymała się, tylko spowolniła na drugiej linii rosyjskiej Bruskinskie – Borozeńskie – Mylowe. Bronią się tam weterani z jednostek kontraktowych, spadochroniarze i specnaz. Kilka dni temu linia ta została przerwana na wysokości Suchanowego i mimo prób likwidacji wyłomu nic nie wskazuje na to, żeby się to udało. Ukraińcy wychodzą na tyły rosyjskich wojsk pod Mylowem. Jednocześnie kanał wagnerowców Grey Zone wskazuje, że silnie atakowane są pozycje moskiewskie pod Bruskinskiem. Jeśli opór zostanie tu przełamany (a istnieje zagrożenie, że siły idące spod Suchanowego wyjdą na tyły bojców walczących pod Bruskinskiem), cały front aż do Berysławia się zawali. Według Grey Zone w takiej sytuacji znaczenie operacyjne utraci także pozycja w Snihuriwce, która będzie musiała zostać wycofana. Dodajmy do tego pojawiające się sygnały o wznowieniu ataków ukraińskich wzdłuż drogi Mikołajów – Chersoń i mamy pełny obraz sytuacji.

A w samym Chersoniu ruskim zrobiło się gorąco. Okupanci wydali rozkaz ewakuacji ludności cywilnej z Chersonia i kilku innych miast prawobrzeżnej Chersońszczyzny, co ma mieć związek z niedawną wypowiedzią dowódcy wojsk inwazyjnych, gen. Sergieja Surowinika, o „niełatwych decyzjach". W ślad za głównodowodzącym wrzask podniósł kierownik administracji cywilnej (czytaj kolaborant) Saldo i jego zastępca, pierwszy błazen Chersonia Stremousow. Obaj straszą wysadzeniem w powietrze tamy na Dnieprze. „Proszę was – jęczy Stremousow na Telegramie – byście potraktowali moje słowa poważnie i wzięli je pod uwagę: jak najszybsza ewakuacja". Do autobusów na wschodni brzeg Dniepru stanęło w potężnej kolejce tysiące ruskich cywilów.

I pomyśleć, że jeszcze trzy dni wcześniej Stremousow opublikował film, w którym recytuje wierszyk, jak to wszędzie, gdzie wjedzie czołgiem, jest Rosja, a wszyscy Rosjan kochają. A teraz ubieżajtie. Bye! Bye! Chersoń!

Napływają kolejne relacje o sławnym już „esprit de corps", czyli duchu bojowym zmobilizowanych bojców. Po ostatniej strzelaninie na poligonie w Rosji (11 zabitych, 15 rannych) teraz 32 rekrutów, wcielonych do 144. brygady zmotoryzowanej, odmówiło udziału w dalszych walkach. Jak podaje portal Inform Napalm, w obwodzie ługańskim poszło na ostro. Bojcy prócz odmowy wzięcia udziału w natarciu nie chcieli też oddać broni, sugerując, że w razie zaatakowania są gotowi użyć jej przeciwko swoim zwierzchnikom. Powód? Zostali wysłani na front bez żadnego przygotowania i przeszkolenia. Mołodcy widać zapomnieli o żelaznej zasadzie panującej od wieków w siłach zbrojnych Moskali. Celem, powinnością i psim obowiązkiem ruskiego żołnierza jest zdechnąć na polu bitwy.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a228ebe70a

Tradycje ekspansjonistyczne



Marta Kaczyńska-Zielińska

Doktryna wielkiego obszaru (przestrzeni) to kierunek badawczy, który stał się przedmiotem niemieckich rozważań w XIX w. Jego zasadniczym założeniem jest pogląd, wedle którego przyszłość świata ma należeć do wielkich, ekspansywnych państw, takich jak Niemcy, które powinny zmierzać do utworzenia wielkiego imperium, obejmującego swoim terytorium znaczną część Europy.

Polityczny plan kolonizacji Starego Kontynentu istniał oczywiście znacznie wcześniej i został zrealizowany przez zabór Polski w XVIII w. Niemiecki ekonomista Friedrich List (1789–1846) uważał, że rasa germańska jest przeznaczona do panowania nad światem, cywilizowania narodów i rozwiązywania spraw o randze światowych problemów. Uczony proponował utworzenie Rzeszy Niemiecko-Węgierskiej, a następnie rozszerzenie granic tego państwa o Belgię, Holandię, Szwajcarię oraz kraje południowo-wschodniej Europy. Jako jeden z pierwszych teoretyków głosił możliwość wykreowania Niemiec do rangi mocarstwa światowego i zdominowania całej środkowej Europy, co miało umożliwić dalszą ekspansję terytorialną.

Niemiecki filozof Paul de Lagarde (1827–1891), nazywany duchowym ojcem Holokaustu, opowiadał się za włączeniem w skład Rzeszy dużych obszarów centralnej i wschodniej Europy, by zapewnić stabilność ekonomiczną i polityczną. Według de Lagarde: „Pokój w Europie zapanuje wówczas, gdy Niemcy będą sięgać od Ems do ujścia Dunaju, od Dźwiny do Triestu, od Metz do Bugu, gdy zjednoczone siły niemieckie pokonają Francję i Rosję. Ponieważ cały świat chce pokoju, musi zaakceptować Niemcy w takich granicach".

Według koncepcji niemieckiego geografa Hermanna Wagnera (1840–1929) niemiecka Mitteleuropa powinna obejmować Cesarstwo Niemieckie, niemieckojęzyczną część Austrii, Czechy z Morawami, Belgię, Holandię, część północno-wschodniej Francji, a także obszary Królestwa Polskiego, położone po zachodniej stronie Wisły wraz z północną częścią Mazowsza, oraz Prusy Wschodnie.

W 1897 r. Friedrich Ratzel napisał książkę zatytułowaną „Politische Geographie" (Geografia polityczna) zawierającą rozważania z dziedziny geografii, politologii, socjologii, demografii, etnologii. Interdyscyplinarna publikacja stała się podstawą ustanowienia nowej dziedziny badań naukowych – geopolityki. Autor opracowania wyrażał przekonanie, że naturalnym motorem rozwoju ludzkości jest walka o przestrzeń życiową (Lebensraum), a państwa, rozwijając się, muszą powiększać swoje terytoria. Według Ratzela narody cechujące się wyższym poziomem cywilizacyjnym powinny dążyć do podporządkowania ludów o niższej kulturze. Niemiecki uczony zakładał, że w przyszłości powstaną dwa mocarstwa światowe: Stany Zjednoczone na kontynencie amerykańskim i Niemcy w Europie. Wraz ze zwolennikami swojej teorii snuł wizję podporządkowania wielkiemu narodowi niemieckiemu Europy Środkowej, Bałkanów, Bliskiego Wschodu.

W 1915 r. ukazała się książka „Mitteleuropa" Friedricha Naumanna, opisująca zintegrowaną gospodarczo wspólnotę pod panowaniem Niemiec, obejmującą państwa położone między Morzem Północnym, Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym. Przyłączone do Rzeszy ziemie polskie, ukraińskie, białoruskie, litewskie, fińskie, szwedzkie, norweskie, duńskie, holenderskie, szwajcarskie, belgijskie i częściowo francuskie miały stanowić zaplecze surowcowe i żywnościowe dla niemieckiego przemysłu.

W okresie nazizmu koncepcję Mitteleuropy upowszechnił Karl Haushofer, który od końca XIX w. zajmował się badaniami nad możliwością rozwoju niemieckiej gospodarki przy wykorzystaniu terenów wschodniej części Europy. W czasie okupacji w ramach Generalplan Ost na terytorium RP prowadzono eksterminację ludności, grabiono mienie, wykorzystywano ludzi do niewolniczej pracy i germanizowano.

Słuchając o gotowości przejęcia przez Niemcy odpowiedzialności za Europę, o której wspomniał kilka miesięcy temu kanclerz Olaf Scholz, nie sposób zapomnieć o ugruntowanej przez wieki koncepcji Lebensraum i Mittleuropy, a przede wszystkim o tragicznych doświadczeniach wdrażania tych koncepcji przez Niemców w czasie II wojny światowej.

14 października odszedł przedwcześnie do Pana

Śp.

Zbigniew Sobolewski

Nasz Przyjaciel, dobry i twórczy człowiek, prawy Polak, patriota głęboko zaangażowany w przemiany naszej Ojczyzny po 1989 r., wybitny syn Ziemi Siedleckiej, której służył jako działacz społeczny, polityk i przedsiębiorca.

Śp. Zbigniew Sobolewski był wiernym i niezłomnym członkiem naszej wspólnoty politycznej od samego jej początku, Współtworzył Porozumienie Centrum, przewodniczył Społecznemu Komitetowi Budowy Pomnika Prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego, należał do grona inicjatorów wzniesienia oraz fundatorów tego monumentu, regularnie uczestniczył też w miesięcznicach Tragedii Śmoleńskiej.

Śp. Zbigniew Sobolewski zmieniał Polskę także jako praktyk życia gospodarczego. Pierwszą swoją firmę handlową założył już w 1989 r. Osiem lat później otworzył pierwszy w Siedlach sklep samoobsługowy, który przekształcił w sieć supermarketów.

Żegnamy Go z wielkim bólem i w poczuciu niepowetowanej straty. Będzie Go nam bardzo brakowało.

Niech spoczywa w pokoju!

Rodzinie i Bliskim
Śp. Zbigniewa Sobolewskiego
składamy
najserdeczniejsze wyrazy współczucia.

W imieniu Prawa i Sprawiedliwości oraz własnym
Jarosław Kaczyński

31/1022/F

eprasa.pl a228ebe70a

Wojna się skończyła, wojny nie ma



Samuel Pereira

Jeśli ktokolwiek ma co do tego wątpliwości, niech przyjrzy się uważnie wystąpieniom polityków opozycji. Z jednej strony mamy przedstawicieli PSL, Lewicy i Szymona Hołowni – którzy nie za bardzo wiedzą, co mówić, bo nie chcą totalnie papugować Donalda Tuska, a jednocześnie boją się ściągnąć na siebie gniew fanatyków, którzy każde odstępstwo od jednej, słusznej platformerskiej linii karzą surowo, a z drugiej przewodniczącego PO, który lata to tu, to tam i nawala w polski rząd bez opamiętania. Oprócz nienawiści do Prawa i Sprawiedliwości opozycję łączy dziś ślepota na to, co dzieje się u naszego sąsiada.

Mamy najpoważniejszy konflikt w Europie (przynajmniej z naszej perspektywy) od czasu II wojny światowej, zagrożenie atomowe, a w kraju z jednej strony działania dyplomatyczne na arenie międzynarodowej i dozbrajanie Ukraińców, a z drugiej totalny cyrk. Weźmy choćby temat węgla. Zaczęło się od pokrzykiwania w kwietniu, że trzeba zatrzymać import węgla do Polski tu i teraz, bez oglądania się na UE.

Minęły trzy miesiące i zaczęło się bombardowanie rządu latem, że nie będzie węgla zimą. Gdy został sprowadzony, to ruszył atak, że jak można wymagać od samorządów, żeby dla dobra mieszkańców pomogły z dystrybucją. Jak wiadomo, samorządy pod władzą PiS są od pracy, ale już pozostałe tylko od stref relaksu, parad LGBT+ i wyjazdów na skargę do Berlina i Brukseli. Teraz mamy kolejny etap histerii węglowej, czyli: jest za dużo węgla, kiepsko się pali i zanieczyszcza środowisko. Ciągłe odwracanie uwagi od źródeł problemu, czyli rosyjskiej agresji wobec Ukrainy i niemieckiego egoizmu energetycznego wobec Europy. Dla opozycji w Polsce tego tematu nie ma ani nie może być, bo jeśli o kimś mają obywatele mówić źle, to nie o Rosji i Putinie, tylko o rządzie, Kaczyńskim i Morawieckim. „Mówmy dużo i o wszystkim, byle nie wojnie, bo a nuż nawet nasi wyborcy zaczną zastanawiać się nad przyczynami i w końcu uświadomią sobie, gdzie tkwi początek i źródło tej wojny zarówno u nas w kraju, naszym regionie, jak i polityce Brukseli”.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Zaśpiewać z Garou

Z trzema tenorami, członkami zespołu Tre Voci: Wojciechem Sokolnickim (Voytkiem Soko), Mikołajem Adamczakiem i Miłoszem Gałajem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co wydarzy się 27 października?

Voytek Soko: Święto muzyki i przyjaźni polsko-francuskiej – 8. Gala French Touch w Teatrze Wielkim Operze Narodowej [na scenie pojawią się m.in.: Garou, Suzane, Camille Bertault, Matt Pokora, In-Grid oraz Feel i Justyna Steczkowska – przyp. red.].

Mikołaj Adamczak: Spełni się jedno z naszych marzeń, by wejść we współpracę z wielką zagraniczną gwiazdą, którą w tym wypadku jest Garou, i móc z nią zaśpiewać na wielkiej gali.

Czyja obecność podczas tego wydarzenia będzie dla was szczególnie ekscytująca i dlaczego?

V.S.: Zdecydowanie Garou, odtwórcy roli Dzwonnika w musicalu „Notre Dame de Paris” – musical jest moją pasją.

Który z francuskich artystów/jaki utwór jest – dla każdego z was z osobna – ważny, który szczególnie lubicie?

Miłosz Gałaj: Wielką inspiracją jest dla mnie twórczość Jacques'a Brela i Édith Piaf.

M.A.: „La Bohème”, którym wzrusza mnie za każdym razem Charles Aznavour. A ze współczesnych artystów – ZAZ, której nieoczekiwana kariera – z ulicy na wielkie sceny – i szczerość bardzo są mi bliskie.

Który utwór wykonacie podczas gali French Touch?

V.S.: „Amazing Grace”.

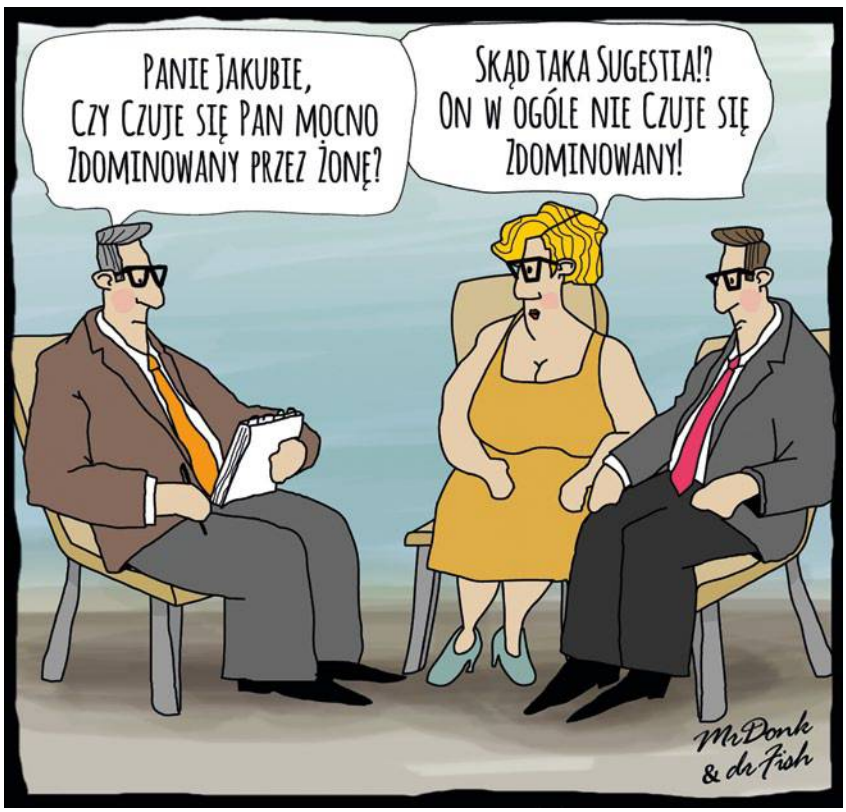
Co jeszcze macie w planach?

M.A.: Trasę koncertową „My Way”, nagranie albumu ze świątecznym repertuarem i stopniowe wprowadzanie utworów autorskich do naszego repertuaru.



eprasa.pl a228ebe70a

Rysują Mr Donk & dr Fish



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

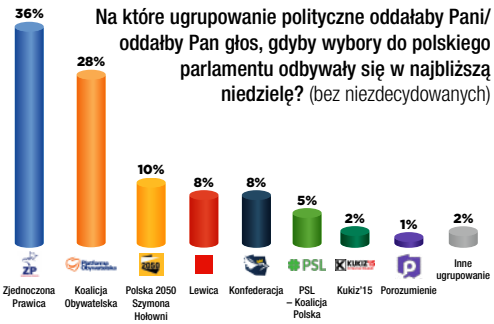
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, AP/EAST NEWS, ŁUKASZ OSTALSKI/REPORTER, ANDRZEJ WIAŃCZUK/REPORTER, KURNIKOWSKI/AKPA, SHUTTERSTOCK x2

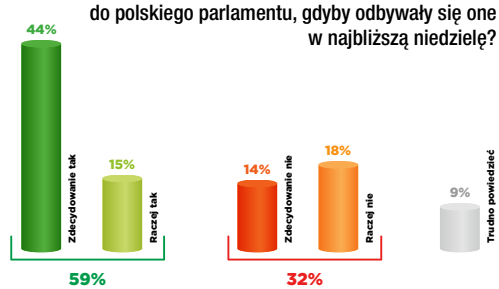
pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

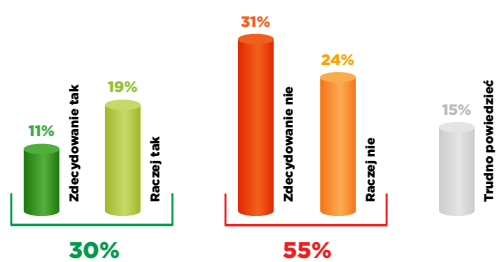
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



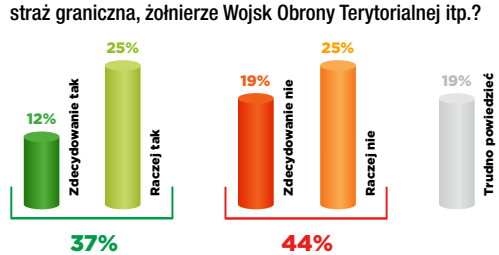
Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w wyborach do polskiego parlamentu, gdyby odbywały się one w najbliższą niedzielę?



Czy popiera Pani/Pan ułatwienie uzyskania pozwolenia na broń palną obywatelom Polski?



Czy według Pani/Pana w Polsce osoby mające prawo do posługiwania się bronią służbową w trakcie pełnienia służby powinny mieć też prawo do posiadani broni prywatnej, np. funkcjonariusze takich służb jak policja, straż graniczna, żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej itp.?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1082.

Zakres czasowy badania 14–17 października 2022 r.

eprasa.pl a228ebe70a

Musimy wybić się na niepodległość w Unii

Nazwałem to strategią blokady, a potocznie wywróceniem stolika, przejściem od obrony do ataku. U jej podstaw leży diagnoza, że jesteśmy przedmiotem ataku hybrydowego. Czas przyjąć do wiadomości, że Niemcy via Bruksela i lewicowo-liberalny mainstream wypowiedzieli nam niekonwencjonalną wojnę

Michał Karnowski rozmawia z Jackiem Saryusz-Wolskim, posłem do Parlamentu Europejskiego, ekonomistą, znawcą spraw europejskich

W jakim momencie jesteśmy w relacjach z tymi siłami, które umownie nazywamy Brukselą? Wśród wielu Polaków narasta przekonanie, że rozstrzygają się sprawy zasadnicze. Jak je nazwać? Jak je zdefiniować?

Jacek Saryusz-Wolski: Tak, to jest moment przełomowy. Na szali leżą już nie tylko pieniądze, ale suwerenność czy – używając bliższego nam terminu – niepodległość. Rozstrzyga się, czy państwo polskie pozostanie państwem polskim, czy stanie się wasalem, pozbawionym prawa decydowania o sobie. Do tego zmierzają te szantaże finansowe, współorganizowane też przez polskie kompradorskie quasi-elity. Skutkiem ma być zablokowanie naszego rozwoju gospodarczego, wepchnięcie nas na ścieżkę rozwoju zależnego od innych. Czyli można powiedzieć, że chcą nas zmusić do wasalizacji politycznej i podległości gospodarczej.

Dlatego wszystkie zasoby rzucili na to, by obalić obecny rząd w Warszawie?

To jest warunek dla nich podstawowy. Jesteśmy świadkami próby przeprowadzenia operacji zmiany władzy pod naciskiem czynników zewnętrznych współdziałających z wewnętrzną Targowicą. Przywoływanie historycznych analogii jest jak najbardziej uzasadnione. Wielokrotnie w naszej historii narzucano nam obcego władcę, a potem kawałkowano kraj. Kostiumy są inne, istota zdarzeń i cel identyczne.

Taka redukcja Polski miałaby potężne, negatywne konsekwencje.

Bez wątpienia. Choć musimy rozumieć, że nie tylko dla Polaków. Siła tego przesilenia i ataku na Polskę jest tak wielka także dlatego, że równocześnie trwa walka o kształt samej Unii. Polska jest tu wybrana na cel ataku nieprzypadkowo: jeżeli się uda z nami, jeśli nas złamią i zwasalizują, wydarzenia potoczą się lawinowo. Superpaństwo europejskie pod hegemonią niemiecką i w dużo mniejszym stopniu francuską stanie się faktem. Przekroczenie tego progu będzie miało konsekwencje także geopolityczne dla Europy i szerzej.

Jakie konkretnie?

Plan niemiecki, dla którego Polska jest przeszkodą, zakłada porozumienie Unii, przekształconej w europejskie superpaństwo i zarządzanej przez nich, z unią euroazjatycką zarządzaną przez Rosję. Powstałby nowy sojusz, od Lizbony do Władywostoku, z trzema głównymi stolicami: Berlinem, Moskwą i Paryżem plus Brukselą. Suwerenność wszystkich pozostałych państw narodowych w tym obszarze zostałaby radykalnie zredukowana. W płaszczyźnie indywidualnej – bo wiemy, jakie siły ideologiczne dominują w UE – to by oznaczało radykalne ograniczenie praw i wolności jednostki, zniewolenie tych, którzy się na to nie godzą. Fundamentalne wartości naszej cywilizacji byłyby odrzucane jeszcze brutalniej.

Któraś z tych płaszczyzn – polityczna wasalizacja, gospodarcza podległość, przymuszenie do ideologii – jest dla organizatorów tego planu najważniejsza?

Wszystkie są ważne, bo jedna wynika z drugiej, jest między nimi synergia. Za podległością polityczną idzie słabość gospodarcza i ideologiczna dominacja, która z kolei przekłada się na to pierwsze. Zaklęty krąg.

Z którego cudem i wielkim wysiłkiem w ostatnich latach się wyrywamy. To ich zaskoczyło?

Nie, oni o tym polskim potencjale od zawsze wiedzieli. Podobnie jak rozumieją, że jesteśmy w innej fazie długiego cyklu rozwoju gospodarczego. Wciąż mamy wielkie rezerwy, a gospodarki starych państw Unii raczej są w fazie schyłkowej. Dlatego właśnie tak wiele zainwestowano w część polskich niby-elit, po to były te plastikowe torby pełne niemieckich marek, o czym mówił swego czasu Paweł Piskorski,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a228ebe70a



eprasa.pl a228ebe70a

z dużym wyprzedzeniem wyhodowały obóz współczesnej Targowicy. I on przez wiele lat dobrze spełniał swoje zadanie, skutecznie hamował rozwój. Jak dzisiaj patrzymy wstecz na całe 30-lecie wolnej Polski, to rozumiemy, że powinniśmy być zupełnie gdzie indziej, nasz rozwój powinien był postępować szybciej, być bardziej ambitny. Nie dostrzegaliśmy tego procesu, nie byliśmy w większości jego świadomi, bo został zaplanowany, ukryty i przeprowadzony wiele lat wcześniej.

Ta współczesna Targowica wie, co robi, do czego jest używana? Czy jest po prostu głupia?

Część nie rozumie, w czym bierze udział, ale zjawisko zaczadzenia, niezdolności do dostrzeżenia faktów, opieranie się na obiegowych, medialnych i sterowanych przekazach, jest niestety powszechne. Są głosy odrębne, są mądrzy ludzi, ale mają niedostateczną siłę przebicia.

Rządy Zjednoczonej Prawicy mogły skuteczniej walczyć informacyjnie, komunikacyjnie o prawdę o Polsce?

Powinniśmy próbować mocniej. Ale przy dysproporcji ich i naszej siły medialnej szanse na szybkie zwycięstwo na tym polu są ograniczone. Tym bardziej że część mediów w Polsce – panu tego nie muszę tłumaczyć – de facto nie jest polska, nie kieruje się interesem polskim. Wygrana jest zatem możliwa tylko na polu faktów, które tamtą stronę otrzeźwiają i które docierają do innych. Tak jak odważna polska decyzja o pełnoskalowym wsparciu Ukrainy czy decyzja o skokowym wzmocnieniu polskiej armii.

To też chyba nie za bardzo się w Berlinie czy Paryżu podoba?

Oczywiście, że się średnio podoba. Ale jest niezbędne, bo do niedawna filar Unii, nasz zachodni sąsiad, był wyznawcą fałszywego pacyfizmu, co w obliczu zagrożenia ze strony Rosji jest niebezpieczne, a drugi człon tandemu, Paryż, mówi, że ma broń, ale jej nie użyje. Musimy zatem, doceniając NATO, liczyć na siebie. Silna armia skutecznie i skokowo zwiększa wagę Polski w regionie i także wewnątrz Unii. Kompensuje wciąż istniejącą przewagę gospodarczą jej zachodniej części, której chcemy gospodarczo dorównać, a może i przegonić. A przede wszystkim to jest fakt, który zmienia sytuację. Słowa tej mocy nie mają, są mniej przekonujące. W relacjach z Unią powinniśmy opierać się bardziej na faktach, a nie słowach. Zresztą dużo wcześniej powinniśmy byli wywrócić stolik, co proponowałem w wywiadzie dla „Sieci" rok temu.

Co znaczy wywrócenie stolika dzisiaj?

W westernach stolik w grze jest wywracany, jeżeli okazuje się, że po drugiej stronie zasiadł oszust. Nie ulega kwestii, że zostaliśmy oszukani, mówili o tym czołowi politycy, w tym pan prezydent. Używając mniej rażącego niektórych terminu, chodzi o wybicie się na niepodległość w Unii, uzyskanie równoprawnego traktowania. Trzeba tego dokonać metodą prawnej, instytucjonalnej i politycznej obstrukcji. Sięgnęli po takie metody kiedyś Francuzi i Hiszpanie i do dzisiaj zbierają tego dobre owoce. My także potrzebujemy polityki bardziej asertywnej, twardej, zamiast polityki przeczekiwania w nadziei, że może Bruksela, Berlin, Paryż zrozumieją, będą mieli wyrzuty sumienia, nie zrobią czegoś, bo to nieładnie. Nic takiego się nie zdarzy, nigdy nie przyznają, że niemieckie sądy są dużo bardziej upolitycznione, że u nas jest pełen pluralizm, w tym mediów, silny demokratyczny mandat rządu, prezydenta oraz zdrowa i żywa demokracja.

Co robiliśmy i robimy źle?

Błędem było, że od początku tłumaczyliśmy się w każdej sprawie, że wchodziliśmy w pewne dyskusje, tłumaczyliśmy, że nie jesteśmy wielbłądem.

Chcieliśmy ich przekonać.

Błąd. Strategia Brukseli polega na pełzającym opanowywaniu nowych obszarów nienależnych kompetencji etapami, potocznie mówiąc, na miękko. Najpierw tylko pytają – w obszarach, do których nie mają kompetencji. Państwa członkostwie odpowiadają. To oni pytają dalej, potem oceniają, tworzą z pozoru niewinne dokumenty, w których są zarodki nowych uprawnień, na końcu żądają zmian. Dasz palec, wezmą rękę. Daliśmy się w to niestety wciągnąć w sprawie organizacji sądownictwa.

Gdzie kompetencje Unii są zerowe.

Dokładnie. Tłumaczyliśmy się długo z Krajowej Rady Sądownictwa, Izby Dyscyplinarnej, co stworzyło sytuację, w której oni mogą twierdzić, że my uznajemy ich kompetencje w tej materii.

W tym kontekście należy czytać te wrzutki o możliwości blokowania głównych funduszy strukturalnych dla Polski?

Tak. Tą wrzutką próbują pójść jeszcze dalej, otworzyć nowe pole nacisku i szantażu. Całkowicie bezprawnie.

Mogą zablokować te fundusze?

W sensie prawnym nie. Ale znalazłszy pretekst, są zdolni do wszystkiego. I zrobią to, jeżeli będą równie bezwzględni jak w sprawie KPO, a my nadal będziemy grzeczni. Trzeba z tym skończyć, przejść od defensywy do ofensywy. Musimy jasno zakreślić nasze czerwone linie, musimy jasno artykułować, co jest naszym witalnym interesem. To stary termin z okresu, gdy de Gaulle wywrócił stolik w czasie kryzysu luksemburskiego w 1965 r. i zmusił wszystkich do respektowania suwerenności i interesów Francji. Podobną taktykę zastosowali Hiszpanie, gdy ich poniżali i atakowali bardziej niż nas. Francuskie kanonierki strzelały do hiszpańskich statków rybackich w Zatoce Biskajskiej.

Jak zareagowali Hiszpanie?

Odpowiedzieli serią wet, blokad, twardą polityką. I skończyły się ataki i poniżanie. Mają KRS jak nasz, robią w Katalonii, co chcą, i nikt im słowa nie powie. Za kulisami opowiada się anegdoty o tym, że jak przyjeżdżała delegacja rządowa z Madrytu do Brukseli, to komisarze ze strachu zamykali się w gabinetach. Wiedza o tym, jak Hiszpanie, Portugalczycy wybili się na niepodległość w Unii, jest dostępna. Powinniśmy uczyć się na ich sukcesach. Po dobroci tam nic się nie osiągnie.

Muszę w tym momencie zgłosić kilka wątpliwości. To była inna Unia i ko-

eprasa.pl a228ebe70a

misja, TSUE nie sypał Hiszpanom natychmiast egzekwowanych kar.

Prawda. Degeneracja Unii jest faktem, proces ten opisałem w naszej rozmowie sprzed roku. Wiele się zmieniło, ale nadal pozostaje w mocy zasada, że asymetria sił nie wyklucza skutecznego używania posiadanych instrumentów. I my je mamy. Potocznie mówiąc – weto, precyzyjniej – obstrukcja na wszelkich możliwych polach, zmierzająca do tego, żeby sprawić, że druga strona będzie ponosić wysokie koszty swoich niecnych działań.

Drugie zastrzeżenie: to były silniejsze państwa, bez tak mocnej, hodowanej przez dekady partii zewnętrznej wewnątrz kraju.

Zgoda. Ten kontrast zobaczyliśmy także szczególnie ostro w ostatnim czasie, gdy po zwycięstwie prawicy we Włoszech próbowano budować narrację o zagrożeniu dla ich demokracji. Wszyscy politycy włoscy, także lewicowi, jednoznacznie to odrzucili. Powiedzieli: „To są nasze włoskie sprawy, wara wam!". Tak, mamy w Polsce totalną opozycję, jakiej nikt nie ma. Debata o przyczynach musiałaby być wielowątkowa. Od zaborów, przez PRL, po reklamówki z niemieckimi markami i współczesną korupcję polityczną, kiedyś zwaną potocznie sprzedajnością. Ale mimo że nie mamy innego wyjścia, musimy się wybić na niepodległość w Unii.

I trzecia uwaga, może najpoważniejsza. Co, jeżeli oni zmierzają do wypchnięcia nas z Unii? Czy możemy na te napięcia spojrzeć i z takiej perspektywy?

I tak, i nie. Na pewno nie chcą nas takich, jakimi jesteśmy, bo dziś bronimy naszych interesów i wartości. Jako negocjator akcesji do UE wiem, że są potężne środowiska, które w ogóle nie chciały rozszerzenia i do dziś go żałują. Ustąpiły tylko pod presją. Jest też przykład Wielkiej Brytanii, która po części wyszła sama, a po części ją wypchnięto, duża w tym „zasługa" Niemiec, Francji i Tuska. Pamiętajmy o słowach Martina Schulza, byłego niemieckiego przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, który powiedział, że do 2025 r. mają powstać Stany Zjednoczone Europy, a ci, którzy się nie zgodzą, niech idą precz.

I co my na to?

Polska słusznie zachowuje tu zimną krew i mówi, że my się z Unii nie damy wypchnąć, my zamierzamy razem z innymi zmieniać Unię.

Pytanie dla wielu obrazoburcze: jest życie poza Unią?

Jest, ale byłoby to życie geopolitycznie i gospodarczo gorsze. Było polską racją stanu wejście do Unii, ono dopełniało członkostwo w NATO. Zadaniem jest praca nad obroną tej formy Unii, do której wchodziliśmy, i powrót do jej korzeni. Jednak na pewno nie pomaga w tym tak często spotykana w Polsce tania i naiwna postawa euroentuzjastyczna. To paradoks, eurorealiści mogą w Unii więcej, mają silniejszą pozycję.

> Wielokrotnie w naszej historii narzucano nam obcego władcę, a potem kawałkowano kraj. Kostiumy są inne, istota zdarzeń i cel identyczne. Mamy też niestety współczesną Targowicę

Czyli wyjściem z tego dylematu polskiego patrioty – z jednej strony uznanie, że niepodległość jest święta, z drugiej rozumienie korzyści, jakie daje dostęp do wspólnego unijnego rynku i obecność w Unii – musi być w pana rozumieniu opracowanie i wdrożenie planu wybicia się na niepodległość wewnątrz Unii?

Tak, i to jest bliżej, niż sądzimy. Także dlatego, że tam wieją dziś różne wiatry, także dla nas korzystne. Policzyłem, że gdyby Wielka Brytania nie wyszła z Unii, to wspólnie z Włochami, Czechami, ze Szwedami i niebawem z Hiszpanią konserwatywne rządy miałyby mniejszość blokującą w Radzie UE. Nic by nie przechodziło bez naszej zgody. A przecież taka dobra zmiana jest możliwa także w innych krajach.

Wygląda to na wyścig z czasem. Czy szybciej domkną niemieckie superpaństwo, niż kolejne narody zdołają zorganizować opór?

Drugi raz jesteśmy już świadkami czegoś takiego. Gdy wchodziliśmy do Unii, też był wyścig z czasem – by zmieścić się w tamtym oknie możliwości, by nie pozostać po złej stronie. Patrz Ukraina i nie tylko. Dziś rzecz chodzi o to, byśmy zdążyli zanim dokonają się nieodwracalne zmiany ustrojowe. Co by nie mówić, raz przyjęte traktaty wiążą na bardzo długo. Rozplątanie tego może potem nie być możliwe albo zająć dekady.

Traktaty są ważne, choć oni ich nie przestrzegają?

Zdecydowanie. Choć je łamią, naginają, falandyzują prawo i pełzająco zawłaszczają nowe kompetencje, gwałcą ich ducha i literę, wciąż jesteśmy w prawie, nadal mamy szansę przywrócić ich przestrzeganie. Gdy traktaty się zmienią, będzie pozamiatane. Oni też to wiedzą, dlatego tak nas dociskają, chcą złamać i szybko sformalizować plan europejskiego superpaństwa. Dlatego potrzebna jest nasza czujność w sprawach ustroju UE, przeciwdziałanie i kontrofensywa.

Jak konkretnie mogłoby to wyglądać? Jak by pan to rozpisał na kolejne decyzje polityczne? Mamy zmianę na stanowisku ministra ds. Unii Europejskiej, Konrada Szymańskiego zastąpił Szymon Szynkowski vel Sęk, mieliśmy kilka wypowiedzi przywództwa politycznego obozu Zjednoczonej Prawicy. Co dalej?

Widać wyraźną zmianę. Wywiad „Dalej nie możemy się cofnąć. Była umowa – z naszej strony dotrzymana. Z tamtej złamana" Jarosława Kaczyńskiego na łamach „Sieci" otworzył nowy etap. Premier Piotr Gliński też w pana

eprasa.pl a228ebe70a

tygodniku stwierdził, że jak nadal będą blokowali bezprawnie fundusze z KPO, to pożyczymy sobie gdzie indziej, np. w Azji. A premier Mateusz Morawiecki mówił, że sami zrealizujemy projekty z KPO. Przekłada się to na jeden polityczny komunikat, dwa słowa: „Obejdziemy się".

To dobry ruch?

Jedyny słuszny. Wytrąca drugiej stronie broń z ręki. To jest to, co proponowałem: tam gdzie Unia zakłada nam podwójnego już teraz nelsona, bo po pocovidowym KPO ma być też Fundusz Bezpieczeństwa Energetycznego, nie mówiąc o grożeniu wstrzymaniem wypłaty funduszy strukturalnych, tam gdzie stosuje szantaże i przemoc prawno-instytucjonalną, tam musimy stosować adekwatne i zdecydowane riposty.

Słychać czasami na prawicy i taki argument na rzecz linii bycia grzecznym, tłumaczenia się: jednak rządy Zjednoczonej Prawicy trwają już siedem lat, nie zdołali ich obalić, realnie nas nie ugodzili. KPO teraz zmienia ten obraz, ale to też tylko czasowa blokada.

Nie zgadzam się z tym poglądem. Podjęto wobec nas całą serię działań wręcz wrogich, o daleko idących konsekwencjach. Wojna informacyjna, niszczenie wizerunku, przyprawianie gęby kraju rzekomo nieprawo-rządnego, niedemokratycznego, poniżanie, zabieranie naszych pieniędzy. Przez cały ten czas byliśmy spychani do defensywy w Unii, blokowano angaże i awanse dla Polaków, a w Parlamencie Europejskim sadzano w oślej ławce, zabierając należne nam funkcje. To się zaczęło w grudniu 2017 r., w momencie uruchomienia art. 7 wobec Polski przez KE, popartego zresztą przez Tuska.

Tam jednak nie znaleziono większości przeciw Polsce.

Ale narobiono wielkich szkód. I bezprawne grillowanie z art. 7 jest kontynuowane, a procedura ta powinna zostać dawno zamknięta, choćby teraz przez życzliwą prezydencję czeską. Będąc w defensywie, musimy bez przerwy odganiać się kijem od atakujących nas wilków, tłumaczyć z grzechów niepopełnionych, zamiast koncentrować się nad sprawami przyszłościowymi. To spowalnia nasz marsz do przodu i gonienie czołówki. To są dla nas realne straty, a dla nich korzyść. W ten sposób wolniej wybijamy się na niepodległość w UE. Drugiej stronie o to chodzi.

No dobrze, jak konkretnie ma wyglądać ta ofensywa? Czy ma pan jakiś plan?

Mam. Nazwałem to strategią blokady, a potocznie wywróceniem stolika, przejściem od obrony do ataku. U jej podstaw leży diagnoza, że jesteśmy przedmiotem ataku hybrydowego. Pokusiłbym się o przytoczenie słów znanych z filmu o Pearl Harbor: „To nie są ćwiczenia, to jest wojna!". Czas przyjąć do wiadomości, że Niemcy via Bruksela i lewicowo-liberalny mainstream wypowiedzieli nam niekonwencjonalną wojnę. Nie wiem, czy rację ma Jan Rokita, mówiąc, że sankcje nałożone na Polskę są większe niż nałożone na Rosję, ale na pewno jest to ten sam rząd wielkości. Odpowiedź musi być adekwatna. Musimy odstąpić od paradygmatu prawa, które gwałci druga strona, i przejść do paradygmatu siły, której ona używa. Na siłę odpowiada się siłą.

> Musimy odstąpić od paradygmatu prawa, które gwałci druga strona i przejść do paradygmatu siły, której ona używa. Na siłę odpowiada się siłą. Rozpisałem tę strategię na siedem działań. To siedem armat, które mamy

Bo nie o prawo i praworządność tu chodzi?

Nie, i nigdy nie chodziło. Za zamkniętymi drzwiami główni macherzy śmieją się z wierzących w to. Wyobraźmy sobie dwóch przeciwników stających do walki na udeptanej ziemi. Jeden to D'Artagnan, mistrz szpady z powieści Dumasa, przestrzegający rycerskich reguł, a drugi to facet, który wyciąga pistolet maszynowy i wystrzeliwuje cały magazynek. Po takich doświadczeniach powinniśmy to już wiedzieć. I co, dalej chcemy się fechtować? Nie możemy się godzić na tak nierówną konfrontację. W Unii niegdysiejsze okopy i karabiny zostały zastąpione przez paragrafy przepychane i używane pod presją polityczną. Natura ataku, jego brutalność, cele i skutki pozostały jednak takie same. Na końcu też chodzi o zniewolenie drugiej strony.

Załóżmy, że przechodzimy na paradygmat siły. Co robimy?

Rozpisałem tę strategię na siedem działań. To siedem armat, które mamy. Po pierwsze, możemy zaskarżyć Komisję Europejską do TSUE za bezprawne blokowanie naszego Krajowego Planu Odbudowy. Nie z wiarą, że trybunał sprawiedliwie to oceni. Ale taki ruch pokaże nadużycia komisji i polepszy naszą pozycję negocjacyjną. Odwracamy wtedy logikę: zamiast się tłumaczyć, oskarżamy.

Punkt drugi – pożyczyć brakujące pieniądze samemu, i tylko na to, czego najbardziej potrzebujemy, a nie na inwestycje w zieloną transformację energetyczną o tej skali. Nie chcą dać, trudno, zrobimy sami, inaczej i lepiej. Proszę mi wierzyć, przejmą się.

Dalej, punkt trzeci: zakwestionować unijny Fundusz Odbudowy, który powstał przecież za naszą zgodą, jest przez nas żyrowany i będzie spłacany.

Jest jeszcze taka możliwość?

Warto spróbować. To znowu przejście z defensywy do ofensywy. Możemy wystosować do wszystkich państw UE notę opartą na art. 62 konwencji wiedeńskiej.

eprasa.pl a228ebe70a

Chodzi o Konwencję wiedeńską o prawie traktatów z 1969 r.? Sięgam do art. 62, dotyczy on zasadniczej zmiany okoliczności.

To jest sytuacja wyczerpująca ten artykuł: my się zaangażowaliśmy, druga strona nie wywiązała się z podjętych zobowiązań, to mamy prawo się wycofać. Równocześnie w Sejmie możemy przegłosować bardzo krótką ustawę, która stwierdza, że z dniem takim a takim cofamy ratyfikację umowy w sprawie Funduszu Odbudowy i tzw. zasobów własnych.

Punkt czwarty – możemy zablokować pakiet nadambitnej transformacji energetycznej nazwany Fit for 55. Tam jest wprawdzie 14 aktów prawnych, ale z tego trzy najważniejsze powinny podlegać zasadzie jednomyślności, w tym jeden na 100 proc. – dyrektywa podatków. W pozostałych dwóch KE zastosowała złą podstawę prawną, co powinniśmy zresztą dla zasady zaskarżyć do TSUE.

Punkt piąty – zawetowanie trzech planowanych unijnych podatków: podatek od opłat ETS, CBAM – podatek od opłaty granicznej od śladu węglowego i podatek od korporacji międzynarodowych, z których ma być spłacany Fundusz Odbudowy. To jest w sumie 16 mld euro rocznie do budżetu unijnego. To sporo. Gdy tych pieniędzy zabraknie, trzeba będzie podnieść składkę państw członkowskich. A to trudne politycznie. Innymi słowy, możemy spróbować sparaliżować tworzone sposoby spłacania Funduszu Odbudowy. Argument: skoro nie korzystamy z niego, nie możemy zatem na tym etapie współdziałać. Warto rozważyć także samodzielne uchwalenie przez Polskę tych podatków, które Unia planuje. Wtedy to oni staną w sytuacji petenta, który będzie nas prosił o ustąpienie przestrzeni fiskalnej.

Zostały jeszcze dwa punkty pana planu.

Punkt szósty – odstąpienie od systemu ETS i polityki klimatycznej, które są jednym ze źródeł ubóstwa energetycznego obywateli i kłopotów firm, zwłaszcza w sytuacji kryzysu energetycznego i rosyjskiej wojny. To sprawa trudna i skomplikowana, ale samo wejście na tę drogę będzie miało mocny polityczny efekt, może też być zachętą dla innych krajów.

Jakiej argumentacji w pana ocenie należy używać przy zapowiedziach odejścia od tej morderczej polityki klimatycznej?

Krótko: chcielibyśmy to wdrażać, ale nie możemy, bo nie daliście nam zapisanych na ten cel pieniędzy, a w KPO zielone cele to przeszło 40 proc. I jeszcze nas dodatkowo straszycie blokadą głównych budżetowych funduszy strukturalnych, gdzie też są pieniądze na zielone cele. Nie płacicie – nie robimy.

Tu dochodzimy do punktu siódmego, którym jest uzyskanie silnego mandatu demokratycznego dla tych działań przez zorganizowanie referendum z pytaniem: „Czy Polska powinna realizować cele klimatyczne zadane przez UE mimo kryzysu energetycznego i rosyjskiej wojny na Ukrainie?”.

To byłby zaraźliwy przykład.

Oczywiście! I o to chodzi w tym przejściu do ofensywy. Musimy szukać i używać metod, które polepszają i wzmacniają naszą pozycję negocjacyjną i osłabiają pozycję drugiej strony. To kanon sztuki negocjacji. Musimy skoncentrować się na obszarach, w których konieczna jest niekwestionowana jednomyślność wszystkich państw i prawo weta. Jak wykazałem, jest ich sporo, będą się pojawiały nowe. Już planują nowy, pożyczony Fundusz Odbudowy, jak ten pocovidowy, w sprawie kryzysu energetycznego.

Dopóki nie zaczną traktować nas normalnie i respektować nasze uprawnione interesy – musimy blokować i wetować. Trzeba – powtórzę to – uznać, że nas zaatakowano. Skoro tak, to bycie miłym nic nie daje. Kto się tłumaczy, sam się oskarża, mówi francuskie przysłowie. Trzeba przejść do ofensywy i narzucić drugiej stronie wysokie koszty, tak by nie opłacała się jej dalsza eskalacja ataków na Polskę. Przeczekiwanie tylko do tego zachęca. Walczmy, policzmy działa i z nich strzelajmy. Ja znalazłem siedem, ale jestem pewien, że jak poszukamy, znajdzie się więcej.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a228ebe70a



Samobój

Publikacja „Newsweeka" o źródłach afery taśmowej miała się okazać ostatecznym dowodem na to, że rząd PiS w Polsce zamontowały rosyjskie służby. Wystarczyły dwie doby i ujawnienie szerszej treści zeznań, by Marcin W. z wiarygodnego świadka stał się dla opozycji gorącym kartoflem. Wróciła bowiem z pełną mocą dyskusja o łapówkach wręczanych politykom PO i najgorszej twarzy partii Tuska, którą znamy z rozmów w drogich restauracjach



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Dawno już w polskiej polityce nie było tak spektakularnego zwrotu akcji. Gdyby poruszać się w znanej Donaldowi Tuskowi piłkarskiej nomenklaturze, szef PO strzelił sobie całkiem efektownego samobója. Obrazując to filmowo, trzeba by sięgnąć do nieśmiesznych komediowych gagów ze skórką od banana albo nastąpieniem na grabie. Opowiadając o wiarygodności Marcina W., były premier nabił sobie naprawdę solidnego guza. To także rozmowa o wiarygodności mediów, które pędząc na pomoc opozycji, od razu stawiają przed sobą tezę i nie próbują jej nawet zweryfikować. Ale dzisiaj stoi przed nami jeszcze jedno kluczowe pytanie. Czy powrót do afery taśmowej (tym razem na wyraźne życzenie Tuska) pogrzebie Platformę po raz kolejny?

AKCJA I REAKCJA

Trudno uwierzyć, że tak doświadczony polityk jak Donald Tusk dał się aż tak bardzo ponieść emocjom i bez weryfikacji uległ złudzeniu, że „Newsweek" naprawdę odpalił bombę, która ma wysadzić rząd Zjednoczonej Prawicy w powietrze. Politycy Platformy tak bardzo chcą władzy, że cel przesłania im racjonalne myślenie. A wątpliwy tekst Grzegorza Rzeczkowskiego o zamontowaniu rządu PiS w Polsce przez Rosjan spłynął na nich jak najmilszy prezent. Tusk znów marszczył brew, ale był w doskonałym humorze, pokusił się nawet o autoironię, zapowiadając konferencję prasową podobnymi słowami jak w 2014 r., gdy wybuchła afera taśmowa (wtedy do tej konferencji nie doszło): „Przykra sprawa. Nie lekceważę jej. We wtorek o 13 odniosę się do niej publicznie.

eprasa.pl a228ebe70a

Tak, to o aferze podsłuchowej. Pisowskiej aferze. I o scenariuszu napisanym dla Kaczyńskiego obcym alfabetem". Ku zaskoczeniu szefa PO odbezpieczony granat znalazł się szybko znów w jego rękach.

Były premier na konferencji prasowej przypomniał własną wersję scenariusza obalenia rządu PO-PSL w 2015 r. Najmocniejszym punktem oparcia w tej opowieści był wspomniany artykuł „Newsweeka" i jego teza o rosyjskich służbach, które miały odkupić od Marka Falenty taśmy z nagranymi w warszawskich restauracjach najważniejszymi politykami PO i topowymi polskimi biznesmenami, a potem nimi grać, by zmienić władzę w Polsce. Tusk zażądał sejmowej komisji śledczej, bo „prokuratura nie jest godna zaufania", „wątek szpiegowski w śledztwie w zasadzie się nie pojawia", a „Ziobro jest tajemniczy". „Żeby nikt w Polsce nie mógł snuć domysłów, że tak naprawdę władza PiS została tutaj zamontowana przez rosyjskie służby. [...] Panie prezesie Kaczyński, to jest w interesie Polski, ale także w interesie pana i pańskiej partii. Aby nie pozostała ta wyjątkowo niepokojąca dwuznaczność, ten cień wiszący dzisiaj nad waszymi rządami. Ta bardzo przykra, ponura smuga" – mówił Donald Tusk. W swoim wywodzie opierał się na ujawnionych przez „Newsweek" zeznaniach kluczowego świadka, Marcina W. (za chwilę do nich wrócimy), współpracownika Marka Falenty (to on był głównym organizatorem nagrań, on nimi dysponował).

Żeby nie dać się rozpędzić kolejnej aferze, zareagował Zbigniew Ziobro. Na jego polecenie Prokuratura Krajowa upubliczniła sześć protokołów z wyjaśnieniami W. „Donald Tusk, przewodniczący Platformy Obywatelskiej, publicznie postawił poważne oskarżenia wobec prokuratury dotyczące rzekomego zatajania informacji i zaniechań w śledztwie. Powołał się na jeden z protokołów wyjaśnień Marcina W., pomijając inne jego relacje procesowe [...]. Dlatego postanowiłem, że interes publiczny wymaga, by obywatele poznali całość złożonych przez niego relacji dotyczących wątku kryminalno-politycznego w kontekście związków z Rosją" – napisał Ziobro w uzasadnieniu swojej decyzji. I dodał, że „w przeciwieństwie do pana Donalda Tuska – prokuratura nie podchodzi do ich treści bezkrytycznie".

WBREW SOBIE

Do tekstu w „Newsweeku" (wydawnictwo Ringier Axel Springer Polska) doprawdy ciężko odnosić się poważnie. Jego autor opiera się na protokole ze śledztwa, w którym Marcin W. twierdzi, że Rosjanie kupili taśmy od Falenty w maju 2014 r. Miesiąc później o sprawie zaczęły pisać media. Rzeczkowski chce, żebyśmy uwierzyli, iż dziennikarze tygodnika „Wprost", którzy nagłośnili aferę, dostali nagrania z Rosji. I że Rosjanie zrobili to po to, by odsunąć od władzy Platformę, a zastąpić ją PiS. To niezwykle karkołomna teza, wszak koalicja PO-PSL realizowała politykę wyjątkowo korzystną dla Moskwy (dowiadujemy się tego m.in. z samych nagrań – vide rozmowa Jana Kulczyka z Pawłem Grasiem), a PiS to najbardziej krytycznie nastawiona do Rosji formacja polityczna, zwłaszcza po 2010 r.

Dodajmy, że gdyby „Wprost" nie opublikował pierwszych taśm, nagrywanie trwałoby w najlepsze, a więc Rosjanie gromadziliby jeszcze bogatszy materiał do kompromitowania polityków PO. Byłoby zatem idiotyzmem z ich strony odpalanie sprawy w czerwcu 2014 r., na półtora roku przed wyborami.

Warto jeszcze przez chwilę skupić się na autorze tych sensacji, to nowa gwiazda w panteonie „Newsweeka" prowadzonym od niedawna przez Tomasza Sekielskiego. Grzegorz Rzeczkowski wcześniej publikował w „Gazecie Wyborczej", „Przekroju" czy „Polityce". To człowiek, który chyba pozazdrościł Tomaszowi Piątkowi popularności w lewicowo-liberalnych kręgach poszukujących dowodów na konszachty polskiej prawicy z Rosją. I zaczął się z Piątkiem ścigać. Jego szczytowym osiągnięciem była książka poświęcona aferze taśmowej. Już jej tytuł – „Obcym alfabetem. Jak ludzie Kremla i PiS zagrali podsłuchami" – pokazuje fundamentalny rozdźwięk między sensacjami autora z 2019 r. a dzisiejszymi. W książce Rzeczkowski stawia tezę, że operacja podsłuchiwania rozmów polityków w restauracjach została zaplanowana i była nadzorowana w Rosji. Tak o genezie sprawy opowiadał w promocyjnym wywiadzie dla „Krytyki Politycznej": „Najpierw Rosjanie chcieli po prostu zdobywać informacje, to była taka defensywna operacja wywiadowcza. Na zasadzie: zastawiamy fotopułapkę w środku lasu i patrzymy, jaki zwierz się złapie, czyli w tym wypadku – kto się da nagrać".

> W swojej książce Rzeczkowski stawia tezę, że operacja podsłuchiwania polityków w restauracjach została zaplanowana i była nadzorowana w Rosji. Teraz radykalnie zmienił zdanie co do kulisów potężnej afery politycznej

Czy można wierzyć dziennikarzowi, który tak radykalnie zmienia zdanie co do kulisów potężnej afery politycznej? A może wcale nie zmienia? Może będzie chciał nas przekonać, że jedne jego twierdzenia nie wykluczają innych i Rosjanie po prostu... kupili nagrania, które sami zorganizowali?

Te niedorzeczności nie wzbudziły jednak podejrzeń polityków PO. Ich marzenia o końcu PiS zostały brutalnie przerwane zleconą przez Zbigniewa Ziobrę publikacją protokołów z zeznań Marcina W.

TYLKO KAWAŁEK PRAWDY

Marcin W. to oszust, który zeznając zarówno w prokuraturze, jak i w CBA, mógł po prostu kłamać, by poprawić swoją sytuację. Był oskarżony o duże oszustwa na podatku VAT. Obecnie toczy się też śledztwo w sprawie założenia i kierowania przez niego i Falentę zorganizowanej grupy przestępczej. Walczy

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl a228ebe70a



Marcin W. i Marek Falenta na balu marszałka kujawsko-pomorskiego w Dworze Artusa w Toruniu, 18 stycznia 2014 r.

więc o nadzwyczajne złagodzenie kary, by uzyskać status małego świadka koronnego, mógł fantazjować i brali to pod uwagę wszyscy, włącznie z organami ścigania. Za wiarygodnego uznali go dziennikarze „Newsweeka". Poszli za tym politycy PO, bo opisany w tygodniku wycinek „prawdy" akurat pasował do ich narracji o rzekomych kontaktach PiS z rosyjskimi służbami. Całość zeznań nie była już jednak tak użyteczna dla żądnej władzy opozycji. Boleśnie obosieczny staje się także w tym momencie przytaczany w tygodniku argument, że Marcin W. był badany wariografem i przeszedł pomyślnie test.

Sześć protokołów upublicznionych na stronie internetowej Prokuratury Krajowej pochodzi z lat 2014, 2015, 2017, 2018, 2019 i 2021. Początkowo jest to opowieść o właścicielu firmy importującej i sprzedającej węgiel, który choć ma pieniądze, marzy o zrobieniu naprawdę dużego dealu. Chodziło o sprowadzenie z Rosji nawet 1 mln ton węgla, który miał przez polskie składy trafić do przemysłu. Z opowieści Marcina W. dowiadujemy się, że pomysł, by zawrzeć umowę z działającym w sektorze chemicznym przedsiębiorstwem Ciech przynosi do niego Marek Falenta. „Firma skladywegla.pl miała być buforem polskości, ponieważ chodziło o to, by węgiel nie trafiał do Ciechu bezpośrednio z Rosji" – czytamy w zeznaniach W. Żeby jednak tak duża umowa z firmą państwową (w trakcie dopiero finalizowano sprzedaż Ciechu firmie Jana Kulczyka) była możliwa, było konieczne wręczenie łapówki. I tutaj zaczyna się wątek, którego Donald Tusk chyba nie chciałby drążyć.

To fragment zeznań złożonych przez Marcina W. w Prokuraturze Regionalnej w Katowicach 20 listopada 2017 r.: „Mam pełną świadomość, że ta prowizja to była łapówka. [...] Postawiłem warunek, że zgadzam się na tak wysoką łapówkę tylko wtedy, gdy Michał Tusk przyjdzie po nią sam. Zapytałem Falentę, czy to są pieniądze dla »samego szefa szefów«, czyli Donalda Tuska. Odpowiedź Falenty była następująca: »Nie, są to pieniądze partyjne i dlatego zawsze będziemy bezpieczni«. Była to kwota 600 tys. euro". I dalej: „Powiedziałem Falencie, że włożę te pieniądze do foliowej reklamówki ze sklepu Biedronka i powiedziałem do Falenty, cytuję: »Niech żul ma to w takiej torbie, na jaką zasługuje«". Rok później w Prokuraturze Okręgowej w Łodzi W. opowiadał o tym dokładniej: „[...] dla mnie osoby, które brały łapówki, to szmaciarzami są i stąd takie moje określenie. [...] był to mój żarcik sytuacyjny. Na tamte czasy Biedronka była synonimem »bidy« i chodziło mi, żeby pieniądze przekazać właśnie w taki sposób".

Samo spotkanie z Michałem Tuskiem miało być bardzo krótkie, miało do niego dojść w siedzibie firmy Falenty. W. zeznaje: „Ja uznałem, że mogę do Michała Tuska mówić na »ty«, skoro przekazuję mu 600 tys. euro. Ja siedziałem za biurkiem Falenty, dlatego mnie na nagraniu nie widać, ale słychać. Marek Falenta siedział na jednym z foteli, a na ziemi obok ławy postawiłem reklamówkę z kasą. Michał wszedł i powiedział: »Witam panowie«. Falenta powiedział: »To jest dla ciebie ta reklamówka«. Michał rozchylił tę reklamówkę i spytał: »Czy kasa się zgadza?«. Ja wtedy nie wytrzymałem. Zapytałem: »Czy to są jakieś jaja, tak byś wziął reklamówkę i wyszedł. A co, jak kasa się nie zgadza?«. On powiedział: »Nie wiem, czy oglądamy te same filmy, ale jak się jebnąłeś, to ciebie odjebią«. Ja mu odpowiedziałem: »Tak, oglądamy te same filmy, też oglądałem 'Odwróconych' czy 'Świadka koronnego'«. Odpowiedział: »Cześć« i wyszedł z reklamówką".

KOMISJA WYJAŚNI?

Według zeznań Marcina W. to spotkanie miało zostać nagrane dwiema kamerami, a on sam miał otrzymać film od Falenty

eprasa.pl a228ebe70a

10 minut później. Jego telefon (na którym miał film) – jak wynika z wyjaśnień – miał zostać zniszczony, w czym swój udział miały mieć służby nadzorowane przez ówczesnego premiera Donalda Tuska.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że nie da się stwierdzić, czy jakikolwiek fragment tej opowieści jest prawdziwy. Można za to stawiać pytania, z których dwa wydają się najistotniejsze. Czy jest jakaś inna kopia tego nagrania? Czy to, że Marcin W. tak bezceremonialnie oskarżał syna premiera, ma jakieś podstawy, czy to tylko strategia procesowa?

Michał Tusk nie odpowiedział na pytania tygodnika „Sieci". W rozmowie z Onetem stwierdził, że zawarte w protokołach zeznania Marcina W. to totalne bzdury, a on nie zna ani W., ani Falenty. „Informacje o tych zeznaniach pojawiały się już w mediach. Prokuratura ma je od lat. Nigdy przez te wszystkie lata nie byłem nawet przesłuchiwany w tej sprawie" – dodał syn byłego premiera. Donald Tusk skupił się raczej na atakowaniu ministra Ziobry, który zdecydował o ujawnieniu protokołów (z zastrzeżeniem, by nie traktować ich bezkrytycznie). Lider opozycji uważa mimo to, że „używanie prokuratury, żeby atakować jego rodzinę, to rosyjskie metody". Dodał, że nie odstępuje od pomysłu powołania komisji śledczej.

W tym tonie wypowiadał się też na ubiegłotygodniowym posiedzeniu Sejmu Borys Budka, szef klubu PO. Ujawnienie przez Ziobrę protokołów z zeznań W. nazywał „putinowskimi metodami walki z opozycją" i zażądał „wprowadzenia do porządku obrad projektu uchwały sejmowej komisji śledczej do wyjaśnienia afery szpiegowskiej i wpływu rosyjskich służb już nie tylko na obalenie polskiego rządu (chodzi o rząd PO-PSL – przyp. red.), ale przede wszystkim na siedem lat ostatniej polityki energetycznej w Polsce".

Na stronach Sejmu RP bez trudu można odnaleźć wyniki głosowania z 11 czerwca 2015 r. nad wnioskiem posłów PiS o powołanie komisji śledczej w sprawie podsłuchów. Przeciwko było 197 posłów PO wraz z ówczesną premier Ewą Kopacz i głośnym dzisiaj Borysem Budką. Nie poparli wniosku także w przeważającej większości ludowcy, którzy teraz – jak twierdzi prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz – byliby za powstaniem komisji. Wiele wskazuje więc na to, że gardłowanie za sejmowym śledztwem ma być ucieczką Platformy do przodu. Jak najszybszym zatarciem złego wrażenia po pompowaniu zeznań W., z których teraz – gdy obciążają także swoich – trzeba się wycofać. Czy to się uda?

CO BYŁO KIEDYŚ?

Co działo się w latach 2014–2015, gdy afera taśmowa wybuchła, a prokuraturą kierował teoretycznie niezależny Andrzej Seremet? W rzeczywistości był zależny od widzimisię premiera, który mógł nie podpisać jego rocznego sprawozdania i tym samym doprowadzić do odwołania prokuratora generalnego. A Tusk lubił pogrywać tą kompetencją i miesiącami trzymać Seremeta w niepewności, czy utrzyma stanowisko.

Czy wówczas śledczy sprawdzali wątek sprzedaży Rosjanom nagrań? Nie, nie ma najmniejszego śladu takich działań. Dlatego tak zaskakująca jest informacja w artykule „Newsweeka", że już w latach 2014–2015 kontrwywiad miał wiedzieć, iż Falenta sprzedał taśmy Rosjanom, lecz „zabrakło czasu, by nasze podejrzenia oraz informacje operacyjne przekuć w dowody"? Jak zatem działał ten kontrwywiad? 1,5 roku nie wystarczyło, by cokolwiek w tak ważnej sprawie ustalić?

> Marzenia polityków PO o końcu PiS zostały brutalnie przerwane zleconą przez Zbigniewa Ziobrę publikacją protokołów z zeznań Marcina W.

A może prawdą jest, że ABW nie była zaangażowana w sprawę, bo służbie tej nie ufał minister Bartłomiej Sienkiewicz, podejrzewając, iż jej funkcjonariusze mogli być zamieszani w aferę. Pytanie brzmi: dlaczego zatem w 2015 r. szef ABW otrzymał awans generalski od prezydenta Bronisława Komorowskiego? I czy mamy sądzić, że w czasie rządów PO-PSL polskim kontrwywiadem kręcili Rosjanie? Jak widać, nic tu się nie trzyma kupy.

Mamy 2022 r. Zasady powoływania komisji śledczej w Sejmie się nie zmieniły, potrzeba bezwzględnej większości głosów (więcej niż 50 proc.). Jest więc jasne, że bez zgody Zjednoczonej Prawicy to się nie stanie. Ale przeważa tutaj nie tylko partyjna



Autopromocja

eprasa.pl a228ebe70a



Michał Tusk zaprzecza słowom Marcina W. „Informacje o tych zeznaniach pojawiały się już w mediach. Prokuratura ma je od lat. Nigdy przez te wszystkie lata nie byłem nawet przesłuchiwany w tej sprawie" – oświadczył

Fot. Piotr Hukało / EastNews

niezgoda, warto przypomnieć, że komisję powołuje się, gdy zawiodą inne organy państwa. W sprawie, w której wyjaśnienia składał Marcin W., wciąż działa prokuratura.

O CZYM TA OPOWIEŚĆ?

Z publicystycznego punktu widzenia komisja śledcza w sprawie afery podsłuchowej byłaby doskonałym pretekstem do przypomnienia tych wszystkich oburzających dialogów, które poznaliśmy dzięki publikacjom „Wprost". I – jak się okazuje – nie tylko tych. Bo nowe protokoły przynoszą np. opowieść o tym, jak Falenta i jego wspólnicy karmili polityków, by mieć swobodę robienia biznesów na dużą skalę.

W upublicznionych teraz zeznaniach Marcina W. jest wątek byłego ministra transportu i szefa gabinetu politycznego premiera Tuska. „Wyjaśniam, że było to na wiosnę 2014 r., dokładnie daty nie pamiętam. Zaczęło się od tego, że Marek Falenta powiedział, żebym podrzucił Sławkowi Nowakowi parę groszy, bo zapomniał portfela. Mnie nie interesowało, za co i po co, jednakże pojechałem do hotelu Sheraton albo Hyatt. Tam spotkałem się w lobby ze Sławomirem Nowakiem. […] Samo przekazanie pieniędzy wyglądało w taki sposób, że powiedziałem do niego: »Miałem ci dać 6 tys. zł lub 6,5 tys. zł«. On odpowiedział: »Tak, tak, miałeś mi pożyczyć«. Wtedy odpowiedziałem: »Ja nie pożyczam pieniędzy, Marek powiedział, że mam ci dać. Jeśli chcesz, żebym ci dał, to ci dam, ale ci nie pożyczę«. Odpowiedział: »No dobra, to daj«. Doszło do przekazania tych pieniędzy, gdy byliśmy sam na sam. To nie było zbytnie chowanie tego spotkania. Myślę, że jeżeli tam były kamery, to jest to zarejestrowane". Ile jest w tym prawdy? Trudno domniemywać, zalecamy ostrożność. Komisja śledcza zapewne próbowałaby to wyjaśnić.

Konieczny byłby też powrót do nagrań z restauracji Sowa i Przyjaciele czy Amber Room. O ile sposób ich pozyskania może budzić wątpliwości, to już treść rozmów jest na 100 proc. autentyczna. Można przecież rozpoznać poszczególne głosy. Za organizację podsłuchów skazano kelnerów i Marka Falentę. Czy działali na zlecenie obcych służb? Tego nie wiemy. Ale przecież żaden Rosjanin nie zmuszał Sienkiewicza, Sikorskiego, Grasia, Krawca, Nowaka, Bieńkowskiej, Gawłowskiego, Janickiego, Kwiatkowskiego, Misiaka, Rostowskiego czy Wojtunika do mówienia tego, co mówili. Wpadli na własne życzenie.

> Marcin W. w swoich zeznaniach oskarżał syna ówczesnego premiera o przyjęcie łapówki. Michał Tusk w rozmowie z Onetem stwierdził, że zeznania Marcina W. to totalne bzdury, a on nie zna ani W., ani Falenty

W połowie 2014 r. rząd PO-PSL zaczynał solidnie dołować w sondażach. Polacy zaczynali rozumieć, że władza, która dba w pierwszym odruchu o siebie i elity, a dopiero potem o biedniejszych i wykluczonych społecznie, musi odejść. Taśmy były tylko potwierdzeniem, że mamy do czynienia z watahą ordynusów, która stołując się w drogich knajpach za pieniądze podatników, prowadziła knajackie pogawędki o brudnych metodach utrzymania władzy. Zobaczyliśmy wówczas ich prawdziwy obraz oraz szersze tła wielu mniejszych afer, które co jakiś wstrząsały ekipą PO-PSL.

Naprawdę Donald Tusk chce, żeby znów mówiła o tym cała Polska?

Reklama | 31/0922/F

eprasa.pl a228ebe70a

WYGRYWAMY RAZEM!

17,7 MLD ZŁ

przekazane na polski sport i kulturę.

Łączna kwota wsparcia od 1994 roku.

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY W POLSCE

TOTALIZATOR
SPORTOWY

#WygrywamyRazem

eprasa.pl a228ebe70a



Przecieki i fake newsy o blokowaniu przez Unię europejskich funduszy dla Polski mają jeden cel. Chodzi o zmianę rządu w naszym kraju

Pała na Polskę



STANISŁAW JANECKI

Gdy 2 marca 2022 r. pojawiły się „Wytyczne dotyczące stosowania rozporządzenia (UE, Euratom) 2020/2092 w sprawie ogólnego systemu warunkowości służącego ochronie budżetu Unii", wiadomo było, że z tej pały ktoś zechce skorzystać. To było zresztą oczywiste już 16 grudnia 2020 r., gdy można było poznać treść samego rozporządzenia. Przed październikiem 2022 r. pałę zastosowano (zrobiła to Komisja Europejska) wobec pieniędzy należących się Polsce w ramach Krajowego Planu Odbudowy (35,4 mld euro), wymyślając łamanie ustaleń znanych jako „kamienie milowe", czyli czegoś, co miało się mieścić w podstawach „ogólnego systemu warunkowości".

W październiku 2022 r. różni unijni urzędnicy zaczęli rozciągać ten system na pieniądze z Funduszu Spójności (76 mld euro). Nie powstawały żadne oficjalne dokumenty czy wezwania kierowane do rządu w Warszawie, bo taki jest wymóg, tylko przecieki do mediów. Można to zawsze uzasadnić, skoro w wytycznych zapisano, że „rozporządzenie w sprawie warunkowości jest stałym instrumentem mającym zastosowanie poza granicami danych wieloletnich ram finansowych". Wytyczne do rozporządzenia są tak skonstruowane, żeby udowodnienie łamania zasady państwa prawnego było równie łatwe jak potwierdzenie konkretnego dnia tygodnia. A związków między ochroną budżetu Unii a działaniami ocenianymi jako łamanie zasady państwa prawa nie trzeba nawet udowadniać, skoro orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej umożliwiają zaliczenie do takich działań wszystkiego, co jakiemuś urzędnikowi Komisji Europejskiej przyjdzie do głowy. I przychodzi,

eprasa.pl a228ebe70a

szczególnie komisarzom Věrze Jourovej i Didierowi Reyndersowi.

W rzeczywistości nie chodzi o żadne zasady, wykładnie czy orzeczenia TSUE, tylko o wolę Komisji Europejskiej (a poprzez nią wolę Berlina), by mścić się na Polsce, ustawiać ją na baczność, dyskryminować, a przez to osłabiać, a ostatecznie, by zmienić w niej rząd i uczynić niesuwerenną. Gdy czyta się wytyczne do rozporządzenia w sprawie warunkowości, układają się one w szczegółowy plan wykończenia Polski i każdego państwa, które poszłoby jej śladem, choć pełno tam wzniosłych definicji, odniesień do wartości (z art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej), związków logicznych (choć raczej paranoicznych) i postulatów mających służyć UE i jej jedności, a *de facto* ją rujnujących i rozbijających.

Widać, że toczy się gra o Polskę. Z jednej strony o to, by ją spętać, ograniczyć i faktycznie nią zarządzać, z drugiej – o to, by mogła funkcjonować na zasadach, które obowiązywały w momencie wstępowania do UE, gdy nikt nawet nie pomyślał o takich scenariuszach jej rozwoju, które pozwalałyby wyrwać się Polsce z niemieckiej Europy albo z przewidzianego dla niej eurokołchozu.

KARTA PRAW PODSTAWOWYCH

Pierwsze pojawiły się przecieki, czyli naciski, które skupiły się na tym, że ponoć Polska nie przedstawiła zasad monitorowania Karty praw podstawowych, a konkretnie niedostatecznie chroni LGBT+. A skoro się niedostatecznie chroni LGBT+, to szwankuje też „ochrona budżetu Unii". Takie łamańce prawne i logiczne są możliwe, skoro w wytycznych do rozporządzenia zapisano, że „w przypadku naruszeń zasad państwa prawnego w odniesieniu do Karty praw podstawowych Unii Europejskiej, które mają wpływ na realizację programu Unii, rozporządzenie w sprawie warunkowości może być bardziej skuteczne, o ile przewiduje również możliwość zawieszenia zatwierdzenia lub zmiany programu, a w konsekwencji dalsze wzmocnienie ochrony budżetu Unii dzięki jego skutkowi zapobiegawczemu". Zawieszając wypłaty z powodu domniemania naruszenia praw LGBT+, realizuje się program Unii (czymkolwiek by on był), czyli wzmacnia ochronę budżetu Unii. I taką wykładnię rzucono w przeciekach, powołując się przy tym na blokowanie pieniędzy w 2021 r. dla „stref wolnych od ideologii LGBT+" (w ramach budżetu 2014–2020), choć faktycznie żadnych stref tego rodzaju w Polsce nie wprowadzono.

O tym, że Polska nie spełnia warunku skutecznego stosowania i wdrażania Karty praw podstawowych – oświecił media (najpierw „Financial Times", a potem „Rzeczpospolitą") Marc Lemaître, szef dyrekcji ds. polityki regionalnej. A skoro nie spełnia, ma dostęp tylko do mniej więcej 1 proc. funduszy, „głównie w ramach pomocy technicznej przy opracowaniu planów inwestycji". Przecieki sugerowały, że Komisja Europejska domaga się, by w przygotowywanych w Polsce programach dotyczących polityki spójności znalazły się gwarancje, że unijne fundusze nie pójdą na finansowanie inwestycji w „strefach wolnych od ideologii LGBT+". Nie szkodzi, iż takich stref nie ma, skoro można udowodnić, że są, bo ktoś przyczepił do znaków miejscowości jakieś tablice, sfotografował je, a eurodeputowani i unijni urzędnicy uznali, że to wystarczający dowód na istnienie takich stref.

Polska ma też nie stwarzać gwarancji zaskarżalności do sądów decyzji o inwestycjach wpływających na środowisko, co mają oceniać organizacje pozarządowe. I kiedy im się konkretna inwestycja nie podoba, mogą ją zablokować, występując do sądu. Nic nie szkodzi, że w ostatnich miesiącach pojawiły się dziesiątki informacji o bezpośrednim wpływie Rosji na te organizacje i ich decyzje.

Wyciągnięcie Karty praw podstawowych jako narzędzia wojny z Polską wynika z tego, że 2022 r. się kończy, a słabo idzie dowodzenie, iż w Polsce obywatele nie mają dostępu do niezależnego sądownictwa. Takie rzeczy są zastrzeżone do procedury z art. 7 Traktatu o UE, a tam mimo wszystko nie można działać całkiem „na rympał". W dodatku TSUE regularnie odrzucał żądania, by Polskę wykluczyć z europejskiego nakazu aresztowania, skoro ma u nas nie być niezależnego sądownictwa. I stała się rzecz straszna dla różnych „wolnych sądów", gdyż TSUE jednak odpowiedział na pytanie prejudycjalne tych, których nazywa się neosędziami, czyli uznał, że pytania zadali prawdziwi sędziowie pracujący w prawdziwym sądzie. W tej sytuacji Komisja Europejska nie miała innego wyjścia, niż uznać, że Polska nie podpada pod postępowanie „pieniądze za praworządność", co otwarcie przyznał Johannes Hahn, komisarz ds. budżetu. On też potwierdził eurodeputowanemu Witoldowi Waszczykowskiemu, że nie istnieją „wątpliwości wobec budżetu dla Polski". Ale im bardziej nie istnieją, tym częściej trzeba mówić, że istnieją. Dlatego 18 października 2022 r. podczas obrad Rady UE w Luksemburgu ministrowie państw członkowskich „dyskutowali" o stanie praworządności w Polsce. Na gadaniu się skończyło, bowiem nie ma dostatecznej większości (22 z 27 głosów, faktycznie jest 12), by zatwierdzić zalecenia naprawcze dla Polski, a tym bardziej nie ma jednomyślności, by nałożyć sankcje. Ale zawsze można straszyć Polaków i wpływać na społeczne nastroje, co miałoby się przełożyć na wyniki wyborów parlamentarnych.

Bardzo chciałaby zaszkodzić Polsce komisarz Věra Jourová, wiceprzewodnicząca komisji, ale ministrowie podczas obrad Rady UE nie chcieli brać udziału w jej wojnach. Nie chce też brać w nich udziału polski rząd. Wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński określił opowieści o możliwej blokadzie części środków dla Polski mianem nadinterpretacji faktów. „Nie ma żadnej decyzji o zablokowaniu środków UE dla Polski. Wyłącznym źródłem wszystkich spekulacji jest jedna, wyrwana z kontekstu wypowiedź urzędnika UE, i to nie najwyższego szczebla". Minister Jabłoński oświadczył, że „szantaż polityczny jest narzędziem do osiągania zamierzonych celów przez opozycję, która za wszelką cenę chce obalić aktualny rząd, chce odzyskać władzę. [...] W tym celu posługuje się narzędziami rodem z kryminalnego szantażu – bo cóż to znaczy, że politycy Platformy mówią, że wystarczy, że nas wybierzecie, a za chwilę pojawią się pieniądze". A „część sędziów i polityków zagranicznych wpisuje się w działania polityczne opozycji".

Fot. ilolab / Shutterstock

eprasa.pl a228ebe70a

KARA ZA PRAWDOPODOBIEŃSTWO

Paliwem dla nieprzyjaciół Polski w kraju i za granicą są zapisy wytycznych do rozporządzenia w sprawie ogólnego systemu warunkowości służącego ochronie budżetu Unii. Jest tam m.in. fragment wykorzystywany do insynuowania, że w Polsce dyskryminuje się LGBT+: „Należy stwierdzić, że nie można uznać, iż państwo członkowskie, którego społeczeństwo charakteryzuje się dyskryminacją, zapewnia poszanowanie państwa prawnego w rozumieniu tej wspólnej wartości". Nie szkodzi, że nie ma dowodów, iż polskie społeczeństwo się tym charakteryzuje. Kto zresztą miałby to oceniać i na jakiej podstawie? Jeszcze większe pole do popisu daje fragment o tym, że „Komisja może ocenić zarówno działania, jak i zaniechania organów publicznych". Jeśli zatem ktoś w Brukseli uzna, że polskie władze zaniechały działań na rzecz LGBT+, to może uczynić z tego zarzut i domagać się kar czy blokowania środków. Może się okazać, że zaniechaniem jest np. brak instytucji małżeństw jednopłciowych, choć instytucje UE nie mają żadnych uprawnień, żeby to narzucić. Wystarczy powołać się na taki fragment wytycznych do rozporządzenia: „Skuteczne stosowanie i wdrażanie Karty praw podstawowych Unii Europejskiej jest horyzontalnym warunkiem podstawowym w rozumieniu art. 15 rozporządzenia w sprawie wspólnych przepisów. […] Jeżeli państwo członkowskie nie spełnia warunku podstawowego, komisja nie zwraca wydatków związanych z operacjami powiązanymi z odnośnymi celami szczegółowymi, z wyjątkiem wydatków, które przyczyniają się do spełnienia odpowiedniego warunku podstawowego". To oczywisty absurd, a jeszcze większym jest zapis, że wystarczy stwierdzenie „poważnego ryzyka". A można je „ustalić w przypadkach, w których skutki danego naruszenia zasad państwa prawnego, choć nie zostały jeszcze udowodnione, można jednak racjonalnie przewidzieć, ponieważ istnieje duże prawdopodobieństwo ich wystąpienia". Nie trzeba nic zrobić, wystarczy, że ktoś uzna, iż może się tak zdarzyć. Co oznacza, że można być karanym za czyny spodziewane w przyszłości. Takiego idiotyzmu nie znał nawet system prawny w Związku Sowieckim.

Nie dość, że można karać za prawdopodobieństwo wystąpienia czegoś, to ukarany musi się wywiązać ze zobowiązań. W wytycznych czytamy, że „nałożenie środków nie zmienia istniejących wcześniej obowiązków jednostek rządowych lub państw członkowskich […] do dokonywania płatności wobec odbiorców końcowych lub beneficjentów". Co oznacza wypłaty z budżetu państwa. A jeśli takich płatności by nie było, można się poskarżyć komisji, a ona nałoży kolejne kary i kolejne obowiązki. Bo przecież „Unia Europejska opiera się na praworządności. Poszanowanie państwa prawnego jest jedną z wartości będących fundamentem Unii, wspólnych państwom członkowskim, jak określono w art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej (TUE) oraz w preambule TUE i Karty praw podstawowych Unii Europejskiej".

> W rzeczywistości nie chodzi o żadne zasady, wykładnie czy orzeczenia TSUE, tylko o wolę Komisji Europejskiej (a poprzez nią wolę Berlina), by mścić się na Polsce, ustawiać ją na baczność, dyskryminować, osłabiać, a ostatecznie uczynić ją niesuwerenną

Unia (a konkretnie Komisja Europejska) może dyskryminować państwo członkowskie, ale sama nie może być oskarżona o dyskryminację, a jeśli nawet, to i tak TSUE tego nie stwierdzi. W wytycznych do rozporządzenia mowa jest o „równym traktowaniu państw członkowskich", tak żeby „porównywalne sytuacje nie mogły być traktowane w odmienny sposób, a odmienne sytuacje nie mogą być traktowane jednakowo". Czyli jeśli członkowie np. Krajowej Rady Sądownictwa są wybierani tak samo jak w Polsce, to nic nie znaczy i niczego nie dowodzi. Wprawdzie „samo ustalenie, że doszło do naruszenia zasad państwa prawnego, nie wystarcza do uruchomienia rozporządzenia w sprawie warunkowości", w praktyce wystarcza. I choć trzeba wskazać „wystarczająco bezpośredni związek ze skutkami dla należytego zarządzania finansami w ramach budżetu Unii lub dla interesów finansowych Unii", w istocie nic takiego nie trzeba wskazywać.

Kpiną jest więc stwierdzenie, że „komisja dopilnuje, aby wykorzystywane przez nią informacje były istotne oraz aby źródła tych informacji były wiarygodne". Czyli tak wiarygodne jak politycy polskiej opozycji i prawnicy działający pod szyldem „wolnych sadów".

W IMIĘ BEZPRAWIA

Jeśli już Komisja Europejska ustali, że państwo członkowskie nie chroni budżetu UE, to oskarżony nie ma żadnych praw. Wszak „rozporządzenie w sprawie warunkowości nie przewiduje środków odwoławczych ani praw do dochodzenia ewentualnych roszczeń przez skarżącego. Skarżący, domagając się skierowanych do nich środków zaradczych, w tym odszkodowania, nie mogą uzyskać ich od komisji". Wprawdzie „mogą rozważyć złożenie skargi do organów krajowych lub wnieść sprawę do sądów krajowych", ale przecież nie miałoby to najmniejszego sensu, bo nikt w Brukseli ich orzeczeniami by się nie przejął. Co najwyżej państwo polskie musiałoby samo sobie wypłacić odszkodowanie.

I tak koło się zamyka, co oznacza, że Komisja Europejska może zrobić wszystko, a państwo członkowskie nic. Można więc państwo członkowskie niszczyć. W imię prawa, czyli bezprawia. Na szczęście jest jeszcze Rada Europejska i nie kieruje nią już Donald Tusk.

Reklama | 6/1022/F

eprasa.pl a228ebe70a



CZAS NA EKO PREMIUM

Postaw na zieloną energię od TAURONA:

- **zadbaj** o środowisko naturalne
- **korzystaj** z zielonej energii w **100%** z odnawialnych źródeł

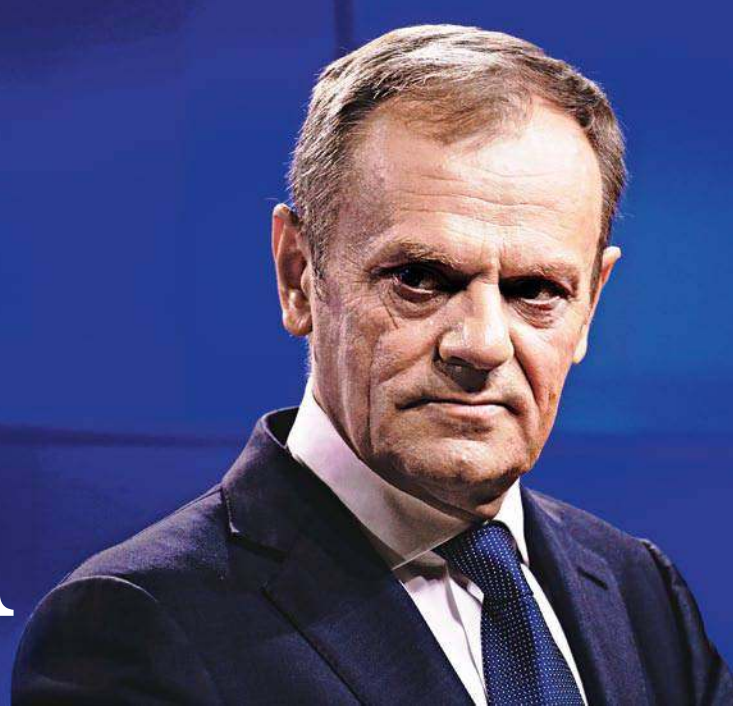
EKO Premium
TAURON

Gwarancja sprzedaży PTCE energii ekologicznej

Produkt certyfikowany przez Polskie Towarzystwo Certyfikacji Energii

eprasa.pl a228ebe70a

Siewcy strachu



Czemu służyć ma paranoiczna i groteskowa opowieść opozycji, iż wybory, które odbędą się w 2023 r., zostały już przez nią wygrane, a jeśli – nie daj Unio – zakończyły się porażką, to tylko dlatego, że rządzący je sfałszowali?



DARIUSZ MATUSZAK

Opowieść opozycji uzupełnia wygrażanie, że całe niedookreślone grupy pisowców czy pisowskich kolaborantów pójdą siedzieć. Nie wiadomo, kto dokładnie. Od czasu do czasu pada jakieś nazwisko przyszłego skazańca, ale wszystko raczej jest pozostawione w sferze niedopowiedzeń. Nie dlatego, że są jakieś sądy i politykom nie wolno za nie szafować wyrokami, a przebierająca nogami opozycja musi zachować pozory, że prawo szanuje. Chodzi o to, by bali się wszyscy, o wykreowanie atmosfery powszechnego strachu, zmuszenie do rejterady, by nikt nie wiedział, czy będzie mu darowane, by zakres czynów inkryminowanych był płynny i można było znaleźć na każdego paragraf. Idąca przez las naganka, nie mylić z nagonką, choć nieraz znaczy to samo, wypłasza z kniei i prowadzi pod lufy całą leśną zwierzynę. I taki jest też cel nagonki – ona ma wystraszyć wszystkich: rządzących, elektorat Zjednoczonej Prawicy, tych, którzy w jakikolwiek sposób współpracują z władzą, choćby jako urzędnik, funkcjonariusz państwa polskiego. Przyszłość jest nieuchronna, opozycja już w niej wygrała i wszyscy mają się bać sądu ostatecznego. Funkcjonariusz policji, który podejmie interwencję wobec ordynarnego, agresywnego babska z jakiegoś KOD czy wobec wulgarnej Lempart, funkcjonariusz służb, prokurator, który ośmieli się skarżyć działacza PO, urzędnik podpisujący jakieś kwity czy faktury.

BĘDZIECIE SIEDZIEĆ

Ta kampania kreowania przyszłości i strachu ma służyć demobilizacji rządzących i jednocześnie wpajać obywatelom, że każdy może zostać ukarany za to, że współpracował z władzą, a właściwie kolaborował. To też apel do wszelkich oportunistów, zwykłych tchórzy, by dokumenty kserowali, wynosili je i już starali się służyć przyszłej władzy, a ona o zasługach nie zapomni. Powołanie przez Senat iluś tam ordynarnych osobników KOD, wyżywających się bluzgami w sieci na cieszących się „nieposzlakowaną opinią i nieskazitelnością charakteru" ławników Sądu Najwyższego to znak, że na łaski nadchodzącej władzy może liczyć każdy jej się wysługujący.

Opowieść, iż przyszłe wybory są już rozstrzygnięte, a kto się nie spodoba, pójdzie siedzieć, to część realizowanego planu, strategii w zdobywaniu władzy. Można przypuszczać, że wielu uczestników tej gry nie wierzy w żadne wsadzanie do więzień, a nawet nie zamierza tego robić. Traktują to jako jedną z obietnic wyborczych, których się nie dotrzymuje. Coś jak zapowiedź podatków 3x15 czy komputera dla każdego ucznia, tyle że znacznie skuteczniejszą. I nie szkodzi, że ona niszczy państwo. W tym nie ma miary, a próby deprawowania obywateli groźbą czy kuszeniem będą się tylko nasilać.

Wszystko jest dobrze rozpisane i zaczęło się przecież jak u Hitchcocka – od trzęsienia ziemi, a potem napięcie miało już tylko rosnąć. Owym trzęsieniem ziemi mogły być słowa byłego premiera, byłego przewodniczącego Rady Europejskiej, byłego wówczas, a teraz już obecnego szefa partii Platforma Obywatelska, by prezydent Polski i Jarosław

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl a228ebe70a

Kaczyński się powiesili albo też by ich powieszono. „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy i sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta" – Donald Tusk nieudolnie cytował wiersz Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś..."

Niemal rok temu, gdy na wiecu dedykowanemu Andrzejowi Dudzie i Jarosławowi Kaczyńskiemu padły cytaty, zlekceważono zdarzenie. Potraktowano występ Tuska jako jakiś wygłup, taką tam słowną przesadę, przenośnię, coś, co zdarza się w zacietrzewieniu, ale potem przecież emocje opadają i wszyscy zachowują się racjonalnie. Pojawiły się nawet opinie, iż przewodniczący wielkim erudytą jest, bo zna poezję. Otóż emocje nie opadają, a napięcie po trzęsieniu jak u Hitchcocka tylko rośnie. Tuskowa recytacja nie była żadnym ekscesem, tylko jawną groźbą i sondą badającą, jak daleko można się posunąć. Oczywiście wszystko było zrobione tak, by nie dało się tego procesowo wykorzystać, by w każdym sądzie można było się wyłgać, zmienić sens przedstawienia kuglarstwem słownym.

PODMYWANIE INSTYTUCJI PAŃSTWA

Konsekwencje jednak są. Skoro wolno grozić śmiercią prezydentowi, to co można zrobić z jakimś tam szaraczkiem, zwykłym obywatelem. Radny PiS w każdej gminie, nawet małej, ma się bać, że może i on zostanie wtrącony do więzienia, a jeśli nawet nie, to przewleczony przed sądami, doprowadzony do bankructwa, pozbawiony pracy, znajomych, którzy odwrócą się w strachu, ukarany za służbę PiS. Skoro więc zapowiadane wyprowadzenie siłą prezesa Narodowego Banku Polskiego, wrzucanie do więzień przeciwników politycznych traktuje się tylko jako igraszkę słowną, to można nawet w Sądzie Najwyższym zorganizować pucz, więc iluś tam sędziów oznajmi, że pozostali sędziami nie są, bo tak i nic się puczystom nie zrobi, a kto by się ośmielił, wyląduje w lochu za rok.

Każda instytucja staje się polem politycznej walki, jak choćby teraz Rada Polityki Pieniężnej. I choć to ciało kolegialne, decydujące większością głosów, to furda prawo, furda odpowiedzialność, pani Joanna Tyrowicz wie swoje i może oznajmić światu, że „RPP nie podejmuje działań niezbędnych do zapewnienia stabilności makroekonomicznej i finansowej, w tym przede wszystkim w celu ograniczenia ryzyka utrwalenia się podwyższonej inflacji". Tyrowicz ze wszech sił dla dobra złotówki i polskiej gospodarki powinna inwestorów z całego świata zapewniać, że polska RPP jest najmądrzejsza w świecie, że podejmuje w danych warunkach najlepsze z możliwych decyzje, ale pal diabli złotówkę, stabilność inwestycji w polskie aktywa, Tyrowicz swoje wie i wszystko jej wolno i nic jej, człeku, nie zrobisz. To ośmielenie się, ta arogancja to także efekt brutalnej akcji propagandowej. Wszystko można zrobić w radzie i banku, których szef – jak zapowiedziano – będzie przez osiłków Tuska i Siemoniaka wywleczony.

> Radny PiS w każdej gminie, nawet małej, ma się bać, że może i on zostanie wtrącony do więzienia, a jeśli nawet nie, to przewleczony przed sądami

W tym wszystkim rzeczywistość nie ma żadnego znaczenia, liczy się kreowanie atmosfery. To działanie jak na rynkach finansowych. Wykreuj histerię, a w trakcie pospiesznej, panicznej wyprzedaży trafią się nie lada okazje do kupienia. PiS ma bardzo stabilne fundamenty – notowania. Po siedmiu latach rządów wahnięcia o kilka punktów procentowych w jedną czy drugą stronę są bez znaczenia. Co innego, jak polityczni inwestorzy PiS uwierzą, że armagedon nadciąga. Wtedy mogą zacząć panicznie wyprzedawać swoje polityczne aktywa, choć nie ma do tego rzeczywistych podstaw.

KTO PRZEGRA?

Amerykanie to naród słynący z pragmatyczności. W jakimś sensie genetycznie mają zapisane przekonanie, iż porażka to niemal zawsze wina przegrywającego. Słynne powiedzenie generała George'a Pattona, iż na wojnie nie chodzi o to, by polec za ojczyznę, tylko by „sku...syny", przeciwnicy zginęli za swoje, ma bardzo głęboki, praktyczny sens. W 2000 r. w czasie wyborów prezydenckich, po trwającym wiele dni liczeniu głosów na Florydzie, okazało się, że George Bush ma ich o 537 więcej i zgodnie ze stanowym prawem zarządzono ich ponowne sprawdzenie. Ostatecznie przerwano jednak procedurę i George Bush zamieszkał w Białym Domu. Podejście demokratów, których kandydat mógł zostać oszukany (ledwie 537 głosów), było takie: Bush chyba lepiej się nadaje, bo lepiej się zorganizował, potrafił przekonać Sąd Najwyższy, więc wygrał.

Podobnie wielu republikanów zareagowało na przegraną Trumpa: jeśli Biden wygrał dzięki sfałszowaniu wyborów, to Trump sam jest sobie winien, bo nie potrafił fałszerstwom zapobiec. Jeśli więc siadasz do kart z oszustem, to musisz lepiej oszukiwać, ewentualnie potrafić zdemaskować oszusta. Łzy przegranego się nie liczą. W świetnym filmie sensacyjnym „Nikt" główny bohater traci szacunek rodziny i sąsiadów, bo nie potrafił przeciwstawić się ćpunom, którzy wtargnęli do jego domu.

W wyborach w 2023 r. nic nie jest rozstrzygnięte poza tym, że przegra je ten, który jest przekonany, że je właśnie przegra. Oddzielną sprawa jest to, czy opozycja zbyt mocno, czy akurat w sam raz podkręciła kurek z gazem pod garnkiem, w którym gotuje się żaba. Wieczna atmosfera grozy, strachu, nieszczęść musi być utrzymywana jeszcze przez rok, a tego nie da się wytrzymać. Chyba że chce się doprowadzić do ulicznych rozruchów i w ten sposób – na ulicy – sięgnąć po władzę. I takiego scenariusza nie można wykluczać, bo wiele działań – jak akcja wobec sądów, RPP, zapowiedzi wstrzymania kolejnych pieniędzy przez Unię Europejską, paranoiczne materiały w mediach – wskazują na skoordynowaną akcję.

eprasa.pl a228ebe70a

Norymberga?

O tym, że „kasta" sędziowska będzie dążyła do odwetu na tych sędziach, którzy nie uczestniczyli w jej antyrządowym buncie, było jasne już od dawna, ale dopiero wezwanie Donalda Tuska do odkucia prezes Julii Przyłębskiej od Trybunału Konstytucyjnego spowodowało lawinę



WOJCIECH BIEDROŃ

Wypowiedzi przedstawicieli zbuntowanego środowiska sędziowskiego w oczywisty sposób prowadzą do akcji odwetowej. W grupie „rewanżystów" prym wiodą sędziowie Krystian Markiewicz, Igor Tuleya, Piotr Gąciarek z Iustitii, a także były RPO Adam Bodnar i przedstawiciele inicjatywy Wolne Sądy. Wszyscy oni zapowiadają weryfikację sędziów, których powołał prezydent Andrzej Duda na podstawie pozytywnej opinii KRS. Ta weryfikacja to w istocie dokładnie zaplanowany lincz na wielu polskich sędziach.

TUSK ZACHĘCA

„Jest więc możliwe przywrócenie stanu sprzed czasu, kiedy łamano prawo, bez konieczności pisania nowych ustaw. I oczywiście do tego jest potrzebna i wyobraźnia, i determinacja, odwaga i siła" – odgrażał się Donald Tusk w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej". Padło w nim też pytanie o rzekome przykucie się prezes Przyłębskiej do fotela. „To trzeba odkuć. Po prostu" – stwierdził szef Koalicji Obywatelskiej.

W ten sposób po raz pierwszy od 1989 r. szef największej opozycyjnej partii politycznej zapowiedział, że jego działania po ewentualnie zwycięskich wyborach w 2023 r. nie będą opierały się na ustawach i konstytucji, ale na brutalnych działaniach, które mają znamiona odwetu.

CZYSTKI W SĄDOWNICTWIE

Hasło do linczu natychmiast podchwycili skrajnie upolitycznieni sędziowie. Ośmieleni wsparciem swojego idola, bez ogródek zaczęli już głośno i z podniesioną głową snuć swoją wizję czystek w sądownictwie. W trakcie odbytej kilka dni temu dyskusji pt. „Gruba kreska czy Norymberga? Przyszłość sądownictwa po katastrofie PiS" „kasta" i jej sojusznicy zaprezentowali ponurą wizję. Wizję sądownictwa po zwycięstwie opozycji.

„Są tam osoby wartościowe (w Sądzie Najwyższym) [...], ale wsiedli do tego tramwaju i niezależnie, jak są mądrzy, jaką mają wiedzę, ile skończyli uniwersytetów, jak wspaniałymi są prawnikami, to musi być z tym zrobiony porządek, z każdą taką osobą. Nie ma drogi na skróty. Mamy robić egzamin z poprawności moralności? Nie, oni są wadliwie powołani systemowo [...]. Grzechem pierworodnym jest KRS. Da się przeprowadzić taką procedurę, która [...] umożliwi stopniowy, ale nie nieskończenie rozciągnięty w czasie proces weryfikacji tych osób przed prawidłowo powołaną KRS. To ona wybierze te osoby, które są właściwe" – stwierdziła Sylwia Gregorczyk-Abram z inicjatywy Wolne Sądy.

Powyższe stwierdzenie jasno wskazuje, że jedynym kryterium, które przyjmą „inkwizytorzy" będzie kryterium przynależności do „kasty" sędziowskiej.

Z kolei w lipcu, w podobnym tonie wypowiadał się sędzia Krystian Markiewicz, prezes Iustitii. Tak mówił o Izbie Dyscyplinarnej (zastąpiła ją Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN): „Czas złych ludzi się kończy. Dzisiaj, za kilka dni Izba Dyscyplinarna, taki nowotwór, przestanie istnieć. Ich czas się kończy. Wkrótce osoby, które przebierają się w togi, też odejdą i pójdą w niebyt. To nie oznacza, że w niepamięć, bo my będziemy o tym pamiętali" – zapowiadał Markiewicz pod Sądem Okręgowym w Warszawie w trakcie jednego z wielu seansów zbuntowanych sędziów.

TULEYA, ŻUREK I GĄCIAREK W AKCJI

Powyższe ataki na nowo powołanych sędziów nie są niczym nowym. Od kilku lat zapowiadają je sędziowie Igor Tuleya i Piotr Gąciarek z Iustitii i sędzia Waldemar Żurek z bliźniaczego stowarzyszenia Themis. To najbardziej radykalni aktywiści sędziowscy. Ten ostatni jest autorem teorii, w której sędziowie nieuczestniczący w krucjacie „kasty" mają odpowiadać swoim majątkiem za... orzekanie zgodnie z prawem i konstytucją.

„Neosędziom wydaje się, że nigdy nie poniosą odpowiedzialności za to, co robią. Ale jest jeden haczyk: skoro nie są sędziami, to mogą odpowiadać nie jako funkcjonariusze, lecz jako osoby prywatne. I w mojej ocenie będą poszkodowanym płacić odszkodowania z własnych pieniędzy, z własnego majątku" – zapowiedział sędzia Żurek w „Gazecie Wyborczej". „Ale stawiam też sobie za cel doprowadzenie do osądzenia kiedyś w przyszłości prawników, którzy przyłożyli rękę do zniszczenia państwa prawa. Systemowo i odważnie będziemy z moimi pełnomocnikami dążyć do tego, by to była przestroga dla kolejnych pokoleń" – mówi sędzia Żurek.

eprasa.pl a228ebe70a



Sędzia Piotr Gąciarek przed Sądem Okręgowym w Warszawie

Podobnych wypowiedzi, które padały z ust sędziów Gąciarka i Tuleyi jest bardzo wiele. „Mamy być rzekomo spłaszczeni niedługo, ale sędziowie mają twarde kręgosłupy i przed nikim nie będą się płaszczyć. […] sprawcy bezprawia będą rozliczeni i będą nazwani po imieniu" – grzmiał w październiku ub.r. sędzia Gąciarek pod gmachem Sądu Najwyższego

EFEKT MROŻĄCY

O co chodzi w tej nieustannej presji? Jest oczywiste, że w grze chodzi o efekt mrożący. „Kasta" doskonale zdaje sobie sprawę, że nie będzie w stanie zweryfikować ponad 2 tys. sędziów, którzy zasilili krwiobieg sądownictwa od początku działalności nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Presja ma być straszakiem na tych sędziów, którzy nie grają w drużynie Tuleyi, Gąciarka, Żurka i Markiewicza. Sam fakt, że „inkwizytorzy" mogą przeprowadzić weryfikację, już wystarcza do osiągnięcia celu. Jest to szczególnie widoczne na tzw. prowincji. Tam ta presja jest paradoksalnie dużo większa.

– Co ma powiedzieć sędzia w miasteczku powiatowym gdzieś na końcu Polski, który jest pod przemożnym wpływem krzykliwej części środowiska sędziowskiego? To jej przedstawiciele starszą takich sędziów, że jeżeli nie będą stali po ich stronie, to będą mieli problemy, zostaną zweryfikowani. To niestety działa – przyznał sędzia Łukasz Piebiak, były wiceminister sprawiedliwości.

STATUT IUSTITII I USTAWA DLA OPOZYCJI

Dlaczego zapowiedzi członków Iustitii są tak groźne w kontekście sędziowskiej niezależności i apolityczności? Warto w tym kontekście prześledzić zapisy statutu Iustitii, który wprost wymaga od członków tego stowarzyszenia całkowitej lojalności. To tym bardziej kontrowersyjne, jeśli chodzi o lojalność sędziowską, która ma służyć zawsze tylko społeczeństwu, a nie korporacyjnej klice. I tak, zgodnie ze statutem Iustitii obowiązkiem każdego członka stowarzyszenia jest przestrzeganie jego statutu i uchwał (§ 16 ust. 1 pkt 1), a sankcją za nieprzestrzeganie tychże jest jego wykluczenie (§ 14 ust. 1 pkt 1). Już sam fakt istnienia takiego zapisu narusza zasadę niezawisłości.

O niezależności sędziowskiej ciężko też mówić w przypadku nagminnego łamania apolityczności przez jej członków. Okazuje się, że sędziowie Iustitii przedstawiają swoje pomysły „powrotu do praworządności" otoczeni wianuszkiem polityków Koalicji Obywatelskiej. W listopadzie ub.r. sędzia Markiewicz, siedząc na sali z Borysem Budką, Małgorzatą Kidawą-Błońską i Robertem Kropiwnickim, referował pomysły „kasty" na powyborcze rozliczenia.

„Nasza formuła jest bardzo prosta. Jeśli nie jest to organ, o którym jest mowa w konstytucji, to wszystkie uchwały KRS są nieważne. Dalej ta konstrukcja jest równie prosta. Jeżeli nie ma organu konstytucyjnego, to te powołania sędziowskie są nieważne i te osoby wracają na wcześniej zajmowane przez siebie stanowiska. Czy to w sądzie niższego rzędu, czy to w prokuraturze, czy gdziekolwiek indziej" – mówił sędzia Markiewicz.

Brzytwa, którą sędziowie chcą dostać z rąk zwycięskiej w wyborach opozycji, będzie oznaczać rzeź w środowisku sędziowskim. Może ona dotknąć ponad 2 tys. sędziów. Co z wieloletnią pracą orzeczniczą tych sędziów? Kolejne pytanie dotyczy kwestii politycznej. Co sędziowie obiecali politykom opozycji za wsparcie i wspólne projekty? Odpowiedź znajdziemy w postanowieniach sędziów, którzy zajmowali się sprawami opozycji ulicznej i tej z ław sejmowych. Ten sojusz jest najlepszym przykładem na jawne złamanie konstytucyjnej zasady apolityczności sędziowskiej.

Fot. Tomasz Gzell/PAP

eprasa.pl a228ebe70a



KORWiN, czyli zarabianie na polityce

27 października Janusz Korwin-Mikke skończy 80 lat. Jubileusz okazał się dobrą okazją do rezygnacji z przewodzenia partii i przekazania formacji Sławomirowi Mentzenowi. Czy nowy lider jest równie ekscentryczny i charyzmatyczny?



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Korwin stał się już symbolem angażowania młodego pokolenia w idee liberalne i libertariańskie, w młodzieżowym slangu jest nazywany „Krulem", a konkurencyjne młodzieżówki nazywali jego zwolenników „kucami" – od typu fryzury charakterystycznego dla mężczyzn spędzających sporą część czasu jedynie przed komputerem. Ale to nie siła polityczna Janusza Korwin-Mikkego była wyróżnikiem jego aktywności, ale wyrazista działalność publicystyczna i medialna, radykalne hasła, upraszczanie wszystkich negatywnych i złożonych zjawisk do socjalizmu, a pozytywnych postulatów – do wolności. Sławomir Mentzen zdaje się podążać tą drogą, ale odrzucając Korwinowe skandalizowanie w stylu upierania się, że Hitler mógł nie wiedzieć o Holokauście, a seks z ośmiolatką nie musi być karalny. W dodatku od 24 lutego prezes partii formułował dziesiątki proputinowskich wypowiedzi, kwestionując rosyjskie sprawstwo zbrodni w Buczy czy broniąc polityki Władimira Putina wobec Polski. Mentzen zamierza połączyć dwie trudne do pogodzenia strategie – zbudować sobie podobną pozycję wyrazistego i przebojowego kontynuatora misji JKM, ale z porzuceniem jego obciachu i arogancji.

NIEPOWAŻNA POLITYKA, POWAŻNE BIZNESY

Sławomir Mentzen słabo dotychczas radził sobie w wyborczych zmaganiach – jego trzykrotne starty w wyborach przynosiły mu śladowe poparcie w okolicach 3-4 proc. Dużo lepiej szło mu budowanie pozycji medialnej i wizerunku antysocjalistycznego bojownika oraz prywatnego przedsiębiorcy. Jako doradca podatkowy postuluje znoszenie podatków, a w swojej pracy zawodowej szydzi ze zobowiązań finansowych wobec państwa. Furorę w serwisie społecznościowym TikTok zrobiło jego krótkie wystąpienie, w którym polityk wyjaśnia, „jak odliczył premiera od podatku". Chodzi tu o naturalnej wielkości statuę złotego koloru przedstawiającą Mateusza Morawieckiego. „Było tak – przyszła do mnie księgowa i mówi, że pomnik amortyzuje się tak jak nieruchomość i rozlicza przez 40 lat. Na co ja, że to nie jest żadna nieruchomość, bo można nim normalnie poruszać, w związku z czym podatkowo tak naprawdę to nie jest pomnik. Księgowa mówi, że w takim razie to jest dzieło sztuki, a to jeszcze gorzej, bo dzieł sztuki w ogóle nie można sobie wrzucić w koszty, na co ja, że my go przecież wydrukowaliśmy w drukarce

eprasa.pl a228ebe70a

3D" – wyśmiewa zapisy podatkowe Mentzen. I dodaje: „To, czym jest złoty pomnik premiera Morawieckiego? Jest meblem, a jeżeli jest meblem, to można go zamortyzować jednorazowo, wrzucić go w koszty, odliczyć od niego VAT i tak trzeba żyć, proszę państwa".

W tego rodzaju happeningach kryje się coś więcej niż polityczne gadżeciarstwo, bowiem ta forma partyjnego przekazu jest jednocześnie świetną reklamą dla firmy. O ile od 2013 r. funkcjonuje firma Mentzena i jego wspólnika Karola Kapicy, zajmująca się doradztwem prawnym, o tyle swoją polityczną popularność działacz partii KORWiN potrafił zmonetyzować już bardziej spektakularnie. Wygląda to następująco: w sierpniu 2020 r. lider rejestruje firmę Browar Mentzen (sp. z o.o.), zaczyna produkcję piwa i organizuje w różnych częściach Polski spotkania z samym sobą pod hasłem „Piwo z Mentzenem". Zysk jest podwójny – rośnie popularność polityka i rośnie zawartość jego portfela jako przedsiębiorcy.

Pół roku później, w marcu 2021 r., polityk otwiera pub w Toruniu. Znowu wykorzystuje polityczne hasła, wieszając przy wejściu do lokalu zdjęcia większości liderów politycznych z Sejmu i napis: „Tych klientów się nie obsługuje". Zyskuje właściciel pubu i zyskuje polityk partii KORWiN, czyli Sławomir Mentzen w dwóch osobach.

Ale polityka przyśpiesza, a ekonomia przeżywa poważne covidowe zawirowania. Konfederacja, której częścią jest partia KORWiN, krytykuje obostrzenia, niektórzy jej liderzy w ogóle kwestionują istnienie pandemii oraz sens szczepień. Mentzen w niezbyt udanym żarcie nazywa je „śmiercionkami". Jedne przedsiębiorstwa otrzymują potężne dotacje od państwa, inne stają na granicy bankructwa. Co robi faworyt Korwin-Mikkego? Zakłada kancelarię prawną, w której doradza, jak radzić sobie z przepisami i płacić niższe podatki. Im bardziej polityk Mentzen krytykuje walkę z koronakryzysem, tym więcej przedsiębiorca Mentzen zarabia na kolejnych klientach.

Można powiedzieć, że jest to udoskonalona metoda korwinowa. Janusz Korwin-Mikke sprzedawał swoje książki, współtworzył tygodnik polityczny i sprzedaż ciągnął polityczną aktywnością, a politykę – sprzedażą publicystyki. Mentzen połączył z polityką nie publicystykę, lecz biznes, i świetnie mu to wychodzi. Gdy jednak spojrzymy na plany polityczne dla Polski, dokonania i idee wolnościowej partii są na drugim biegunie pomysłowości.

GDY PAŃSTWO NIE BĘDZIE MIAŁO PIENIĘDZY

Zgodnie z XIX-wieczną ideą libertarianizmu korwinowcy postulują drastyczne ograniczenie podatków i państwowych wydatków. W deklaracji ideowej partii KORWiN czytamy o „likwidacji zasady sprawiedliwości społecznej", bowiem „każdy jest kowalem własnego losu". Ta doprowadzona do skrajności idea i tak już antyspołecznego dogmatu gospodarczego Leszka Balcerowicza znajduje w poglądach otoczenia Janusza Korwin-Mikkego gorliwe poparcie. Ale partia KORWiN jest częścią koalicji ugrupowań tworzących Konfederację, m.in. Ruchu Narodowego, który nie chce odbierać Polakom programów socjalnych. Jak pogodzić dziki rynek z opieką państwa? Z czego wziąć pieniądze na 500+ czy 13. emeryturę, jeśli podatki będą ograniczone do minimum?

> Im bardziej polityk Mentzen krytykuje walkę z koronakryzysem, tym więcej przedsiębiorca Mentzen zarabia na kolejnych klientach. Można powiedzieć, że jest to udoskonalona metoda korwinowa

W programie Konfederacji, w dziale „Niskie podatki program 1000+", autorzy przekonują, że na pozyskanie olbrzymich środków jest jedna recepta, zamykająca się w lapidarnym zdaniu: „Redukując liczbę zbędnych urzędów i rządowych agencji, blokując korupcję i marnotrawstwo publicznych pieniędzy na zbędne działania i projekty, a także likwidując partykularne ulgi i przywileje podatkowe".

Gdyby w Polsce zlikwidować całą administrację publiczną i zwolnić z pracy absolutnie każdego urzędnika, budżet państwa zyskałby ok. 25 mld zł rocznie. Nie starczyłoby tego nawet na 500+ (ponad 40 mld zł rocznie), nie mówiąc już o innych programach, a przede wszystkim nie mówiąc o tym, że państwo nie może istnieć bez administracji!

NAIWNI GŁOSUJĄ I PŁACĄ

Mamy tu więc do czynienia z pewnym oszustwem – politycy tzw. ideowej prawicy nie mówią o zlikwidowaniu wsparcia dla rodzin czy dla osób starszych, ale w ich planach zabraknie na to pieniędzy. Pokrywa się to z wypowiedzią Korwina z sierpnia 2021 r., gdy w rozmowie z MyPolitics wyznał, że „ten program służy do zdobycia wyborców, a nie do realizacji".

Tworzenie planów, których nikt nie ma zamiaru zrealizować, przy jednoczesnym wzmacnianiu swoich pomysłów biznesowych przez polityczną aktywność pozwala nam na prostą konstatację: w Konfederacji działalność publiczna jest często tylko narzędziem do zarabiania pieniędzy. Lubisz ostrą drwinę z państwa i administracji? Bawi cię tropienie wszędzie socjalistów, a może wierzysz w teorie spiskowe? Napij się piwa u polityka, który cię takimi koncepcjami zabawi, a których sam przecież nie ma zamiaru wprowadzać.

Zjawisko pójścia do polityki, by wspierać swoją alternatywną działalność, nie jest niczym nowym, a w Polsce i tak nie jest tak spektakularne jak w krajach, gdzie oligarchowie chcą zasiadać w parlamentach, by mieć immunitet potrzebny do okradania państwa (jak Ilan Shor w Mołdawii). Co więcej, działalność Mentzena nie jest nielegalna, nie łamie prawa, lecz „jedynie" z niego drwi i pomaga je obchodzić. Dla biznesu? Rewelacja. Dla państwa polskiego? Cóż, już gorzej. Ale widać z tego, która aktywność polityków liberalnych jest dla nich najważniejsza. I chodzi tu nie tylko o Konfederację, ale i o inną formację, mieniącą się liberałami.

Fot. PAP / Albert Zawada

eprasa.pl a228ebe70a

Lampeczka dla zdrowia?

Znany aktor Jerzy Stuhr potrącił motocyklistę. Podczas badania alkomatem stwierdzono u niego 0,7 promila alkoholu. To już kolejna historia z udziałem jednego ze znanych i lubianych, którzy żyją, jakby wolno im było więcej niż całej reszcie społeczeństwa



DOROTA ŁOSIEWICZ

W poniedziałek 17 października aktor dołączył do grona gwiazd, które wsiadły za kółko „pod wpływem". Tym samym wydłużył listę, na której są już m.in.: Beata Kozidrak, Joanna Liszowska, Katarzyna Figura, Tomasz Stockinger, Daniel Olbrychski, Renata Dancewicz, Ilona Felicjańska czy Borys Szyc.

Jak do tego doszło? Tamtego feralnego dnia, ok. godz. 17 w al. Adama Mickiewicza w Krakowie Jerzy Stuhr, prowadząc swojego lexusa, potrącił 44-letniego motocyklistę. Uderzył go autem w łokieć, motocyklista się przewrócił. Kierowca pojechał dalej, bo – jak tłumaczył potem na miejscu policji – nie zauważył kolizji. Odjechał i po chwili został zatrzymany. Aktorowi zatrzymano prawo jazdy, a sprawę bada prokuratura.

FATALNA DECYZJA

Pierwsza zasada postępowania w sytuacjach kryzysowych mówi: „Uderz się w pierś", co też znany aktor zrobił. Dzień po wypadku oficjalne przeprosiny aktora ukazały się na profilu jego syna, Macieja Stuhra, na Facebooku. „Szanowni Państwo, nie ukrywam, że wydarzenia ostatniej doby były druzgoczące dla mnie i mojej rodziny. Pozwólcie, że tą drogą przekażę Państwu oświadczenie mojego Taty. Czy wyrażenie szczerego ubolewania odzwierciedla wszystkie moje emocje? Nie. Czy napisanie, że ogromnie mi przykro z powodu wydarzenia, do którego doszło w dniu 17 października 2022 r., cokolwiek zmienia? Niewiele. Niemniej bez tych słów nie da się zacząć niczego" – napisał we wstępie Stuhr junior.

Po tych słowach pojawiają się przeprosiny ojca: „Szanowni Państwo! Bardzo żałuję i przepraszam, że wczoraj podjąłem tę najgorszą w moim życiu decyzję o prowadzeniu samochodu. Deklaruję pełną współpracę z organami powołanymi do wyjaśnienia wczorajszego incydentu. Jednocześnie chciałem zapewnić, że wbrew doniesieniom medialnym nie zbiegłem z miejsca zdarzenia, lecz zatrzymałem się na życzenie jego

eprasa.pl a228ebe70a

uczestnika i razem oczekiwaliśmy na przyjazd policji. Z poważaniem, Jerzy Stuhr".

To oczywiście nie zwalnia aktora z odpowiedzialności. A przepisy dotyczące jazdy po alkoholu w Polsce są restrykcyjne. Kierowca może otrzymać zakaz prowadzenia pojazdu i wysoką grzywnę. Mimo to jazda po alkoholu to w naszym kraju prawdziwa plaga. Tylko w pierwszych 10 miesiącach 2021 r. policja zatrzymała ponad 64 tys. pijanych kierowców. Tylko w jednym dniu – 1 maja 2021 r. – zatrzymano na polskich drogach aż 426 nietrzeźwych kierowców.

Jazda po alkoholu może być rozpatrywana jako przestępstwo albo wykroczenie (art. 178a Kodeksu karnego albo art. 87 Kodeksu wykroczeń). Wszystko zależy od stężenia alkoholu we krwi (promile) albo w wydychanym powietrzu. Stanem po użyciu alkoholu (wykroczenie za jazdę po alkoholu z art. 87 k.w.) jest sytuacja, gdy zawartość alkoholu w organizmie wynosi lub prowadzi do stężenia we krwi od 0,2 do 0,5 promila alkoholu albo obecności w wydychanym powietrzu od 0,1 mg do 0,25 mg alkoholu w 1 dm^3. Z kolei o stanie nietrzeźwości (przestępstwo z art. 178a k.k.) mówimy w sytuacji, gdy zawartość alkoholu w organizmie wynosi lub prowadzi do stężenia we krwi powyżej 0,5 promila alkoholu albo obecności w wydychanym powietrzu powyżej 0,25 mg alkoholu w 1 dm^3. Kara za jazdę pod wpływem alkoholu proponowana przez prokuratora lub sąd może oznaczać: długotrwały zakaz prowadzenia pojazdów (odebranie prawa jazdy), wysoką grzywnę, umieszczenie informacji o skazaniu w Krajowym Rejestrze Karnym. Obecnie najczęściej stosowanym środkiem karnym w przypadku przestępstw jest trzyletni zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych (w przypadku wysokich stężeń alkoholu w wydychanym powietrzu zakaz może być znacznie dłuższy). W przypadku wykroczenia za jazdę po alkoholu zakaz prowadzenia pojazdów jest orzekany w wymiarze od 6 miesięcy do 3 lat. Do tego dochodzą najczęściej konsekwencje finansowe w postaci grzywny oraz świadczenia na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej.

BĘDZIE KARA?

Co do tego, czy Jerzy Stuhr poniesie karę, wątpliwości ma Patryk Jaki, były wiceminister sprawiedliwości, dziś europarlamentarzysta. „Jestem bardzo spokojny, że w tej sprawie sędziowie uznają, że winny był nie Jerzy S., lecz jego ofiara i sprzedawca w sklepie monopolowym" – napisał w mediach społecznościowych Patryk Jaki.

– Jeśli chodzi o przestrzeganie prawa, to gwiazdy uważają, że im więcej wolno. Dzieje się tak głównie dlatego, że ze względu na swoje znajomości i kontakty są traktowane przez sądy jak święte krowy – mówił mi Wiktor Świetlik, były szef jednego z działów „Faktu", były dyrektor radiowej Trójki oraz wieloletni felietonista „Super Expressu", gdy pisałam tekst o bezkarności celebrytów.

Niestety, takie oceny to nie wynik przekonań, ale obserwacji i częstej łagodności sądów dla znanych osób. Przypomnijmy sobie sprawę znanego dziennikarza Piotra Najsztuba. W październiku 2017 r., jadąc chevroletem bez aktualnych badań technicznych i ubezpieczenia, potrącił na pasach 77-letnią kobietę. Jakby tego było mało, okazało się, że dziennikarz nie miał prawa kierować jakimkolwiek pojazdem, bo dziewięć lat wcześniej stracił prawo jazdy za przekroczenie limitu punktów karnych. Najsztub stanął przed sądem i usłyszał zarzut nieumyślnego spowodowania wypadku drogowego, w którym osoba trzecia odniosła obrażenia. Proces trwał kilka miesięcy, a Najsztub został uznany winnym zarzucanego mu czynu i skazany na grzywnę oraz wypłacenie poszkodowanej rekompensaty i pokrycie kosztów procesu. Jednak Sąd Rejonowy w Piasecznie ponownie przeprowadził cały proces i uniewinnił dziennikarza. Prokuratura apelowała, ale warszawski Sąd Okręgowy podtrzymał tę decyzję w mocy. „Sąd, kiedy rozstrzygał tę sprawę, nie ustalił ponad wszelką wątpliwość, z jaką prędkością ta pani weszła na pasy" – tłumaczył Piotr Najsztub w TVN świeżo po ogłoszeniu wyroku.

Przy okazji wypadku z udziałem Jerzego Stuhra w mediach społecznościowych chętnie przypominano nagranie, na którym aktor opowiada, przed jaki sąd chciałby trafić. Dywagacje miały miejsce w ramach akcji #WolneSądy. „Ruszając wodze wyobraźni, wyobrażam sobie, że musiałbym stanąć przed obliczem sądu, to chciałbym mieć jedną pewność – że ten sąd nie jest poddany żadnej presji, żadnej opcji, żadnemu naciskowi, np. partyjnemu – mówił Stuhr. – Wtedy takiemu sądowi poddam się z ufnością. I takie sądy chciałbym i o takich sądach marzę, i w takie sądy wierzę, że mogą mnie sprawiedliwie z czarną opaską na oczach osądzić". W internecie odżył także fragment wywiadu, którego aktor udzielił w rozmowie w „Onecie Rano": „Najbardziej mi przeszkadza ta pogarda do prawa i kłamstwo" – mówił Stuhr, komentując nawyki polskiego społeczeństwa,

REKLAMA



49/0922/F

eprasa.pl a228ebe70a

od którego – jak się okazało – wcale nie odbiega. Choć w jeszcze innym wywiadzie opowiadał: „Za granicą mówię żonie na ulicy: »Tylko nie za głośno po polsku«" – nie krył niechęci do współrodaków Stuhr. Nie dalej jak przed rokiem artysta przyznawał: „Alkohol był u mnie panaceum na stres i to nie było dobre. W tej chwili nie mam z tym żadnego problemu. Lubię wino, a lekarze mi pozwalają wypić kieliszek na czerwone ciałka krwi" – zdradził. Szkoda, że zapomniał o zasadzie: „Piłeś, nie jedź".

WŁOSKA NATURA

Gdy media obiegła historia o wypadku Jerzego Stuhra, komentowaliśmy ją ze Stanisławem Janeckim w studiu wPolsce.pl. Zapytałam mojego redakcyjnego kolegę o PR kryzysowy i ratowanie wizerunku, które w tej sytuacji zastosuje znany aktor. Janecki żartował: – To jest proste w przypadku prof. Jerzego S. To jest znany miłośnik włoskiej kultury, grający we włoskich filmach, mówiący po włosku, dużo i chętnie opowiadający o Włoszech. Wytłumaczenie będzie więc proste: „Będąc we Włoszech, piję sobie wino z przyjaciółmi, artystami, reżyserami i oni później wsiadają na skutery i do samochodów, bo we Włoszech taka dawka jak 0,5 czy 0,7 to nic zdrożnego, to normalne, nikt nie robi z tego problemu. Zapomniałem, że jestem w Polsce, nie we Włoszech".

I już dwa dni później tą samą drogą poszła Agnieszka Holland. „Każdy powinien uważać. Ja jestem przeciwna przekraczaniu prędkości i jeżdżeniu pod wpływem. Faktem jest, że – jak to mówią – nie wypił za dużo, we Włoszech by to przeszło, ale nie powinien tego robić, zwłaszcza że jest w takim wieku, że trzeba szczególnie uważać za kierownicą. Może ma słabszy refleks. A ja wiem coś o tym" – powiedziała znana reżyser w rozmowie z „Super Expressem", dodając, że jest pewna, iż widzowie wybaczą Stuhrowi. Tomasz Lis nazwał zdarzenie incydentem i przypomniał, że aktor to wciąż wybitny artysta. Zdecydowanie dalej w obronie Stuhra poszedł filozof i publicysta Jan Hartman: „Przestańcie pisać Jerzy S. jak o jakimś kryminaliście! To jest takie głupie i tchórzliwe »piętnowanie kropką«. Jerzy Stuhr – wielki aktor – pojechał na gazie. Najadł się wstydu. Na szczęście nic się nikomu nie stało. Do Sejmu nie startuje, więc raczej po temacie" – napisał na Twitterze. W podobnym tonie było utrzymanych wiele komentarzy w tekstach o wypadku Stuhra. To jednak nie wszystkim się spodobało.

„Mógł zginąć przypadkowy człowiek: wasz najlepszy przyjaciel, syn, ojciec, brat, wnuk. A wy piszecie »każdemu się zdarza«? Serio? Każdemu z was zdarzyło się usiąść za kółkiem po wypiciu kieliszka wina, setki wódki, kufelka piwa?" – taki list czytelniczki opublikował portal Onet.pl. Dziennikarz Wojciech Wybranowski tak skomentował doniesienia Radia Zet o tym, że „Jerzy Stuhr jest roztrzęsiony". „Mnie też coś trzęsie i coś trafia – dokładnie rzecz biorąc, kur...a mnie trafia – gdy widzę, jak »podprogowo« próbuje się robić ofiarę z gościa, który pod wpływem alko usiadł za kółkiem". W rozmowie z „Super Expressem" przyjaciel gwiazdora, który zagrał z nim w kultowej komedii „Seksmisja", Olgierd Łukaszewicz powiedział: „Powinien ponieść taką karę jak każdy obywatel. Tak powinien być traktowany. Jak każdy z nas. Gdyby mi się coś takiego zdarzyło, mówiłbym to samo. Chciałbym wtedy ponieść takie konsekwencje, jakie w takim przypadku są przewidziane. I on też tak musi!" – stwierdził aktor. I dodał: „Nieważne, jak Jerzy jest znany i jakie ma zasługi artystyczne. Musi być potraktowany jak każdy inny Polak". Później jednak Łukaszewicz oświadczył, że „wywiad ze mną został zmanipulowany z rozmowy stanowiącej próbę uzyskania tego wywiadu". Presja środowiska?

> Jedyne, co może teraz zrobić pan Stuhr, to schować się w teatrze, przestać udawać autorytet i nie wypowiadać się w kwestiach publicznych. Moje słowa to nie jest atak, to bolesna uczciwość – mówi prof. Jędrzejko

ŻARTY ŻARTAMI

Internet bezlitośnie drwi z zachowania aktora. W kontekście rajdu po alkoholu jest przypominana m.in. scena z filmu „Kiler", gdzie komisarz Ryba śpiewał za kółkiem utwór Varius Manx „Widziałem orła cień". Internauci odnoszą się też do poglądów politycznych aktora: „No żeż k...! Co ci PISofcy w Polsce wyprawiają. Żeby Jerzy Stuhr nie mógł napić się wina? Zaraz ogłosi, że się zemścili PISofcy za jego syna i za to, że jego ojciec był stalinowskim prokuratorem", „Zobaczycie, że Jerzy Stuhr za to, że potrącił motocyklistę pod wpływem alkoholu, dostanie jeszcze od polskiego sądu odszkodowanie" – to tylko nieliczne tweety obśmiewające sytuację. Jednak całkiem na poważnie komentuje ją prof. Mariusz Jędrzejko, dyrektor naukowy Centrum Profilaktyki Społecznej, który na co dzień pracuje z młodzieżą, by wyrwać ją ze szponów różnych uzależnień.

Naukowiec w rozmowie ze mną nie kryje swojego rozżalenia: – W Polsce jest dość liczna grupa ludzi, która przypisuje sobie tytuł ikon: muzyki, kultury, dziennikarstwa. I ta grupa uważa, że ma prawo od innych wymagać i mówić więcej. Bez wątpienia Jerzy Stuhr jest ikoną aktorstwa, która zabierała głos w wielu ważnych sprawach dotyczących Polski. Od dnia, gdy pan Stuhr potrącił motocyklistę pod wpływem alkoholu, nie ma moralnego prawa wypowiadać się w żadnej sprawie. Podobnie było z panią Woźniak-Starak (wówczas Szulim), gdy jej powiedziałem, że pali marihuanę, a rano uczy ludzi, jak mają wychowywać dzieci. Wszystkie te ikony muszą się obudzić. Albo jest się moralnym od poniedziałku do niedzieli, 24 godziny na dobę, albo trzeba się przyznać, że moralność to tylko słowa, a postępuje się zupełnie inaczej i wszystkim wara od tego. Bardzo żałuję tego, co zrobił pan Stuhr, bo to jest aktor wybitny. I on tym jednym ruchem zniweczył wszystkie lata ciężkiej pracy osoby publicznej. Jedyne, co może teraz zrobić, to schować się w teatrze, przestać udawać autorytet i nie wypowiadać się w kwestiach publicznych. Moje słowa to nie jest atak, to bolesna uczciwość – podsumował sprawę prof. Jędrzejko. Nic dodać, nic ująć.

Reklama | 37/0722/F

eprasa.pl a228ebe70a







TECHNOLOGIA DLA BEZPIECZEŃSTWA







www.pwpw.pl

eprasa.pl a228ebe708



Walki miejskie

Gorący spór wokół wytyczania buspasów jest tylko odpryskiem trwającej batalii o to, jak powinny wyglądać polskie miasta. Czy mają rozwijać się żywiołowo tak jak metropolie Trzeciego Świata, czy przeciwnie – być kształtowane według wskazówek lewicowych ruchów miejskich? A może należy poszukać innych rozwiązań? Prawica nie powinna w tych sporach stać z boku



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Młodzi, wykształceni mieszkańcy wielkich miast nie są jedyną grupą zamieszkującą polskie metropolie. A przy tym wcale nie taką jednorodną, jak mogłoby to wynikać z sondaży partyjnych. Zdradza to zaciekły spór wokół wytyczania buspasów, które są chyba najlepszym papierkiem lakmusowym ujawniającym istnienie różnych grup interesów.

Przy czym nie chodzi tu tylko o konflikt zmotoryzowanych z niezmotoryzowanymi, bo problem sięga znacznie głębiej. Coraz więcej Polaków mieszka w metropoliach i od ich problemów oraz od tego, w jakim kierunku będą rozwijać się miasta, zależy kształt całej Polski.

DWA EGOIZMY

Z jednej strony mamy tu zapracowanych robotników korporacji, którzy każdego dnia tkwią w kilometrowych korkach do pracy, a z drugiej sytych freelancerów koło południa zasiadających w kafejkach z laptopami do pracy. Ci pierwsi nie są panami swojego czasu, muszą za wszelką cenę zdążyć na określoną godzinę do pracy, a ci drudzy – przeciwnie – sami decydują, jak i gdzie będą pracować. Pierwsi mają zwykle na utrzymaniu rodziny, a drudzy preferują swobodne życie bez zobowiązań.

Umowni niewolnicy korporacji to zazwyczaj ludzie, którzy startowali z niskiego poziomu i przeprowadzili się do metropolii w poszukiwaniu lepszych zarobków. Mieszkają w blokowiskach na obrzeżach miast lub – jeśli zarobili nieco więcej – zdążyli się już przenieść do podmiejskich osiedli domków jednorodzinnych. W większości kupionych

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a228ebe70a

na kredyt. Codziennie dojeżdżają więc samochodami do pracy.

Freelancerzy nie mają takich problemów. Wielu urodziło się w miastach, wielu odziedziczyło mieszkania po swoich rodzicach lub dziadkach. Często w modnych, drogich dzielnicach w centrach miast. Nie muszą korzystać z aut, a jeśli już, to sporadycznie. Nie muszą śpieszyć się do pracy ani spłacać zaciągniętych kredytów. Są miejską elitą, której zależy na tym, by mieszkać w przyjemnym i wygodnym otoczeniu. Nie znoszą hałasu i smrodu zakorkowanych ulic. Chcą przestrzeni, zieleni i spokoju. Dlatego najchętniej wyrugowaliby auta z miast.

Tymczasem robotnicy korporacji bez samochodu nie wyobrażają sobie życia. Ich droga do pracy trwałaby bowiem w nieskończoność, nie mówiąc już o zakupach czy o podwiezieniu dziecka do szkoły. Dochodzi jeszcze do tego czynnik specyficznego prestiżu. Posiadanie auta ciągle jest w Polsce oznaką wyższego statusu i sukcesu. Gdy więc słyszą o postulatach ograniczenia ruchu samochodowego w mieście, czy to poprzez zielone strefy, czy poprzez buspasy, reagują bardzo nerwowo. Mają bowiem poczucie, że ktoś chce im utrudnić codzienne życie lub zawłaszczyć miasto dla siebie.

Prawda jest jednak bardziej skomplikowana. Mamy bowiem do czynienia ze starciem dwóch egoizmów, które nie przyjmują do wiadomości cudzych potrzeb. Tymczasem społeczność miejska jest znacznie bardziej różnorodna.

MIASTO IDEALNE

Przedstawiony wyżej podział na pracowników korporacji i freelancerów jest oczywiście umowny i bardzo uproszczony. Bo trzeba byłoby wrzucić jeszcze do niego np. licznych pracowników sektora usług, zwykle spoza miasta, którzy – obsługując mieszkańców – poruszają się głównie samochodami. Trzeba też zauważyć młode pokolenie, które w większości uważa, że polskie miasta są nieprzyjazne do życia i że trzeba to zmienić.

Jest jeszcze jedna grupa mieszkańców miast, której nikt nie zauważa. To – nazwijmy go umownie – miejski proletariat, a więc najniżej opłacani pracownicy (w tym także zubożała część inteligencji). Wielu z nich także mieszka od pokoleń w mieście, tyle że w skromniejszych mieszkaniach i w mniej prestiżowych dzielnicach. Oni są poza sporem, nie korzystają z aut, jeżdżą komunikacją miejską, ale w odróżnieniu od lewicowych aktywistów nie stoją za tym pobudki ideowe, lecz zwykły brak pieniędzy.

Ogólnie linia podziału przebiega według stanu majątkowego lub stylu życia. Ci, którzy nie muszą martwić się o pieniądze lub nie mają zobowiązań, domagają się estetyki i wygody, a ci, którzy muszą zasuwać od rana do wieczora, myślą tylko o użyteczności.

Te podziały zaczęły się w Polsce pojawiać wraz ze wzrostem ogólnej zamożności. W największych miastach, takich jak Warszawa, postawy społeczne stają się coraz bardziej podobne do tych, które występują w miastach całej Unii Europejskiej. Nie chodzi tylko o przyswajanie liberalnych poglądów czy hołdowanie przemianom obyczajowym, ale również o naśladowanie tamtejszego stylu życia – bogatego, wygodnego i estetycznego. Ażeby to było możliwe, potrzebna jest reforma metropolii, rodzaj inżynierii społecznej, która ukształtuje nowego mieszkańca miast, zastępując zaściankowego lemingа-dorobkiewicza postępowym aktywistą.

> Spór o przyszłość miast może – choćby ze względu na liczebność miejskiego elektoratu – mieć coraz większe znaczenie dla kształtu sceny politycznej w Polsce

Oczywiście nie wszystkie pomysły aktywistów są złe. Każdy chciałby zapewne mieszkać w przyjaznym otoczeniu, w dobrze zarządzanym, bogatym mieście, ze sprawną, rozbudowaną komunikacją, wśród zieleni i z szerokim dostępem do usług, szkół i instytucji kultury. W mieście, w którym liczą się interesy jego mieszkańców, a nie deweloperów i przeróżnych grup mafijnych. I gdzie można wyminąć się na chodniku, który nie jest akurat zatarasowany przez parkujące, jak popadnie, samochody.

Temu służy lansowana przez ruchy miejskie idea tzw. miasta 15-minutowego, w którym wszystkie podstawowe potrzeby mieszkańców mogą zostać zaspokojone w odległości 15 minut spaceru od domu. W tej sytuacji samochody nie byłyby na co dzień w ogóle potrzebne. Idea bardzo słuszna, tyle że – jak wiele podobnych pomysłów – kosztowna i trudna do realizacji, a w Polsce całkowicie wręcz utopijna. Zresztą już wielokrotnie w przeszłości pojawiały się różne koncepcje budowy szczęśliwych miast: począwszy od przedwojennych miast ogrodów w Polsce, przez wzorcowe osiedla robotnicze w rodzaju Nowej Huty, na zaczerpniętych od Le Corbusiera samowystarczalnych (w teorii) „miastach w mieście", takich choćby jak warszawski Ursynów. Żadna z tych idei nie przetrwała próby czasu, co więcej, wiele z tych wzorcowych osiedli zostało z czasem opuszczonych przez pierwotnych mieszkańców, przekształcając się w tanie, posępne blokowiska.

KIJ BEZ MARCHEWKI

Oczywiście dobrze by było, gdyby miasto było zarówno przyjazne, jak i użyteczne dla ludzi. Jednak wymaga to zupełnie innego podejścia. Nie może być ono doktrynalne (budujemy wzorcowe miasto), ale też nie można pozostawić wszystkiego na żywioł. A więc jeżeli chcemy, by życie w miastach było lżejsze, dajmy ludziom możliwość wyboru.

W Warszawie podobnie jak w kilku innych dużych miastach w Polsce próbuje się ograniczać ruch samochodowy. Nic dziwnego, skoro według wyliczeń w stolicy Polski do końca 2021 r. było zarejestrowanych ponad 2 mln samochodów, a więc więcej niż zameldowanych tu mieszkańców. I nawet jeśli odliczymy od tej liczby auta leasingowane czy flotowe, to i tak liczba samochodów na warszawskich ulicach jest zatrważająca – dochodzą bowiem pojazdy zarejestrowane w innych rejonach kraju. Korki są codziennością, a znalezienie miejsca do zaparkowania graniczy często z cudem. W rezultacie na ulicach i chodnikach panuje chaos i anarchia.

eprasa.pl a228ebe70a

Miejskie władze samorządowe, w większości kraju zdominowane przez PO, najchętniej pozostawiłyby wszystko, jak jest. Więcej prywatnych samochodów to przecież mniejsze wydatki na transport zbiorowy. Dopiero od niedawna – pod presją lewicy – zaczęto ograniczać ruch aut.

Można oczywiście zwęzić ulice (na pewno będą bardziej ciche i przyjazne dla ludzi), można wprowadzić strefy zakazu wjazdu dla aut (choćby pod pozorem walki z zanieczyszczeniem), ale trzeba dać coś ludziom w zamian. Po pierwsze, międzydzielnicowe, odizolowane od zabudowań, trasy szybkiego ruchu, a po drugie, doskonale funkcjonującą komunikację miejską i – co równie ważne – podmiejską. Berlin czy Paryż mogły pozwolić sobie na uspokojenie ruchu aut, bo dysponują siecią szybkich kolei podmiejskich takich jak S-Bahn czy RER. Dzięki temu nie ma sensu pchać się do miasta samochodem, bo znacznie szybciej dojedzie się transportem zbiorowym.

Tymczasem samorządy miejskie w Polsce zawsze skąpiły pieniędzy na inwestycje w komunikację, nie pomagało też prawo, które nie ułatwia tworzenia związków komunalnych. W rezultacie, o ile podstawowa komunikacja w miastach jakoś funkcjonuje, o tyle podmiejska – w porównaniu ze standardami Europy Zachodniej – jest fatalna. Biorąc pod uwagę fakt niekontrolowanego rozlewania się miast na peryferie, oznacza to dla mieszkańców przedmieść przymus korzystania z samochodów i – co za tym idzie – ogromną liczbę aut na ulicach. Nieprzypadkowo największa ostatnio awantura wokół buspasów w Warszawie dotyczyła południowej wylotówki z miasta.

PRESJA NA LEWO

W odpowiedzi na te problemy lewica naciska na restrykcje administracyjne. A więc zakazy wjazdu i utrudnienia w poruszaniu się po drodze dla zmotoryzowanych. Jeżeli kogoś frustruje korek w drodze do pracy, do szkoły czy do szpitala, to powinien przeprowadzić się bliżej centrum i korzystać z komunikacji miejskiej. Problem w tym, że nie każdego na to stać, zwłaszcza jeśli ma rodzinę i potrzebuje większego mieszkania.

Aktywiści i na to mają gotowe rozwiązanie. Proponują np. zmianę przepisów mieszkaniowych. W Warszawie i wielu innych miastach jest wiele pustostanów, trzymanych jako lokata pieniędzy lub na handel. Trzeba je zatem tak mocno opodatkować, by ich właścicielom nie opłacało się utrzymywać pustych mieszkań. Wtedy albo je sprzedadzą (co zwiększy podaż i doprowadzi do spadku cen), albo je wynajmą.

Spekulacja mieszkaniami rzeczywiście jest problemem, który wymaga rozwiązania, jednak nie musi wcale doprowadzić do tego, że mieszkańcy przedmieść przeniosą się do miast. To, gdzie ktoś mieszka, powinno pozostać kwestią wyboru, a nie przymusu. Dlatego potrzebne jest stworzenie takich warunków funkcjonowania miast, by nikt nie stawał przed koniecznością podejmowania radykalnych decyzji życiowych.

> PO promuje specyficzną lewicowość, skierowaną do najbogatszego elektoratu, który stać na elektryczne samochody i który nie ponosząc kosztów, chce mieć wokół siebie ładnie i dostatnio

Spór o przyszłość miast może – choćby ze względu na liczebność miejskiego elektoratu – mieć coraz większe znaczenie dla kształtu sceny politycznej w Polsce. Stojący w korkach robotnicy z korporacji to w większości klientela PO, ale już bogaci freelancerzy coraz częściej spoglądają w stronę lewicy. A jeśli nawet lewica jest ich zdaniem zbyt radykalna (np. w kwestii mieszkań czy wykluczenia ekonomicznego), to stanowią oni grupę nacisku wewnątrz PO w kierunku lewicowej agendy. Nieprzypadkowo liderzy Platformy, zwłaszcza w największych miastach, zaczęli nagle troszczyć się – choćby werbalnie – o ekologię, ścieżki rowerowe i strefy zieleni. W Warszawie Rafał Trzaskowski zakazuje nawet koszenia trawy w wielu parkach, by ocalić pszczoły.

Jest to dość specyficzna lewicowość, skierowana właśnie do najbogatszego elektoratu, który stać na elektryczne samochody i który chce mieć wokół siebie ładnie i dostatnio, nie ponosząc przy tym większych kosztów.

Prawica już dawno odpuściła sobie miasta, nie wierząc, że cokolwiek może tu ugrać, choć przecież ma tu swój elektorat (przykładowo w Warszawie, uchodzącej za bastion PO, ponad 30 proc. mieszkańców to wyborcy prawicy). Wyjątkiem są rozmaici ortodoksyjni „wolnorynkowcy" w rodzaju Przemysława Wiplera, który głosił kiedyś, że w miastach w ogóle nie powinno być transportu publicznego. Pomijając już szkodliwość takiego poglądu, trzeba dodać, że nie podbije się w ten sposób miast.

Zamiast głupio iść pod prąd, należy raczej tonować najbardziej radykalne pomysły. A więc przykładowo nie sprzeciwiać się potrzebie regulacji życia w mieście (np. związanej z samochodami czy polityką mieszkaniową), ale je modyfikować w interesie pracujących mieszkańców i ich rodzin. Nie zakazywać ruchu samochodowego, ale zachęcać przez zwiększone inwestycje do korzystania z transportu zbiorowego. Proponować taką politykę czynszową miasta, która będzie promować placówki usługowe, edukacyjne i kulturalne zamiast banków i prywatnych lecznic. Bo w tej chwili centra miast wymierają z powodu wysokich opłat, które ponoszą najemcy lokali usługowych i sklepowych.

Wszystkie sprzeczne potrzeby miejskiego elektoratu da się w rozsądnym wymiarze jakoś pogodzić. Trzeba tylko je znać i a priori ich nie odrzucać. Kwestii buspasów też nie wystarczy zbyć prostym sprzeciwem, tylko dlatego że platformerski ratusz to wymyślił. Prawica nie powinna działać w skali miast w analogiczny sposób do tego, jak działa antypisowska opozycja w kraju, a więc przez blokowanie. Tym bardziej, że nie każdy korzysta z samochodu. Nie tędy droga.

Zamiast tego prawica musi sformułować własny – pozbawiony ortodoksji i uprzedzeń – program dla miast. Bo w tej chwili całkowicie oddała pola rywalom. I ponosi tego konsekwencje podczas każdych wyborów.

Reklama | 41/0722/F

eprasa.pl a228ebe70a

Bank Pekao

BIERZ ŻYCIE ZA ROGI



FIRMA NA PEŁNYCH OBROTACH

Otwórz konto firmowe

0 zł

- za prowadzenie konta
- za terminal płatniczy na 2 lata

Promocja „2000 zł premii dla firm i 0 zł za konto" trwa do 28.02.2023 r. i jest skierowana do klientów prowadzących lub otwierających jednoosobową działalność gospodarczą, spółkę cywilną lub spółkę osobową. Uczestnikiem promocji może zostać podmiot krajowy (rezydent) prowadzący wyłącznie księgowość uproszczoną. Promocja 0 zł za konto polega na bezterminowym zwolnieniu uczestnika promocji z opłaty za prowadzenie Konta Przekorzystnego Biznes w złotych. Szczegóły w regulaminie promocji „2000 zł premii dla firm i 0 zł za konto" na pekao.com.pl/firma i w oddziałach banku. Na premię do 2000 zł składa się: do 600 zł za aktywność kartą debetową Mastercard wydaną do Konta Przekorzystnego Biznes, do 600 zł za umowę i transakcje terminalem, 800 zł jednorazowo za zawarcie pierwszej umowy o kredyt lub pożyczkę z gwarancją w Banku Pekao S.A. lub leasing w Pekao Leasing, lub faktoring w Pekao Faktoring.

Oferta terminala płatniczego za 0 zł na 2 lata trwa do 28.02.2023 r. i dotyczy zwolnienia klienta z opłat za dzierżawę terminala płatniczego przez okres 24 miesięcy, licząc od miesiąca następującego po miesiącu instalacji terminala płatniczego objętego dofinansowaniem w ramach Programu Wsparcia Obrotu Bezgotówkowego, zgodnie z treścią „Umowy w sprawie współpracy w zakresie obsługi i rozliczeń transakcji dokonywanych przy użyciu instrumentów płatniczych w ramach Programu Wsparcia Obrotu Bezgotówkowego".

Pełne informacje znajdziesz w placówkach Banku Pekao S.A. oraz na pekao.com.pl. Informacje tu zawarte nie są ofertą w rozumieniu Kodeksu cywilnego. | **Bank Pekao S.A.**

eprasa.pl a228ebe70a

Rozwiązać problem Białorusi

Jeśli wojna będzie zmierzać do końca po myśli Kijowa, to wiele na to wskazuje, że Ukraina pomoże Białorusinom w wyzwoleniu swojego kraju od reżimu Łukaszenki



MAREK BUDZISZ

17 października białoruskie Ministerstwo Obrony wydało specjalny komunikat, w którym poinformowano, że Mińsk „pozostawia sobie prawa do uderzenia prewencyjnego" na terytorium obcego państwa. Obserwatorzy zwrócili uwagę nie tylko na to, że możemy mieć do czynienia z zapowiedzią włączenia się Białorusi po stronie Rosji do ataku na Ukrainę, ale na zasadniczą zmianę tonu tego komunikatu. O ile jeszcze przed rosyjską agresją na Ukrainie w podobnym komunikacie mówiło się wyłącznie o obronie granicy państwowej, to teraz władze posunęły się w swojej retoryce zdecydowanie dalej. Ale to nie jedyna zmiana.

Aleksandr Wolfowicz, sekretarz białoruskiej Rady Bezpieczeństwa, poinformował o tym, że do końca roku będzie trwać przegląd rezerwistów, co opozycyjny tygodnik „Nowa Niwa" uznaje za faktyczne rozpoczęcie mobilizacji pod pretekstem rutynowych działań. Zdaniem dziennikarzy w pierwszej kolejności mobilizacja ma objąć wieś i prowincję, której mieszkańcy zawsze byli bardziej lojalni wobec reżimu niż mieszkańcy wielkich miast. Z kolei Iwan Tertel, szef białoruskiego KGB, mówi o rozpoczęciu operacji antyterrorystycznej, co zbiega się ze zmianą tonu rosyjskiej propagandy, która zaczęła po uderzeniu na most Kerczeński oskarżać Kijów o terroryzm. Do tego trzeba dodać komunikaty o powołaniu regionalnego rosyjsko-białoruskiego zgrupowania wojskowego i informacje o planowanym przemieszczeniu nad granicę z Ukrainą nawet 70 tys. rosyjskich żołnierzy i otrzymujemy pełny obraz – Białoruś najprawdopodobniej przygotowuje się do wojny.

ZA, A NAWET PRZECIW

Przedstawiciele Ukrainy nie są specjalnie zaniepokojeni pogróżkami płynącymi z Mińska, bo sądzą, że jeśli na początku wojny, kiedy wszyscy sądzili, że rosyjskie wojska lada chwila zdobędą Kijów, Łukaszenka nie zdecydował przyłączyć się do agresji Putina, to tym bardziej teraz nie pójdzie na takie ryzyko. Kirył Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego, powiedział w rozmowie z portalem Obozrevatel, że obecnie białoruski sprzęt wojskowy jest rozkonserwowywany przede wszystkim po to, by uzupełnić straty Rosjan, a dodatkowo w ten sposób utrzymywać w napięciu Ukrainę. Budanow już na początku miesiąca mówił w jednym z wywiadów telewizyjnych, że jego zdaniem Białoruś nie wejdzie do wojny, chociaż Moskwa wywiera coraz większą presję na Łukaszenkę. Komentując ostatnią wizytę białoruskiego dyktatora w Soczi, powiedział również, iż „kierownictwo Federacji Rosyjskiej próbowało przekonać Łukaszenkę do przyłączenia się do wojny. Zaproponowali mu nawet pewien format uczestnictwa. W odpowiedzi Łukaszenka bardzo pięknie próbuje się z tego wszystkiego wyłączyć, to znaczy nie odmawia, ale też się nie zgadza. Ale faktycznie robi wszystko, by temu zapobiec".

Ale czy rzeczywiście tak jest? I czy białoruski dyktator ma jeszcze kontrolę nad własnymi resortami siłowymi? Wadim Kabanczuk, zastępca dowódcy pułku im. Kastusia Kalinowskiego, złożonego z białoruskich ochotników walczących na Ukrainie, jest zdania, że z wojskowego punktu widzenia Łukaszenka „nie kontroluje już komponentu wojskowego. Putin i jego żołnierze na terytorium Białorusi czują się spokojni i robią to, co uważają za słuszne". W jego opinii oznacza to, że choć udział w wojnie jest w społeczeństwie białoruskim niepopularny również wśród wojskowych, to i tak Rosjanie mogą zmusić Mińsk do czynnego zaangażowania, jeśli rozpoczną oni kolejną dużą operację. I na to czekają w pułku Kalinowskiego, który – jak niedawno poinformowano – ma się przekształcić w dywizję. Kabanczuk jest zdania, że białoruscy żołnierze nie będą walczyć, mówi o sygnałach gotowości poddania się zaraz po przekroczeniu ukraińskiej granicy i jest zdania, że będzie to początek końca reżimu Łukaszenki. Tyle że obalić trzeba go będzie z bronią w ręku i do tego przygotowują się bojownicy w rodzaju Kabanczuka. W pułku, który powołał niedawno swoją reprezentację polityczną – sejm, są przekonani, iż strategia pokojowych demonstracji z 2020 r. nie sprawdziła się i prędzej czy później będzie trzeba się bić o wolność i demokrację.

Białoruskie władze obawiają się scenariusza tego rodzaju. Iwan Tertel, nie tylko szef białoruskiego KGB, ale i jeden z głównych współpracowników Łukaszenki, powiedział w ubiegłym tygodniu, że już w listopadzie z terenu Ukrainy na Białoruś może wkroczyć grupa „od 100 do 300 dobrze uzbrojonych bojowników" i „zgodnie z ich planami będą chcieli zająć najbliższą osadę, najlepiej miasto wielkości stolicy rejonu. Następnie dołączą do nich ochotnicy z innych krajów i wolontariusze z Ukrainy. Zadając straty naszym stróżom prawa,

Fot. Drop of Light/Shutterstock, Vitai Hi/Shutterstock, Gastleski/Shutterstock



ruszą w kierunku Mińska". Wszystko oczywiście zależy od sytuacji na froncie wojny rosyjsko-ukraińskiej, ale przedstawiciele reżimu w Mińsku są pewni, że jeśli Rosja zacznie przegrywać i zostanie zmuszona do tego, by iść na ustępstwa, to siłowa próba na Białorusi jest nieuchronna.

PLAN OPOZYCJI

Wydaje się, że do tego scenariusza, rozgrywki siłowej lub gry z białoruskimi siłownikami, jak określa się przedstawicieli resortów siłowych, przygotowuje się również Swiatłana Cichanouska. W skład powołanego przez nią w sierpniu tzw. rządu tymczasowego, na którego czele stanął Paweł Łatuszka, weszło dwóch przedstawicieli inicjatywy ByPol zrzeszającej tych przedstawicieli białoruskich resortów siłowych, którzy przeszli na stronę opozycji. Są to Walery Sachaszczyk, podpułkownik wojsk specjalnych, były dowódca elitarnej brygady wojsk powietrzno-desantowych z Brześcia, oraz Aleksander Azarow, który przez wiele lat pracował w Głównym Zarządzie ds. Walki ze Zorganizowaną Przestępczością, a potem był wykładowcą białoruskiej Akademii Spraw Wewnętrznych. Ten pierwszy ma odpowiadać za sprawy wojskowe, w tym kontakty z przedstawicielami sił zbrojnych, drugi ma realizować przywracanie porządku prawnego, po tym jak opozycja zdobędzie władzę.

Na początku października, po tym jak pojawiły się spekulacje, że Łukaszenka może pójść na Kijów, Azarow poinformował o uruchomieniu planu Peremoga, czyli zwycięstwo. Przewiduje on również uruchomienie wariantu siłowego przez wkroczenie wyszkolonych bojowców na Białoruś, ale dodatkowo ich działania miałaby wspierać sieć partyzancka, o której rozbudowie poinformował. To zresztą nie jest nowy wątek, bo Franciszek Wiaczorka, doradca Cichanouskiej ds. zagranicznych, już na początku wojny rosyjsko-ukraińskiej mówił o „działalności partyzantów" na Białorusi, którzy przeprowadzili wiele aktów dywersji, przede wszystkim na kolei, opóźniając ruch wojsk i utrudniając dostawy.

Różnica między ekipą Cichanouskiej a białoruską opozycją skupioną wokół pułku Kalinowskiego polega – jak się wydaje – na tym, że o ile Paweł Łatuszka, stojący na czele „przejściowego gabinetu", nie

odrzuca wariantu, w którym część obecnych zwolenników Łukaszenki przechodzi na stronę opozycji, co z grubsza można by porównać do polskiego okrągłego stołu, o tyle pozostali opowiadają się za przejęciem władzy z bronią w ręku. Jest jeszcze jedna zasadnicza różnica.

Otóż Cichanouska nie ma poparcia Kijowa, którego przedstawiciele zaczynają myśleć o tym, jak urządzić sytuację w regionie po wojnie. Niektórzy z nich są wręcz zdania, że nie będzie można ustabilizować sytuacji w regionie bez zmian w Mińsku. Jeśli Ukraina chce mieć stabilny system bezpieczeństwa już po wojnie i przygotowywać się do kolejnej ewentualnej agresji Moskwy, to nie może pozostawić Rosjanom kontroli nad Białorusią. Oba kraje mają zbyt długą granicę, by ryzykować ewentualne uderzenie rosyjskie również od północy.

Bohdan Jaremienko, były dyplomata i szef komisji spraw zagranicznych ukraińskiej Rady Najwyższej, opublikował niedawno artykuł, który odbił się szerokim echem wśród białoruskiej emigracji. Jego zdaniem prędzej czy później Ukraina, myśląc o swoim bezpieczeństwie, będzie musiała rozwiązać problem Białorusi. Ukraina nigdy nie będzie czuła się bezpiecznie, mając 1000-km granicę z państwem, które z wojskowego punktu widzenia kontroluje Putin. Już sama budowa niezbędnych umocnień, nie mówiąc o skoncentrowaniu tam na stałe niezbędnych sił zbrojnych, może okazać się wysiłkiem ponad możliwości osłabionej wojną Ukrainy.

Co więcej, apeluje on do władz w Kijowie, by te przygotowały plan B, jeśli miałoby się okazać, że perspektywa członkostwa w NATO i Unii Europejskiej, na którą wszyscy obecnie stawiają, nie jest tak pewna czy szybka. Co wówczas? Jaremienko nie ma złudzeń, że trzeba będzie budować regionalny system bezpieczeństwa przed Rosją i wówczas z oczywistych względów wróci kwestia Białorusi. Jak argumentuje, „niemal wszystkie konfiguracje teoretycznie możliwych przyszłych sojuszy regionalnych dla Ukrainy obejmą Polskę i Litwę, które mają wiele własnych problemów z Białorusią i uważają jej okupację przez Rosję za bezpośrednie zagrożenie i dlatego będą liczyć na Ukrainę".

Wszystko to razem wzięte oznacza, że prędzej czy później zarówno Ukraina, jak i jej najbliżsi sojusznicy będą musieli rozwiązać problem Białorusi.

Jaremienko jest też zdania, że pułk Kalinowskiego jest jedynym prawomocnym reprezentantem narodu białoruskiego i to związani z nim politycy – a warto pamiętać, że przy tym oddziale powołano właśnie sejm, namiastkę politycznego ciała przywódczego – przeprowadzą na Białorusi zmianę reżimu. Niewykluczone zresztą jego zdaniem, że o wolność Białorusini będą musieli walczyć z bronią w ręku, co zresztą w wielu wywiadach powtarza Wadim Kabanczuk, zastępca dowódcy pułku Kalinowskiego, mówiąc, że Białorusini nauczyli się w 2020 r., że pokojowe protesty, jeśli ma się przeciwko sobie uzbrojony reżim, niewiele dają.

> Jeśli Ukraina chce mieć stabilny system bezpieczeństwa już po wojnie i przygotowywać się do kolejnej ewentualnej agresji Moskwy, to nie może pozostawić Rosjanom kontroli nad Białorusią

PODWÓJNA PRESJA

Jeśli wojna będzie zmierzać do końca po myśli Kijowa, to wiele na to wskazuje, że Ukraina pomoże Białorusinom w wyzwoleniu swojego kraju. Co ciekawe, relacje między ekipą Zełenskiego a Cichanouską i jej ludźmi są co najmniej chłodne. Mychajło Podolak mówi publicznie, że nie do końca rozumie linię Cichanouskiej, która w jego opinii nie dość jednoznacznie potępiła rosyjską agresję na Ukrainę. Wadim Mereżko, deputowany rządzącej partii Sługa Narodu i przewodniczący parlamentarnej komisji ds. polityki zagranicznej, powiedział, że Ukraina nie uznała do tej pory tzw. rządu tymczasowego, który powołała latem Cichanouska, bo ma poważne wątpliwości co do postawy politycznej niektórych jego członków. „Stanowisko Cichanouskiej – powiedział Mereżko w rozmowie z dziennikarzami Radio Svoboda – w stosunku do Rosji i Putina nie jest wystarczająco jasne. Wydaje się, że boi się ona nazywać rzeczy po imieniu. Np. nie stwierdziła jasno, że Rosja jest państwem terrorystycznym, agresorem i wrogiem narodu białoruskiego".

Niewątpliwie mamy wśród części ukraińskich polityków do czynienia ze skokowym wzrostem radykalizmu, jeśli chodzi o nastawienie do reżimu Łukaszenki. Jest to w pewnym stopniu pochodną obecnej sytuacji związanej z wojną i ma oczywisty związek z tym, że Rosjanie swobodnie operują z terenu Białorusi. Ale również ten dzisiejszy radykalizm części polityków na Ukrainie ma związek z faktem, że przed wojną Zełenski nie był skłonny uprawiać polityki aktywnego wsparcia dla białoruskiej opozycji. Ukraina przyłączyła się tylko do jednego pakietu sankcji Unii Europejskiej po sfałszowanych wyborach prezydenckich w 2020 r., a niemal do samej agresji głównym dostawcą oleju napędowego były państwowe firmy z Białorusi. Ostatni transport dotarł na kilka godzin przed wybuchem wojny, dziś – jak się uważa – po to, by rosyjscy czołgiści mieli gdzie zatankować.

Ten radykalizm Kijowa powoduje też wzrost obaw Łukaszenki i jego ludzi, którzy zaczynają publicznie mówić o perspektywie wojny domowej. W efekcie do presji geostrategicznej wywieranej na Mińsk przez Moskwę dołączają się obawy o nieuchronną destabilizację wewnętrzną. To czyni sytuację bardziej niebezpieczną nawet w porównaniu z pierwszą fazą wojny. Czy w efekcie Łukaszenka zdecyduje się iść z Putinem, bo i tak niewiele ma do stracenia, nie jest dziś jeszcze pewne. Jedno jest za to oczywiste. Kwestia Białorusi wróci i to, jak zostanie rozstrzygnięta, będzie zależało od wyniku rosyjsko-ukraińskiego starcia. Problemem Łukaszenki jest wszakże to, że niezależnie od wyniku konfliktu jego pole manewru ulega zawężeniu. Jeśli wygra Ukraina, to zmaterializuje się jeden ze scenariuszy obstawianych przez białoruską opozycję, jeśli Putin, to w Mińsku też można spodziewać się zmian, bo mimo kwiecistej retoryki w tym przypadku mamy do czynienia raczej z szorstką przyjaźnią, a nie z miłością. Sytuacja powoli staje się bez wyjścia, co może uruchomić zmiany. Jedno jest pewne – Białoruś po zakończeniu wojny na Ukrainie będzie już innym państwem, być może bez Łukaszenki.

eprasa.pl a228ebe70a



Arkadij Francuz – urodzony w Rydze, z wykształcenia medyk (studia na Łotwie) i prawnik (studia we Francji), służył w armii ZSRS i w Legii Cudzoziemskiej, biznesmen. Na zdjęciu w trakcie wydawania wody mieszkańcom zniszczonego Iziumu.

zdjęcia Andrzej Skwarczyński

Relacja z Ukrainy

Każdego dnia widzimy ogromną ludzką krzywdę

Myślimy o stworzeniu domów dla uchodźców i centrum rehabilitacyjnego. Prowadzimy rozmowy z gubernatorem obwodu czerkaskiego, by zlokalizować tam placówkę dla ludzi poszkodowanych przez wojnę, w której mogliby odzyskiwać sprawność po wyjściu ze szpitali. Sprowadzamy z Francji niezbędny sprzęt i specjalistyczne łóżka

Z Arkadijem Francuzem, od 24 lutego 2022 r. wolontariuszem organizującym ewakuację ludzi z terenów przyfrontowych, zajmującym się pomocą medyczną oraz zapewnianiem miejsc tymczasowego pobytu i wyżywienia uchodźcom, w Kijowie rozmawia Andrzej Skwarczyński

Jak to wszystko się zaczęło?

Arkadij Francuz: Do 24 lutego prowadziłem normalne życie. Gdy usłyszałem pierwsze wybuchy, przypomniałem sobie, że jestem żołnierzem. Pamięć mięśniowa i mózgowa dały o sobie znać. Byłem wiele razy na wojnie, w różnych niebezpiecznych miejscach, głównie jako uczestnik misji pokojowych. Wiele razy trafiałem pod ostrzał, blisko mnie wybuchały bomby. Dość długo służyłem w Sarajewie. Dzięki mojej przeszłości byłem przygotowany na wojnę.

Gdy tylko dowiedziałem się z radia, że Rosja nas zaatakowała, pojechałem kupić paliwo i żywność dla siebie i dla moich psów. A potem przebrałem się w wojskowe ubrania, wziąłem karabin i pojechałem ratować ludzi.

To było w Kijowie?

Tak, w czasie wojny nigdy nie uciekałem z miasta. Broniłem Kijowa, ewakuowałem ludzi, wywiozłem wielu Francuzów i innych do Białej Cerkwi. Wiele razy jeździłem do Czernihowa, gdzie było bardzo niebezpiecznie. Zabierałem stamtąd potrzebujących, głównie dzieci. Ewakuowałem też rannych – wszystkich moim osobowym samochodem – często siedzenia i szyby były całe we krwi. Później zdobyłem busa, którym mogłem zabierać więcej osób. A potem była karetka pogotowia, najpierw jedna, potem druga. I stałem się wolontariuszem zorganizowanym, założycielem fundacji pomagającej ludziom poszkodowanym na wojnie.

eprasa.pl a228ebe70a

Czym konkretnie zajmuje się fundacja?

Przede wszystkim ewakuujemy ludzi ze stref walk, a następnie organizujemy im transport na zachodnią Ukrainę. Kiedy Rosjanie wycofali się z obwodu kijowskiego, pomagaliśmy ludziom, którzy stracili domy, znaleźć inne miejsca pobytu w mieście. Przyjmowaliśmy ich do własnych mieszkań, udostępnialiśmy lokale przyjaciół, którzy wyjechali. Wielu ludzi przewieźliśmy do Satanowa na zachodniej Ukrainie w obwodzie chmielnickim.

Dlaczego akurat tam?

Mamy tam bardzo dobre stosunki z miejscowymi władzami. Dzięki dwóm ludziom – Albertowi Iwanowiczowi, naczelnikowi rejonu, i Wadimowi Pundzie, kierownikowi oświaty rejonu – mogliśmy umieszczać uchodźców w trzech tamtejszych szkołach. Przez Satanów przeszło bardzo wiele osób. Wszystkim zapewnialiśmy wyżywienie i dach nad głową.

Żywność pochodziła z pomocy humanitarnej?

Działalność fundacji finansuję z własnych oszczędności, z własnej kieszeni płaciłem za wszystko, co było potrzebne, by pomagać ludziom. Tylko dwoje moich przyjaciół zza granicy wsparło fundację finansowo. To ludzie zaangażowani w pomoc Ukrainie, m.in. organizowali wystawy zdjęć z Buczy i Irpienia w Europie, pokazując rosyjskie ludobójstwo. Inni ludzie też pomagali w miarę swoich możliwości – głównie angażując się w działania bezpośrednie, poświęcając swój czas i pracę, czasami ktoś wspomagał nas produktami żywnościowymi.

Ile osób pracuje w fundacji?

Około 30. Chcemy rozwinąć działalność. Nie tylko ewakuować ludzi z frontu, ale też zapewniać im kompleksową pomoc. Myślimy o stworzeniu domów dla uchodźców i centrum rehabilitacyjnego. Prowadzimy rozmowy z gubernatorem obwodu czerkaskiego, by zlokalizować tam placówkę dla ludzi poszkodowanych przez wojnę, w której mogliby odzyskiwać sprawność po wyjściu ze szpitali. Sprowadzamy z Francji niezbędny sprzęt i specjalistyczne łóżka.

Wiele osób z zachodu obiecywało mi pomoc finansową w tym dziele, m.in. Rothschildowie, ale gdy dochodziło do konkretów, nigdy nic z tego nie wychodziło.

Dlaczego tak się dzieje?

Słowa nic nie kosztują. Ci ludzie zawsze są skorzy do komplementowania, chętnie pozują do zdjęć, obrazujących jak „bardzo" pomagają, ale w rzeczywistości to tylko pozory. Ich nie interesuje realna pomoc. Zawsze pytają, co u nas, przesyłają pozdrowienia, mówią, jacy to Rosjanie są źli, i proszą, żebyśmy się nie poddawali, ale realnego wsparcia od nich nie otrzymujemy.

Spotkałem też ludzi, którzy nazywali się dziennikarzami, przyjeżdżali do mnie ładnymi samochodami i mówili, że będą kręcić film o tym, jak pomagamy. W rzeczywistości byli zainteresowani głównie fotografowaniem siebie na tle naszej pracy. Publikowali te nagrania i zdjęcia na swoich profilach społecznościowych, pisząc przy tym, że są zaangażowani w pomoc na Ukrainie, i przy okazji ogłaszali zbiórki pieniędzy, które nigdy do nas nie trafiały.

Założona przez ciebie fundacja nazywa się Sacré-Cœur. Skąd taka nazwa?

Jestem obywatelem Francji, moi znajomi stamtąd o to mnie poprosili. W Paryżu jest bazylika Najświętszego Serca (Sacré-Cœur), pod której opieką miała działać fundacja. Mówiono mi, że w każdym większym mieście są kościoły pod tym samym wezwaniem i wszystkie one będą nam pomagać. Mój przyjaciel, który mieszka we Francji, dzwonił do wszystkich tych świątyń, prosił o pomoc dla fundacji, ale nikt nie był tym zainteresowany. Dlatego myślimy nad zmianą naszej nazwy.

Jak twoim zdaniem zmieni się sytuacja na froncie po ogłoszeniu przez Putina mobilizacji?

Powiem wprost, to będzie mogilizacja ruskich. Ci ludzie nie mają motywacji do walki. Tam działa tylko propaganda. Rosyjska armia okazała się niezdolna do prowadzenia działań wojennych. Generałowie nie mają na nic wpływu. Putin chciał podbić Ukrainę, wysyłając tu kolumny idiotów. Szły duże ugrupowania wojsk, bez zapewnionej logistyki, bez ubezpieczenia, bez niczego, tylko z bardzo głupimi Czeczeńcami, którzy robili sobie zdjęcia i krzyczeli, że pozabijają wszystkich. Widziałem to na własne oczy, kiedy walczyłem w obronie Kijowa. Ukraińcy bronią własnej ziemi, a ci przyszli uwalniać Ukrainę od jej mieszkańców. Orki nie mają żadnej motywacji i nie są zdolni do prowadzenia skutecznej walki.

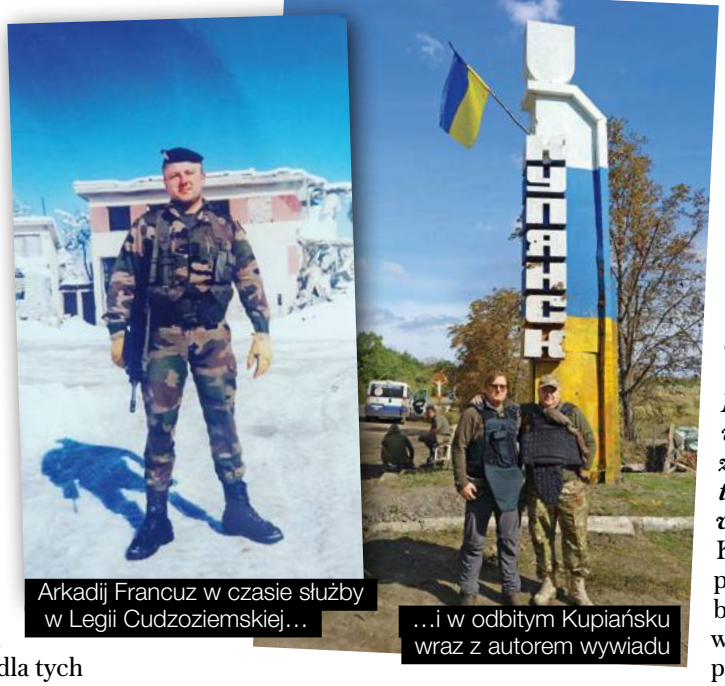
Do pewnego momentu słuchałem informacji z Rosji, ale już przestałem. Po co? To są chorzy ludzie. Cały czas nazywają nas ukrofaszystami i nazistami. Mieszkam długo na Ukrainie, znam wielu ludzi, prowadzę interesy i życie towarzyskie. Nigdy i nigdzie nie widziałem tutaj żadnych faszystów, żadnych ludzi ze swastykami. Bywałem i na zachodniej Ukrainie, i w centralnej, i we wschodniej, nigdzie z niczym takim się nie zetknąłem.

W takim razie skąd w Rosji idea ukraińskiego neonazizmu?

Cała współczesna rosyjska kultura opiera się na zwycięstwie w wielkiej wojnie ojczyźnianej. W Rosji ze zwycięstwa nad Hitlerem stworzono niemal religię, kult. Innych zwycięstw, wielkich osiągnięć później nie udało się im wypracować. Cały czas odcinają kupony z II wojny światowej – nasi dziadkowie walczyli z faszyzmem, to znaczy, że i my musimy. Tylko dlaczego tym razem Ukraińcy mają być faszystami? Tego ich propaganda dobrze nie przemyślała, bo rosyjska gospodarka ponosi straty już od 2014 r. Do tego czasu na Ukrainie było bardzo dużo rosyjskich inwestycji, wiele firm z Rosji prowadziło tu interesy, przyjeżdżało wielu biznesmenów i turystów. Po pierwszej agresji wszystko to się skończyło, a przecież ci ruscy widzieli, jacy naprawdę są Ukraińcy. To bardzo otwarci, dobrzy, gościnni i pracowici ludzie, ale to też naród, z którym lepiej nie zaczynać. Ukraińcy będą się mścić i walczyć do ostatka za zabieranie im ziemi i krzywdzenie ich żon.

Byliśmy razem w Kupiańsku i w Iziumie. Widzieliśmy, jak bardzo te miasta są zniszczone. Wiemy, co tam się stało. Wielu ludzi uciekło, część zginęła. Kim są ci, którzy zostali?

eprasa.pl a228ebe70a



Arkadij Francuz w czasie służby w Legii Cudzoziemskiej…

…i w odbitym Kupiańsku wraz z autorem wywiadu

Oni nie mają dokąd wyjechać. Sam widziałeś, że to ludzie żyjący na granicy socjalnego ubóstwa. Po prostu nie mają pieniędzy, żeby wyjechać gdziekolwiek i do kogokolwiek. Zostali głównie biedni i starzy, którzy naprawdę potrzebują pomocy, bo siedzą tam głodni i bez światła. Większość od pierwszych dni marca nie miało możliwości wykąpania się, bo nie ma tam ani wody, ani kanalizacji. Ruscy wszystko im zniszczyli, niczego dobrego dla tych ludzi nie zrobili i nie zrobią. Ogłosili swoją władzę, powiedzieli, że to już na zawsze, mówili, że będą wszystkich dobrze traktować. Zaczęli wydawać ludziom rosyjskie dokumenty i uruchamiać swoje szkoły, ale w niczym zwykłym ludziom nie pomogli. Najpierw dużo zburzyli, a potem uciekli.

Rozmawiałem z ludźmi z Iziumie. Rosjanie 30 kwietnia zajęli miasto, przez okres okupacji mieszkańcom cztery razy wydali pomoc humanitarną. Żywność z tych paczek nie nadawała się do jedzenia. Dlatego ci ludzie mówili, że my karmimy ich jak w restauracji.

Ale w miastach na wschodzie Ukrainy byli też ludzie, którzy chcieli być w Rosji, chcieli ruskiego miru.

Myślę, że w obwodzie charkowskim takich ludzi była mniejszość. Na pewno byli tacy, którzy zostali ogłupieni przez rosyjską propagandę. Nie spodziewam się jednak, żeby ktoś jeszcze wierzył w ruski mir. Teraz wszyscy zobaczyli, jaka jest prawda i jak bardzo odbiega ona od tego, co pokazywane jest w rosyjskiej telewizji. Oczywiście byli też kolaboranci. Część z nich uciekła z ruskim wojskiem. Zdrajcami, którym się to nie udało, zajmuje się Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, a wkrótce system penitencjarny.

Dlaczego Rosjanie w Iziumie dopuszczali się mordów na cywilach, których później pochowali w lesie?

Nie było mnie tam, nie mogę udzielić pewnych, wiarygodnych odpowiedzi. Część z tych ludzi zapewne zginęło od ostrzału. Z drugiej strony niemożliwe jest zrozumienie logiki człowieka psychicznie chorego. Nie jestem psychiatrą, studiowałem medycynę bez specjalizacji. Mogę przytoczyć historię opowiedzianą mi przez przyjaciela. 6 marca w Buczy w samochodzie jechała czteroosobowa rodzina – małżeństwo z dwiema córkami. Ruscy doskonale widzieli, że to cywile, pomimo to ostrzelali auto. Ojciec zginął na miejscu. Z rozbitego samochodu wyszła matka z córkami, młodsza miała 9 lat. I po prostu z bliska je rozstrzelali. A to ponoć Ukraińcy mają być faszystami. Okazało się, że ta 9-latka przeżyła, ale postrzał urwał jej rękę. Ludzie wciągnęli ją do piwnicy i tam siedzieli bez pomocy medycznej przez dwie godziny. Wyszli na ulicę, spotkali jakiegoś staruszka z mniej więcej 16-letnim chłopakiem. Nastolatek zatknął białą flagę na kij, szedł z nią i krzyczał, że za nim idą dzieci, żeby nie strzelali. Zastrzelili go. Nie mam słów na okrucieństwa, których orki się dopuszczają.

A dziewczynka?

Donieśli ją do szpitala, żyje. Dzięki pomocy dobrych ludzi przez Włochy dotarła do Kanady, gdzie przygotowywana jest dla niej proteza.

W Charkowie poznaliśmy tamtejszych wolontariuszy, którzy poświęcają się pomocy innym. Czy wszędzie wzdłuż frontu ludzie tak się organizują?

To bardzo dobrzy ludzie. Wcześniej byli zwykłymi mieszkańcami, a w czasie wojny stają na wysokości zadania. Teraz wożą pomoc humanitarną, ale w czasie oblężenia ewakuowali ludzi z ostrzeliwanych dzielnic. W każdym mieście ludzie tak się organizują.

Nawet w czasie pokoju występują problemy z zaopatrzeniem szpitali w krew. Jak to teraz wygląda na Ukrainie?

Krwi i wykonywanych z niej preparatów katastroficznie brakuje. Pomimo znacznie większej liczby dawców, bo patrioci pomagają na wszelkie potrzeby, zapotrzebowanie jest wielokrotnie większe niż w czasie pokoju. Otrzymujemy też preparaty zza granicy, ale samej krwi nie.

W Iziumie i w innych przyfrontowych miastach sytuacja jest tragiczna. Ludziom, którzy tam zostali, brakuje dosłownie wszystkiego. Wkrótce nadejdzie zima, jak oni ją przetrwają?

Nie wiem. Po prostu, nie wiem. Próbowaliśmy zebrać pieniądze, żeby tych ludzi ewakuować, zapewnić im dach nad głową i wyżywienie, ale nie udało się zgromadzić wystarczających środków. Europa też już nie będzie chciała przyjmować więcej uchodźców. Na początku z Ukrainy wyjeżdżali ludzie w większości z terenów nieobjętych działaniami wojennymi i teraz może już nie być miejsca dla tych będących w większej potrzebie. Każdego dnia patrzymy na ogromną krzywdę ludzką. Dlatego pomagamy tym biednym ludziom.

Jak rysuje się przyszłość? Co z rolnictwem na Ukrainie?

Na odbitych terenach będzie bardzo ciężko. Pola uprawne są zaminowane. Tegoroczne plony niezebrane, wszystko stracone. Nowe zasiewy niezrobione. W przyszłym roku niczego tu nie będzie, ani żywności, ani pieniędzy. To wszystko przez ruskich, którzy chcą nas „oswobadzać".

Kiedy zakończy się wojna?

Wtedy, kiedy wygramy. Szybko to nie nastąpi, ale zwycięstwo będzie jednoznaczne.

eprasa.pl a228ebe70a



Klęska, której władza nie zauważyła

Bardzo udany serial „Wielka woda" przypomina właśnie o powodzi tysiąclecia z 1997 r. Pod wieloma względami w przewrotny i tragiczny sposób kataklizm ten okazał się spóźnionym końcem PRL



WOJCIECH LADA

Na pierwszy ogień poszły Prudnik i Głuchołazy. Nie ogień, ale wodę, bo to właśnie spiętrzone rzeki południowej Polski zalały najpierw okoliczne pola i wioski, a następnie wdarły się na ulice tych miast. A potem było już tylko gorzej. W następnych dniach powódź rozszerzyła się. Wodzisław, Nysa, Racibórz, Kłodzko, Opole, Wrocław... Zwiększał się nie tylko zasięg kataklizmu, ale również jego głębokość. W wielu miejscach, jak choćby w Miedonii, wskaźniki poziomu wody znalazły się głęboko pod jej powierzchnią, co sprawiło, że pomiary chcąc nie chcąc wstrzymano. Buzująca i wirująca fala podmywała ścieki, mieszała się z błotem, unosiła martwe, powoli rozkładające się zwierzęta. Tak naprawdę nie była to już woda, lecz rwące, nieznośnie cuchnące szambo.

Ginęli też ludzie. Czasem pijacy, którzy nie zauważyli podnoszącej się wody i przysnęli w jakimś zagłębieniu. Ale też ludzie całkiem trzeźwi – samochody wpadały w dziury w podmytych drogach, zawalały się na nich ściany naruszonych żywiołem budynków. Czasem ginęli też z głupoty. Prawie nikt nie chciał do ostatniej chwili opuszczać swoich domów. Bywało, że usuwano ich siłą.

Już po pierwszych dniach wielkiej powodzi 1997 r. było dla wszystkich jasne, że będzie to kataklizm tysiąclecia, a straty z każdym dniem będą rosnąć o kolejne setki milionów złotych. Zdaniem ówczesnego rządu nie była to jednak klęska żywiołowa.

ABSURDALNA STRONA DRAMATU

I formalnie istotnie nie była. W myśl obowiązujących w lipcu 1997 r. paragrafów coś takiego jak klęska żywiołowa po prostu w Polsce nie występowało. Pojęcie takie pojawiło się dopiero w uchwalonej trzy miesiące wcześniej konstytucji, która jednak wejdzie w życie dopiero w październiku. Nie znaczy to

Fot. PAP

eprasa.pl a228ebe70a

jednak, by władze nie posiadały stosownych instrumentów prawnych, które mogłyby mieć ogromny wpływ na ułatwienie walki z żywiołem. Instrumentem takim był mianowicie stan wyjątkowy, którego ogłoszenie, po pierwsze – pozwoliłoby przekazać lokalnym władzom odpowiednie fundusze, po drugie zaś – pozwoliłoby tymże lokalnym władzom efektywnie wykorzystywać siły służb mundurowych. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Wojewodowie słali do Warszawy dramatyczne prośby o wprowadzenie stanu wyjątkowego na podległym im terenie. Jak raportowano w „Rzeczpospolitej", kiedy Leszek Miller, ówczesny minister spraw wewnętrznych, przyjechał do Nysy, „Dyrektor Urzędu Wojewódzkiego Andrzej Borowski wiózł dla niego kolejny już list z prośbą o wprowadzenie stanu klęski".

A jednak „stanu klęski" nie wprowadzano. Tłumaczono to różnie, choćby tym, że w niczym to nie pomoże, a tylko ograniczy swobody obywatelskie – jak twierdził minister sprawiedliwości Leszek Kubicki. Prawda była jednak taka, że wprowadzenie stanu wyjątkowego byłoby dla tego akurat rządu mocno krępujące wizerunkowo – ustawa w tej sprawie pochodziła z 1983 r. i skojarzenia ze stanem wojennym byłyby tutaj dość czytelne. Przede wszystkim jednak oznaczałoby to konieczność przesunięcia terminu wyborów przewidzianych na wrzesień. Akcją ratunkową sterowano więc jak za PRL centralnie, z Warszawy, a to oznaczało jedno wielkie pasmo tragicznych absurdów.

Owszem, przysyłano pewną ilość ciężkiego sprzętu mechanicznego, ale bez zapasu paliwa. Na terenach, gdzie praktycznie wszystkie stacje benzynowe znalazły się pod wodą, oznaczało to, że będzie on bezużyteczny. We Wrocławiu znalazły się latarki, ale zabrakło baterii – przy zabezpieczaniu miasta pracowano więc przy zapalonych pochodniach, a w pomieszczeniach przy świecach. Sprowadzono śmigłowce ratunkowe, ale ich piloci nieustannie się gubili, bo nikt nie dostarczył im planu miasta.

Tym jednak, czego dostarczano najmniej, były pieniądze. Ówczesna władza miała duże opory przy wydawaniu pieniędzy na walkę z kataklizmem i notowała tu wpadkę za wpadką. Okazało się mianowicie, że rezerwa, która teoretycznie mogła służyć takim właśnie celom, została w budżecie niepostrzeżenie zmniejszona. I to znacznie: z 300 mln do 80 mln. Dopiero fala powszechnej i z każdej strony miażdżącej krytyki sprawiła, że premier Cimoszewicz zadeklarował przekazanie 500 mln i drugie tyle, o ile uda się zdobyć pożyczkę z Banku Światowego. Z rozpędu po kilka milionów dołożyli też szefowie paru innych resortów. Skąpstwo władzy zostało jednak dobrze zapamiętane i mocno skomentowane. „W Czechach rząd zbierał się codziennie i natychmiast miał fundusze. Wspólnie lustrowali sytuację rządzący Václav Klaus i lider opozycji Miloš Zeman. Planują 8 mld koron, czyli więcej niż polska rezerwa budżetowa, chociaż polski PKB jest dwuipółkrotnie wyższy" – wyliczano brutalnie w tygodniku „Wprost".

Ktoś inny skomentował tę sytuację bardziej wymownym porównaniem. Wyliczył mianowicie, że prezydent Czech Václav Havel osobiście przekazał powodzianom równowartość 100 tys. zł, Aleksander Kwaśniewski zaś 20-krotnie mniej, bo zaledwie 5 tys.

GDY ZABRAKNIE WYOBRAŹNI

Tymczasem gdy w Warszawie rozpaczano nad milionami rozlewającymi się wraz z powodzią, na południu Polski sytuacja była wciąż dramatyczna. Przeznaczone do pomocy siły wojska, policji czy straży pożarnej były o wiele za małe jak na rozmiary katastrofy. Reporterzy „Życia" zauważali, że zdesperowany wojewoda opolski zwrócił się z prośbą o pomoc do armii niemieckiej. Nawiasem mówiąc, nie tylko Niemcy nam wówczas pomagali. „Do akcji porządkowych włączył się oddział 100 żołnierzy z Ukrainy, którzy przybyli na Opolszczyznę wraz ze sprzętem ratunkowym" – odnotowano w „Rzeczpospolitej". Przydali się, bo polska armia – choć szeregowi żołnierze z pewnością robili, co mogli, i trudno przecenić ich pomoc – również padła ofiarą centralnego zarządzania kryzysem i wynikającego z tego chaosu. Dobrze ilustruje go przykład oddziału żołnierzy pomagających mieszkańcom zalanej Oławy. Kiedy sytuacja w miasteczku została już jako tako opanowana, żołnierze z własnej inicjatywy chcieli ruszyć na odsiecz Wrocławia. Niestety, gdzieś zagubili się ich dowódcy i szeregowcy poszukiwali ich za pośrednictwem... telewizji.

Jeśli chodzi o inne służby mundurowe, to najbardziej pomocna okazała się bodaj straż pożarna – lepiej zresztą przeszkolona w zbliżonych sytuacjach. Policjantom również trudno odmówić ofiarności i zapału, przed nimi stanęło jednak zupełnie inne wyzwanie. „60 policjantów i strażników patrolujących w nocy miasto nie było w stanie poradzić sobie ze złodziejami. Areszt był przepełniony" – przyznawał wówczas Bogdan Niemczuk, sekretarz Komitetu Przeciwpowodziowego w Kłodzku. Ale w dzień też nie było podobno lepiej. Złodzieje pływali na pontonach i zabierali wszystko z podtopionych sklepów, bardzo często zresztą ryzykując życie, a czasem także je tracąc. Ludzie przeważnie nie reagowali. „Widziałam, jak złodzieje rozdawali część łupu, np. odtwarzacze wideo, gapiom, którzy początkowo chcieli interweniować. Ludzie brali i mówili, że to nie złodziejstwo, bo dobro i tak się zmarnuje" – mówiła dziennikarzom „Wprost" mieszkanka Kłodzka. Wychodząc z takiego właśnie założenia, ludzie często po prostu brali, co wpadło im w ręce. I nie tylko dorośli. Również w Kłodzku, na pl. Grottgera, zaobserwowano grupkę nastolatków, którzy wielkimi brezentowymi siatkami wynosili zabawki ze sklepu Relax-Hobby.

Minister Sobótka przekonywał co prawda dziennikarzy, że zjawisko szabru nie występuje, ale jednocześnie rząd wydał wojewodom nakaz karania przyłapanych na kradzieży w przyspieszonym trybie – sytuacja musiała być więc naprawdę poważna. W Kłodzku podobno było pod tym względem najgorzej, skoro doniesienia o tych wypadkach przedostawały się codziennie na łamy prasy, ale inne miejsca też nie były bezpieczne. We Wrocławiu jeden ze śmigłowców przeznaczonych do akcji ratunkowej, zamiast wyciągać ludzi z podtopionych domów, krążył nieustannie w powietrzu, wypatrując szabrowników. Zysk był duży, ale ryzyko spore – mogli zostać aresztowani, ale mogli też zginąć, co istotnie kilku bardziej brawurowym złodziejom się przytrafiło. Mądrzejsi pod względem zarabiania na nieszczęściu okazali się sklepikarze, którzy ceny zupełnie podstawowych towarów podnosili z godziny na godzinę parokrotnie. To było chyba nawet gorsze niż szaber, bo wody i jedzenia zabrakło

eprasa.pl a228ebe70a

bardzo szybko, a w tamtych czasach niemal wszyscy jeszcze płacili gotówką, która najczęściej powodzianom po prostu utonęła.

Nawiasem mówiąc, to właśnie powszechny szaber był jedną z głównych przyczyn wysokiej śmiertelności. „Na siłę wyprowadzaliśmy ludzi z domów" – mówił dziennikarzom jeden ze strażaków w Bardzie Śląskim. „Zdecydowaliśmy się z żoną opuścić dom koło północy, ale po 10 metrach musieliśmy zawrócić – za głęboko, woda sięgała drugiego pietra" – przyznawał jeden z mieszkańców miasta. Ich akurat uratował sąsiad. „Ludzie nie chcą zostawiać swojego majątku, chroniąc sprzęty, narażają swoje życie. Tak jest w Reńskiej Wsi, z której ewakuujemy teraz ludzi w ekstremalnych warunkach" – mówił wojewoda opolski, apelując do mediów, by nie uspokajały ludzi.

Nie wszędzie jednak niechęć do ewakuacji wynikała z zachłanności, głupoty czy strachu. W mniejszych, odciętych miejscowościach, często po prostu brakowało odpowiedniego sprzętu. „Nie ma łączności, żadnej pomocy z zewnątrz. Są ofiary śmiertelne i osoby zaginione. Krytyczna sytuacja we wsiach Gowrów, Jodłów, Potoczek i Nowa Wieś. Konieczna pomoc w sprzęcie i w ludziach" – meldował burmistrz dolnośląskiego Międzylesia Feliks Łukaszewicz. „W tym momencie nie mam już czym ratować. Mam tylko dwie niewielkie łódki, takie, żeby zabrać ludzi i dowieźć jedzenie. Mieliśmy do dyspozycji amfibię, ale wysiadł jej silnik i mało nie poszła pod wodę z 19 ewakuowanymi dziećmi" – alarmował jego kolega z gminy Lubomia.

Telewizyjny obrazek dziesiątków ludzi układających w pocie czoła worki z piaskiem dotyczył zasadniczo miast. Oprócz nich zatonęło wówczas blisko 300 mniejszych i większych wsi. Tam sytuacja wyglądała raczej tak jak w Lubomi. I to również obciąża rachunek rządu, co przyznał nawet związany z nim Andrzej Piłat, wówczas pełnomocnik rządu ds. usuwania skutków powodzi. „Test wielkiej wody wykazał ponad wszystko, że Polacy w sytuacjach dramatycznych potrafią się zmobilizować. Imponują instytucje charytatywne, które natychmiast zaczęły organizację pomocy. Instytucjom państwowym zabrakło na początku wyobraźni. Rozmiary katastrofy były jednak nie do przewidzenia. Po pierwszym szoku ludzie kierujący instytucjami się otrząsnęli. Ludzie pracowali z ogromną ofiarnością. Niestety, okazało się, że nie mamy przygotowanego sprzętu".

RADŹCIE SOBIE SAMI

Rząd więc również tonął. Nie wspominając już o fatalnym zarządzaniu i głośno komentowanym skąpstwie, jego członkowie okazali się też mistrzami mocno niefortunnych wypowiedzi, bardzo wiele mówiących, jak daleko są od społeczeństwa. Jako pierwszy błysnął premier Cimoszewicz, oznajmujący rolnikom, których cały dobytek i miejsce pracy znajdowało się właśnie kilka metrów pod wodą, że sami sobie są winni, bo się nie ubezpieczyli. Po burzy, która rozpętała się po tej wypowiedzi, premier oficjalnie przeprosił, tłumacząc, że słowa te wypowiadał w początkowej fazie powodzi, gdy straty nie wydawały się jeszcze zbyt poważne. Znalazł też pieniądze i istotnie były one w końcu wypłacane poszkodowanym.

Ale nie on jeden udowodnił kompletny brak rozeznania w sytuacji. Wiceminister ochrony środowiska Krzysztof Szamałek zapytany, czy wojsko pozostanie na pozalewowych terenach, by pomóc mieszkańcom w powrocie do normalności, odparł, że wojsko nie jest od tego, by sprzątać prywatne mieszkania i że mieszkańcy muszą liczyć na solidarność i pomoc sąsiedzką. Podobne przemyślenia w kwestii pomocy służb mundurowych ofiarom klęski żywiołowej mieli również urzędnicy nieco niższego szczebla. Wiceprzewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Przeciwpowodziowego we Wrocławiu Stanisław Zięba oznajmił oficjalnie mieszkańcom Oławy z rozbrajającą szczerością: „Zalane zostaną bardzo rozległe tereny miasta. I nie mamy tak specjalistycznego sprzętu, by pomagać przy ewakuacji ludności. Dlatego oławianie muszą ratować się sami i nie mogą liczyć na pomoc wojska i policji. Wojsko i policja pomagają w miarę swoich możliwości".

Oławianie jakoś się uratowali. „Wyjechali nieliczni – wiadomo, Polak nie ruszy się z domu nawet jak atomem walą, choć jeśli już jedzie, to na bogato. Niektórzy powyjmowali nawet drzwi z zawiasów i ładowali do nysek i starów" – opowiadał jeden z bohaterów świetnej powieści Łukasza Orbitowskiego „Kult". On też zauważał nieco przemilczany problem powodzi. „Facet z wodociągów zamilkł, rzekłbym, nabrał wody w usta. Może dlatego, że zdecydowali tam, we Wrocławiu, na wysadzenie polderu zalewowego w podoławskich Lipkach. Urocza sprawa, zwłaszcza dla tych z Lipek. Co jest ważniejsze – miasto czy wieś? Zabytki czy ludzie? Odciążono Oławę, ale zatopiono Lipki. Co na to mieszkańcy Lipek?".

Podobnych dylematów było w 1997 r. bardzo wiele. Jeden z radnych Opola zgłosił nawet do prokuratury wniosek o wszczęcie śledztwa w sprawie wysadzenia wałów w Boguszowicach pod Opolem, twierdząc, że władze wojewódzkie chciały w ten sposób ochronić centrum miasta kosztem dzielnicy Zaodrze. Wojewoda ustami swojego rzecznika Jarosława Majchra zaprzeczył, ale postępowanie wszczęto.

Bodaj najgłośniejsza tego rodzaju sprawa miała miejsce w kilku wsiach nieopodal Wrocławia. Tam też zdecydowano się rozsadzić wały. Podobnie jak w Lipkach nie wspominając ich mieszkańcom o jakichkolwiek rekompensatach. Mieszkańcy weszli więc na wały i nie dopuścili do podłożenia ładunków. Policja odmówiła usunięcia ich siłą, a kiedy ktoś wpadł na pomysł zbombardowania tychże wałów nocą, kiedy protestujących nie było na miejscu, niczego to nie zmieniło – woda i tak już we Wrocławiu była. Choć istotnie, jak na rozmiary kataklizmu i skalę zniszczeń w mniejszych miejscowościach – tutaj przynajmniej spustoszenie nie było totalne. Ale to już głównie zasługa samych mieszkańców. „To było pospolite ruszenie" – wspominał jeden z nich.

W ciągu kilkunastu lipcowych dni tamtego roku woda zatopiła 50 miast, blisko 300 wsi, a straty oszacowano na 3,5 mld dol. Ta ostatnia liczba mówi chyba najwięcej o fatalnym stanie ówczesnej polskiej infrastruktury. Choć powódź zdemolowała także wschodnie Niemcy, Czechy, a także spory kawałek Słowacji i Austrii, straty materialne w tych krajach wyniosły łącznie 1 mld dol.

Inna liczba jest jednak bardziej ponura. Podczas całej powodzi śmierć poniosło 114 osób, z czego niemal połowa zginęła w Polsce.

Dwa miesiące później w wyborach, których terminu tak bardzo starał się bronić rząd, on również zatonął.

Reklama | 30/0822/F

eprasa.pl a228ebe70a

PRZYSZŁOŚĆ JEST

Z MIEDZI

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl a228ebe70a



Aborcyjne wybory w Ameryce



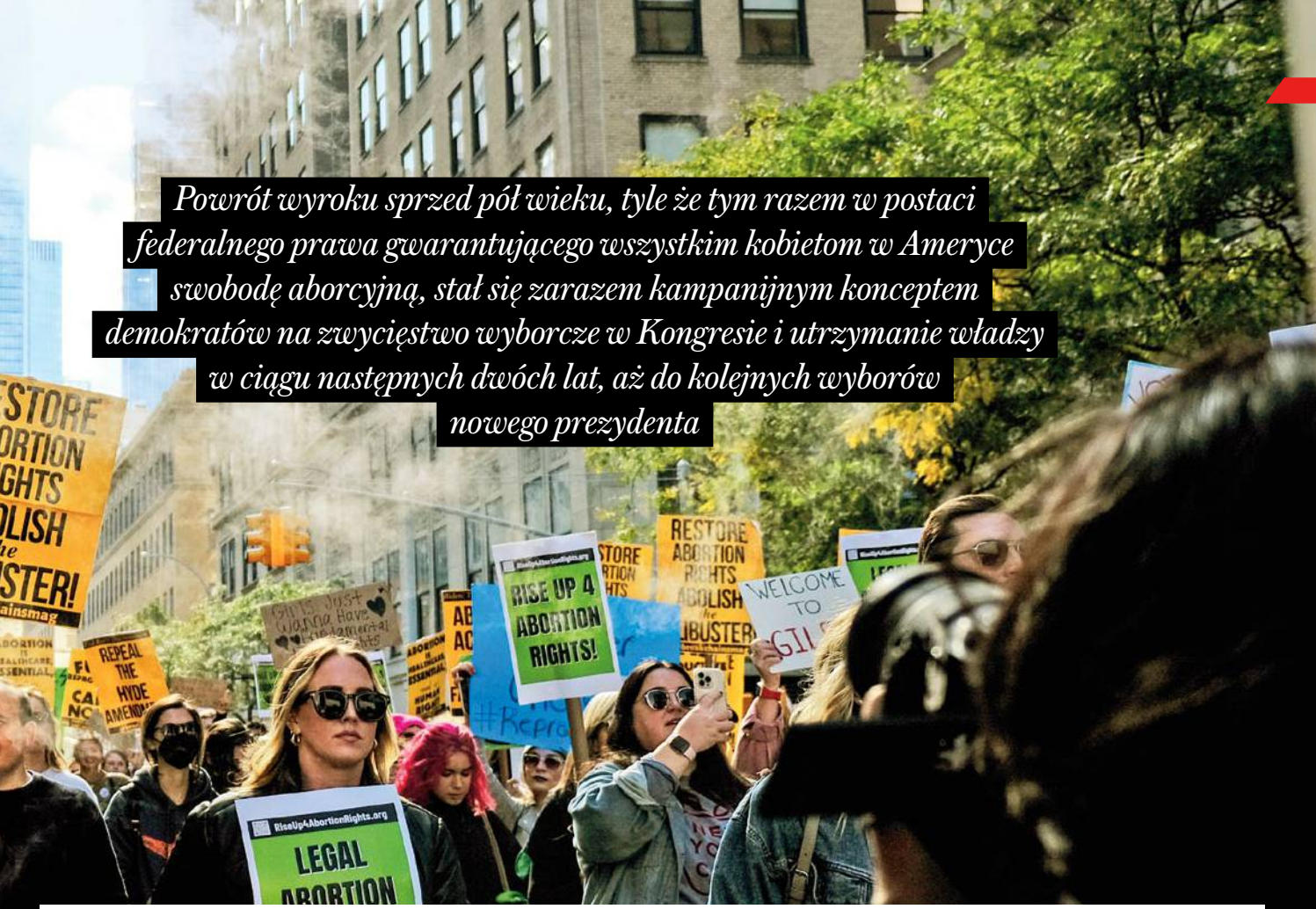
JAN ROKITA

W ubiegłym tygodniu amerykańskie media obiegł kampanijny filmik, zrobiony w waszyngtońskim Howard Theatre, znanym z historii miasta jako „teatr ludu", gdyż przez dziesiątki lat toczyło się tu życie kulturalne społeczności murzyńskiej. Zdjęcie przedstawia zaaranżowaną na niebiesko scenę, a na niej ludzi trzymających tablice z wypisanymi hasłami: „Restore Roe" i „Defend Choice". Analogiczny biało-czerwony napis „Restore Roe", tyle że gigantycznych rozmiarów, jest dominującym elementem scenografii. Na froncie sceny – prezydent Joe Biden, który wygłasza do zgromadzonych w teatrze posłów, senatorów i aktywistów Narodowego Komitetu Partii Demokratycznej solenne i poruszające zobowiązanie. Przyrzeka, że jak tylko we wtorek 8 listopada jego ludzie zdobędą większość w Kongresie, to pierwszy projekt, który wyśle z Białego Domu na Kapitol, będzie gwarantować w całej Ameryce swobodę przerywania ciąży. „Twoje prawo wyboru należy do ciebie" – z patosem w głosie mówił Biden. „Jeśli wy – demokratyczni przywódcy Kongresu zrobicie swoje, to i ja wykonam swoją część. I przy waszym wsparciu jeszcze w styczniu podpiszę ustawę o kodyfikacji Roe".

UCHYLONY WYROK SPRZED PÓŁ WIEKU

Biden celuje w datę 22 stycznia 2023 r. – globalne święto aborcjonistów, gdyż tego dnia przypadnie 50. rocznica sławnego wyroku amerykańskiego Sądu Najwyższego w sprawie Roe vs. Wade. Tamten wyrok był częścią ówczesnej amerykańskiej „rewolucji praw", jak nazwano potem rozpoczęty prezydenturą Kennedy'ego okres głębokiej przebudowy prawa, kultury i obyczajowości w Ameryce, który dokonał się nie za sprawą demokratycznej polityki, ale politycznego aktywizmu amerykańskich sądów. To był właśnie początek owej

eprasa.pl a228ebe70a



Powrót wyroku sprzed pół wieku, tyle że tym razem w postaci federalnego prawa gwarantującego wszystkim kobietom w Ameryce swobodę aborcyjną, stał się zarazem kampanijnym konceptem demokratów na zwycięstwo wyborcze w Kongresie i utrzymanie władzy w ciągu następnych dwóch lat, aż do kolejnych wyborów nowego prezydenta

niezwykłej ewolucji ustroju nie tylko USA, ale jak się miało okazać – stopniowo także całego demokratycznego Zachodu, polegającej na przejmowaniu przez sędziów stricte politycznej władzy w najwrażliwszych materiach życia społecznego: praw mniejszości, multikulturowości, upolitycznienia życia seksualnego czy tzw. akcji afirmatywnej wobec Murzynów.

Wyrok Roe vs. Wade, który uznał swobodę aborcyjną za prawo człowieka, był dopełnieniem i domknięciem całości „rewolucji praw". Uchylony ostatnio przez nową konserwatywną większość Sądu Najwyższego staje się właśnie centralnym punktem kampanii, którą prezydent prowadzi na rzecz kandydatów Partii Demokratycznej do Kongresu. Powrót wyroku sprzed pół wieku, tyle że tym razem w postaci federalnego prawa, gwarantującego wszystkim kobietom w Ameryce swobodę aborcyjną, stał się zarazem kampanijnym konceptem demokratów na zwycięstwo wyborcze i utrzymanie władzy w ciągu następnych dwóch lat, aż do kolejnych wyborów nowego prezydenta.

Z przedwyborczej perspektywy to ciekawy zabieg, a wśród amerykańskich komentatorów dość zaskakujący, by z kluczowego dziś aborcyjnego wątku wojny kulturowej uczynić kampanijny sztandar lewicy. Być może miało to sens bezpośrednio po 24 czerwca, gdy po uchyleniu wyroku sprzed pół wieku w Ameryce, i nie tylko w Ameryce, spór o swobodę przerywania ciąży wybuchł znowu ze zwielokrotnioną siłą. Dość wiarogodnie brzmi hipoteza, iż rosnące przez całe lato sondaże przedwyborcze demokratów w jakiejś przynajmniej mierze były skutkiem owego wyroku. (Notabene podobne zjawisko skoku sondażowego centrolewu znamy również z Polski, po głośnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego). Ale wszystko wskazuje na to, że najlepszy moment wyborczy dla demokratów przeminął gdzieś na przełomie sierpnia i września. By użyć sportowego porównania, lewica osiągnęła szczyt formy na dwa miesiące przed kluczową rozgrywką.

O ile w pierwszej połowie września demokraci przeważali w sondażach nad republikanami średnio o 1,3 proc., to miesiąc później średnia przewaga w granicach 2,2 proc. należy już do republikanów. Wrześniowe prognozy dawały pewność utrzymania w obu izbach Kongresu lekkiej przewagi lewicy, a nawet szansę na jej powiększenie. Na dwa tygodnie przed terminem wyborów istnieje w Ameryce niemal powszechna zgoda co do prognozy wyraźnego zwycięstwa republikanów, czyli przejęcia sporej większości w Izbie Reprezentantów i prawdopodobnie przeważenia na swoją rzecz także dotychczasowej równowagi 50:50 panującej w Senacie.

Co istotne, takie prognozy są zgodnie formułowane przez te kluczowe ośrodki opiniotwórcze, które najsilniej są związane politycznie z Bidenem i jego obozem: np. gazety „The New York Times" i „The Washington Post", telewizja CNN czy brytyjski, ale bardzo zaangażowany w sprawy USA dziennik „Financial Times". Październikowy, traktowany zawsze z dużą wiarogodnością, sondaż Siena College, robiony na zlecenie „The New York Times", przewiduje nawet zwycięstwo prawicy w stosunku 49:45, co w przeliczeniu na mandaty w Izbie Reprezentantów daje prognozę dla demokratów 187–220 mandatów, a dla republikanów 215–248. Analitycy w USA nie kryją, że możliwość nawet

Fot. Katie Godowski / MediaPunch /IPX / EastNews

eprasa.pl a228ebe70a

kilkudziesięciomandatowej przewagi prawicy to prognoza absolutnie sensacyjna.

DEBATA POD DYKTANDO REPUBLIKANÓW

Bernie Sanders, niedawny poważny kandydat do prezydentury i autorytet lewicowej młodzieży w USA, zarzuca przywództwu Partii Demokratycznej, że oddało prawicy wszystkie istotne tematy kampanii poza wojną kulturową. Diagnozę Sandersa zdaje się potwierdzać ten sam sondaż „The Times", wskazujący, iż jesienią 2022 r. na czoło troski i zainteresowania Amerykanów wybijają się trzy priorytety programowe republikanów: walka z inflacją, ograniczenie liczby zabójstw oraz uregulowanie chaosu imigracyjnego. Od pół roku średni wzrost cen utrzymuje się w Ameryce na poziomie powyżej 8 proc., co w porównaniu z Polską może wydać się nie tak dużo, ale Amerykanie nie przeżyli niczego podobnego od kilkudziesięciu lat. Biden zaczął nawet uwalniać rezerwy strategiczne surowców energetycznych (w USA są one największe na świecie), by uzyskać spadek cen gazu dla obywateli. I apeluje ostatnio w dość dramatycznym tonie do koncernów naftowych, by podzieliły się z obywatelami swoimi gigantycznymi zyskami, zamiast wykorzystywać je do skupowania na dużą skalę własnych akcji.

Ale rząd Bidena, który blokuje decyzje o budowie rurociągów i zakazuje koncernom nowych odwiertów ze względu na ambitne cele klimatyczne, nie jest wiarygodnym partnerem dla biznesu naftowego. Demokraci zdają sobie zapewne z tego sprawę i chyba niezbyt liczą na przedwyborczą pomoc ze strony nafciarzy. Ich kłopot przedwyborczy stanowi także liberalizacja imigracji, przeprowadzona przez Bidena zaraz po objęciu władzy, w ramach „detrumpizacji" kraju, a także gorliwe zaangażowanie demokratów w nagonkę na policję w związku z falą rozruchów pod hasłem „Black Lives Matter". Lewica musiałaby zjeść własny język, by teraz rywalizować z republikanami na programy walki z przestępczością, wspierania policji albo ograniczania imigracji.

W ten sposób cała „życiowa" agenda przedwyborcza, emocjonalnie ważna dla uwikłanych w kryzysowe kłopoty przeciętnych Amerykanów (ceny, bandyci, obcy), stała się faktycznie niemal monopolistyczną domeną prawicy. Konserwatywna telewizja Fox News doradza kandydatom republikanów, by – jeśli chcą wyraźnie wygrać – w końcówce kampanii wyłącznie piętnowali stan gospodarki i wzrost bandytyzmu pod rządami demokratów. Tymczasem sam prezydent, co charakterystyczne, stara się podczas wieców przedwyborczych ograniczać do minimum swoje wypowiedzi na temat bezpieczeństwa, policji i gospodarki. A jeśli już musi mówić o walce z inflacją, to zrzuca odpowiedzialność za jej wysokość na Putina (skąd my to znamy?), no i saudyjskiego księcia Mohammeda, który dość obcesowo odrzucił ostatnio prośby Bidena o zwiększenie produkcji nafty, co nie tylko Ameryce dałoby chwilową ulgę w trwającym wzroście światowych cen.

> Skoncentrowaną na ideologii strategię przedwyborczą Partii Demokratycznej skrytykował ostatnio nawet, choć w sposób bardzo uprzejmy, Barack Obama, nadal najwyższy polityczny autorytet amerykańskiej lewicy

IDEOLOGICZNA BROŃ TO ZA MAŁO

Tę skoncentrowaną na ideologii strategię przedwyborczą Partii Demokratycznej skrytykował ostatnio nawet, choć w sposób bardzo uprzejmy, Barack Obama, nadal najwyższy polityczny autorytet amerykańskiej lewicy. Na popularnym i trochę szyderczym podcaście „Pod Save America", prowadzonym przez jego młodszych współpracowników z Białego Domu, dał długi wywiad, w którym opowiadał o tym, jak wielkim błędem lewicy (w tym także jego samego w przeszłości) jest ustawiczne zwracanie się do grup historycznie dyskryminowanych (kobiet, Murzynów, gejów), zastępujące „inkluzywną" rozmowę z wszystkimi Amerykanami. Zdaje się, że także Obama dostrzegł to, iż obecna dziwna kampania, w której rywale nie nawiązują w gruncie rzeczy z sobą niemal żadnego kontaktu, coraz gorzej wróży lewicy, zaabsorbowanej jedynie walką ideologiczną.

A sprawy pogorszył jeszcze ostatnio fatalny przypadek posłanki Jahany Hayes, bardzo sławnej, gdyż została wybrana jako pierwsza Murzynka ze stanu Connecticut i z fanatyzmem walczyła o tzw. prawa reprodukcyjne, tymczasem teraz okazała się aferzystką, która rozparcelowała niemal 500 tys. dol. z funduszów wyborczych między swoją rodzinę i przyjaciół.

Co z polskiej perspektywy istotne, niemal żadnej roli nie odgrywa w tej kampanii wojna tocząca się na Ukrainie. I to mimo że Ameryka, choć bardzo obawia się wciągnięcia w tę wojnę, jednocześnie wciąga się w nią z coraz większym zaangażowaniem. Co prawda Biden ciągle blokuje dostawy czołgów, samolotów czy rakiet średniego zasięgu dla armii ukraińskiej, uniemożliwiając de facto rozstrzygnięcie wojny korzystne dla Kijowa, ale w kampanii nie widać ani jakichś bardziej stanowczych krytyk takiej polityki, ani też świadectw entuzjastycznego społecznego poparcia dla niej. Inaczej niż w Europie, wojna na razie chyba nie budzi poważniejszego zainteresowania przeciętnych Amerykanów, skoro nie są na nią wysyłani (dotąd) ich synowie. Jedyny widoczny wpływ wojny na amerykańskie wybory objawił się ostatnio w obozie republikanów. Kiedy lider partii w Izbie Reprezentantów poseł Kevin McCarthy zasugerował, iż po wygranych wyborach Kongres przestanie wystawiać dla Kijowa „czeki in blanco", spotkał się z silnym odporem we własnej partii. Widać, że nowy Kongres może być głębiej niż dotąd podzielony w sprawie zakresu zaangażowania Ameryki w wojnę. Wśród republikanów będzie zapewne sporo „jastrzębi", dążących silniej niż Biden do pokonania Rosji na Ukrainie, ale i spora grupa izolacjonistycznych „gołębi", przekonanych, że interweniowanie w sprawy Europy Wschodniej jest tylko niepotrzebną stratą energii i pieniędzy.

eprasa.pl a228ebe70a

Rodzina zawsze w centrum

22 października obchodziliśmy Dzień Praw Rodziny. To okazja do przypomnienia, jak ważną rolę w państwie odgrywa rodzina – to ona jest fundamentem bytu i rozwoju. – Dobrze to rozumiemy, dlatego mimo pandemii, mimo wojny na Ukrainie i kryzysu, z którym mierzy się dzisiaj cała Europa, konsekwentnie stawiamy na rodzinę – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg



Fot. MRiPS

Obejmując władzę w 2015 r., w centrum naszych działań postawiliśmy rodzinę. Nie zmieniła tego pandemia, nie zmieniła wojna na Ukrainie i kryzys, z którym zmaga się dzisiaj cała Europa. Rodzina jest fundamentem bytu i rozwoju państwa, o czym z okazji Dnia Praw Rodziny szczególnie przypominamy – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

86 MLD ZŁ NA POLITYKĘ RODZINNĄ W 2022 r.

W br. tylko na działania związane ze wsparciem rodzin w ramach różnego rodzaju programów wydatki budżetu państwa wyniosą blisko 86 mld zł.

Od uruchomienia programu Rodzina 500+ w kwietniu 2016 r. to już 202,3 mld zł wsparcia. Świadczeniem jest objętych dzisiaj 7,1 mln dzieci. – Program Rodzina 500+ zmienił sposób postrzegania polityki społecznej w Polsce. To nie jest świadczenie socjalne dla najmniej uposażonych, to inwestycja w przyszłość młodego pokolenia – podkreśla szefowa MRiPS.

WSPARCIE NA OPIEKĘ NAD NAJMŁODSZYMI DZIEĆMI

Rodzinny kapitał opiekuńczy to z kolei nawet 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w wieku od ukończenia 12. do 35. miesiąca życia. Tu również nie obowiązuje kryterium dochodowe. W 2022 r. z rodzinnego kapitału opiekuńczego skorzysta ok. 615 tys. dzieci, a kwota wsparcia to ok. 3,1 mld zł. Na te dzieci, które nie są objęte rodzinnym kapitałem opiekuńczym, przysługuje z kolei dofinansowanie do pobytu w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna. To nawet 400 zł miesięcznie, które trafia bezpośrednio do placówki. W 2022 r. ze wsparcia ma skorzystać ok. 110 tys. dzieci.

WIĘCEJ ŻŁOBKÓW W CAŁEJ POLSCE

Dzięki wspieraniu tworzenia nowych miejsc opieki nad dziećmi do 3 lat w ramach programu Maluch+ coraz więcej rodziców może posyłać dzieci do placówki, a samemu wrócić do pracy.

W Polsce funkcjonuje dzisiaj 8 tys. placówek opieki nad dziećmi do 3 lat, w których znajduje się blisko 230 tys. miejsc opieki. W 2015 r. takich miejsc było zaledwie 84 tys.

SPOKOJNY POWRÓT DO SZKOŁY

Rodzice starszych dzieci mogą liczyć na dofinansowanie zakupu wyprawki szkolnej. 300 zł jednorazowego wsparcia przysługuje na każde uczące się dziecko do ukończenia 20. roku życia, a w przypadku dzieci z niepełnosprawnościami – do ukończenia 24. roku życia. W latach 2018–2022 do rodzin trafiło 6,6 mld zł, a wsparciem objęto 4,4 mln uczniów. Wnioski o świadczenie w ramach tegorocznej edycji programu Dobry Start można składać do końca listopada br.

WSPARCIE RODZIN W OBLICZU KRYZYSU

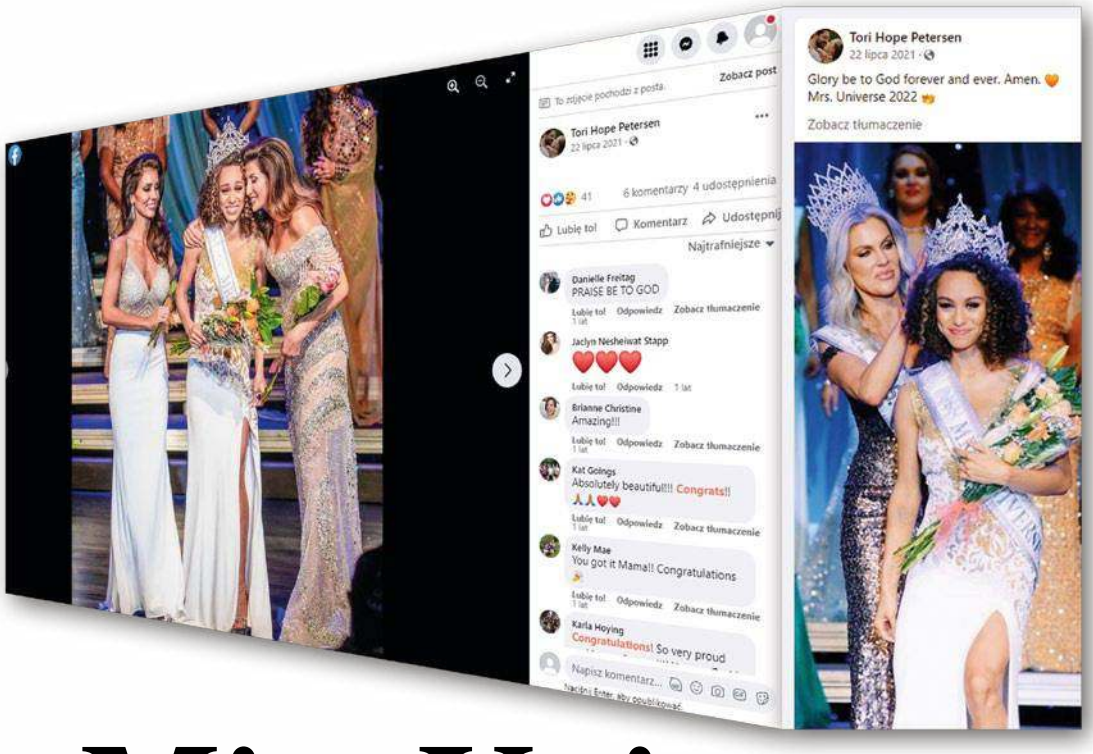
Zaledwie dwa lata po wybuchu pandemii koronawirusa przyszło nam się mierzyć z wojną na Ukrainie. Rosnąca inflacja i kryzys energetyczny uderzyły w całą Europę, wszyscy solidarnie płacimy cenę za sprzeciw wobec rosyjskiej agresji. – Nasz rząd nie godzi się na to, by koszty polityki Kremla ponosiły polskie rodziny. Obniżyliśmy VAT m.in. na podstawowe produkty żywnościowe i energię, wprowadziliśmy dodatek osłonowy, węglowy, a także dodatki na inne źródła ciepła w ramach rządowej tarczy energetycznej. Zamroziliśmy ceny energii elektrycznej w 2023 r. i wprowadziliśmy dodatek elektryczny. Uruchomiliśmy dodatkowe środki dla samorządów, blisko 14 mld zł, m.in. na poprawę efektywności energetycznej – wylicza szefowa resortu rodziny.

Tekst powstał we współpracy z Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej

KM/1022/F

eprasa.pl a228ebe70a

Toni Petersen wyrasta na coraz bardziej opiniotwórczą osobę w amerykańskiej przestrzeni publicznej. Decyduje o tym świadectwo jej życia. Na pierwszy plan wysuwa się dla niej sprawa obrony życia nienarodzonych, oparta na osobistym doświadczeniu



Misja Miss Universe



GRZEGORZ GÓRNY

Partia Republikańska wie, jak przyciągać do siebie młode roczniki. Udowodnił to szczyt młodzieżowy Crenshaw Youth Summit, który odbył się na początku października w Houston, gromadząc rzesze uczestników nie tylko z Teksasu, ale i spoza tego stanu. Organizatorem i gospodarzem imprezy był 38-letni kongresman Dan Crenshaw. Wyróżnia się on z daleka czarną opaską na prawym oku, które stracił w eksplozji podczas służby w szeregach Navy SEAL w Afganistanie. Teraz chce odmłodzić partię, stawiając na konserwatywny przekaz i nawiązując do dorobku Ronalda Reagana.

Gwiazdami podczas jego imprezy były takie osobistości życia publicznego, jak m.in. Jordan Peterson, Dennis Prager, Greg Abbott, Yeonmi Park czy Bjørn Lomborg. Sądząc po reakcjach publiczności, najbardziej wzruszające wystąpienie miała jednak Victoria (Tori) Hope Petersen, wybrana w 2021 r. Miss Universe. Swój sukces w konkursie piękności skomentowała wówczas w mediach społecznościowych słowami: „Chwała Bogu na wieki wieków. Amen”.

SKAZANA, URATOWANA

Tori Petersen miała wszystkie warunki ku temu, by zejść na złą drogę. Była wychowywana przez samotną matkę w dzielnicy, do której stróże porządku bali się zaglądać. Jedno z jej najwcześniejszych wspomnień dotyczyło przeprowadzonego w domu szkolenia, by nigdy za żadne skarby nie rozmawiać z policją. Jak wyznawała: „Kiedy miałam zaledwie cztery lata, byłam przekonana, że gliniarze to źli ludzie, którzy chcą tylko rozdzielać rodziny, bić ludzi dla zabawy oraz wsadzać ich do więzienia bez powodu”. Wielu jej rówieśników z podwórka już nie żyje, zabitych przez narkotyki lub w ramach porachunków między gangami. On sama doświadczała bicia, nękania i poniżania, aż w końcu w wieku 12 lat została odebrana przez sąd matce. Przejął ją system opieki społecznej. Przeszła przez 12 domów zastępczych. W końcu trafiła na trenera lekkoatletyki Scotta Wichmana, który dostrzegł w niej wielki talent sportowy. Pod jego okiem cztery razy zdobywała medale w biegach podczas mistrzostw stanu Ohio. Z czasem trener adoptował ją i przyjął do swojej rodziny.

Chociaż miała wszelkie powody ku temu, by mieć pretensje i żal do własnej matki, nie przestała okazywać jej miłości. Gdy miała dziewięć lat, dowiedziała się, że żyje tak naprawdę z dwóch powodów. Pierwszy był taki, że jej matka została zgwałcona i zaszła w ciążę. Dziewczynka nigdy nie dowiedziała się, kto jest jej ojcem. Drugi powód był równie dramatyczny. Matka postanowiła usunąć niechciane dziecko. Kiedy jednak zobaczyła na ekranie ultrasonografu dziewczynkę, która wkłada sobie ręce pod głowę, a potem usłyszała bicie jej serca, nie miała wątpliwości, że widzi małego, żywego człowieka, a nie zlepek komórek. Zdecydowała, że nigdy nie dokona aborcji. Wcześniej miała za już sobą taki krok i – jak przyznawała – trauma z tym związana ciągnęła się za nią przez długie lata.

Wracając wspomnieniami do czasów dojrzewania, Tori Petersen mówi: „Nie

Fot. Instagram

eprasa.pl a228ebe70a

miałam zainteresowań religijnych ani politycznych, ale wiedziałam, że moja matka jest moim bohaterem i że po zgwałceniu, walce z biedą i porażce swoich rodziców, odważnie wybrała dla mnie życie".

W STRONĘ REPUBLIKANÓW

W tamtym czasie dziewczyna była dość obojętna religijnie, a polityką nie interesowała się w ogóle. Na pierwszy plan wysuwała się dla niej sprawa obrony życia nienarodzonych, oparta na osobistym doświadczeniu. I to właśnie ta kwestia sprawiła, że odkryła dla siebie chrześcijaństwo jako religię najmocniej zaangażowaną w ochronę godności i nienaruszalności każdego życia. Podobna motywacja zadecydowała o tym, że znalazła się w orbicie Partii Republikańskiej.

Kluczowy okazał się zwrot w obozie demokratów, którzy stali się ugrupowaniem radykalnie proaborcyjnym. Proces ten nabrał tempa zwłaszcza za prezydentury Billa Clintona, a swoje apogeum osiągnął w czasie obecnej kadencji Joe Bidena i Kamali Harris, którzy opowiadają się za legalizacją aborcji nawet do dziewiątego miesiąca ciąży. Do formacji przylgnęło miano partii śmierci. Okazało się, że w jej szeregach nie ma już miejsca na umiarkowanych polityków, przywiązanych do tradycyjnych wartości ożywiających amerykańską demokrację.

Przykładem wypłukiwania działaczy o poglądach centrowych jest głośne odejście byłej kongresmenki Tulsi Gabbard, która 11 października ogłosiła, że opuszcza Partię Demokratyczną. 41-letnia weteranka drugiej wojny w Zatoce Perskiej, która dosłużyła się w Gwardii Narodowej stopnia majora, zarzuciła swojemu ugrupowaniu, iż podważa ono dane nam przez Boga wolności, zagwarantowane w konstytucji. Jej zdaniem demokraci stali się wrogo nastawieni do ludzi religijnych, podsycają rasizm wobec białych, demonizują policję i chronią przestępców kosztem przestrzegających prawa Amerykanów, a nawet wykorzystują aparat bezpieczeństwa do ścigania przeciwników politycznych.

Ponieważ Partia Republikańska, zwłaszcza za prezydentury Donalda Trumpa, stała się bastionem obrony życia nienarodzonych, nic dziwnego, że zaczęła coraz bardziej przyciągać do siebie osoby o poglądach pro-life. Do takich należy właśnie Tori Petersen. Podczas swoich wystąpień publicznych rozprawia się ona z wieloma mitami aborcyjnymi, np. takim jak twierdzenie, że pozbycie się niechcianego dziecka prowadzi do lepszego życia oraz udanej kariery zawodowej. Opowiada wówczas o swojej matce, dla której właśnie aborcja stała się źródłem wieloletniego syndromu postaborcyjnego, a decyzja o urodzeniu córki dała jej motywację, by uporządkować swoje życie i zadbać o zdrowie.

Tori Petersen podczas swoich wystąpień publicznych rozprawia się z wieloma mitami aborcyjnymi, np. takim jak twierdzenie, że pozbycie się niechcianego dziecka prowadzi do lepszego życia oraz udanej kariery zawodowej

DAĆ SZANSĘ ŻYCIU

Miss Universe wstawia się też za dziećmi poczętymi w wyniku gwałtu – takimi jak ona sama. Jej zdaniem aborcja w takiej sytuacji jest dla kobiety dodawaniem jednej traumy do drugiej. Nie pomaga przepracować tragicznego problemu, lecz rodzi nowy. Poza tym zawsze należy dać szansę życiu, które się właśnie zaczęło – tak jak dano szansę jej samej.

Tori Petersen uważa też, że powinno się stworzyć alternatywne możliwości dla kobiet, które zaszły w ciążę, a nie chcą mieć dzieci, zmagając się ze strachem i z cierpieniem. Dlatego promuje na swoim blogu i w mediach społecznościowych system adopcji i rodzin zastępczych. Jako osoba, która przeszła przez 12 domów zastępczych, dobrze zna ułomności tego systemu, dlatego wie, jak go poprawić. Założyła więc organizację o nazwie Beloved Initiative, której celem jest zreformowanie tej sfery opieki społecznej.

Sama daje innym przykład. Wspólnie ze swoim mężem Jacobem mają dwójkę biologicznych dzieci i jedno adoptowane. Uczestniczą także w programie opieki zastępczej, w ramach którego troszczą się o dzieci bez rodzin. Jak mówi: „Jeśli naprawdę kochamy, musimy bez wahania wybierać życie, nie tylko podczas demonstracji i w ośrodkach obrony życia, ale na naszych ulicach i w naszych domach".

Podczas swoich wystąpień podkreśla: „Jestem żywym dowodem na to, jaka jest stawka walki z aborcją. Jeden niesłyszany głos, jedna istota ludzka, całe moje życie mogły zostać unicestwione. Modlę się, by moje życie dotknęło choćby tylko jedną osobę, która przeszła aborcję lub która chce to zrobić. Chcę, by Bóg był chwalony, kiedy mówię publicznie, że nie jestem tutaj z powodu czegokolwiek, co zrobiłam, ale z powodu Bożego miłosierdzia i miłości Boga do mnie".

Jej słowa i postawa trafiają do wielu młodych ludzi. To zresztą charakterystyczne, że w USA podczas marszów życia czy modlitw przed klinikami aborcyjnymi dominuje młodzież. W krajach Europy Zachodniej jest to zjawisko marginalne, jednak w Stanach Zjednoczonych ma ono charakter masowy. Tam chrześcijaństwo nadal zachowuje swoją żywotność, jest widoczne w przestrzeni publicznej i ma wpływ na życie społeczne. Większość wyznawców Chrystusa w Ameryce jest świadoma tego, że toczy się dziś wojna kulturowa, której stawką jest los naszej cywilizacji. Dlatego albo sami decydują się w tym starciu uczestniczyć, albo wspierają je finansowo lub modlitewnie. O tym, że takie zaangażowanie ma sens, przekonują ich osoby pokroju Tori Petersen oraz świadectwo ich życia.

eprasa.pl a228ebe70a

Pacynka Berlina?

„Jeśli Niemcy blokują, to komisja też” – zarzucił premier Węgier Viktor Orbán szefowej KE Ursuli von der Leyen podczas burzliwego szczytu unijnego na początku października w Pradze. Nie tylko on zauważa, że polityk chadecji w dobie kryzysu energetycznego zamiast interesu całej Europy broni przede wszystkim interesu Niemiec



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Pierwszą rzeczą, którą zauważa się u Ursuli von der Leyen, to rodzaj nieobecności – braku autentyczności; jest to uczucie, które trudno wyrazić słowami. Jest ona enigmatyczna i nieprzejrzysta jak szklane fasady Berlaymontu, siedziby Komisji Europejskiej” – pisał dwa lata temu na łamach magazynu „Le Grand Continent” brytyjski publicysta Ben Judah.

Urodzona w Brukseli przewodnicząca Komisji Europejskiej, eurokratka w drugim pokoleniu, stała się jednak w ostatnim czasie bardziej czytelna. W każdym razie, jeśli wierzyć francuskiemu dziennikowi „Libération”. Według brukselskiego korespondenta gazety Jeana Quatremera wykazuje ona „dużą skłonność do dostosowywania się do potrzeb Berlina”. Jak pisze, takich przykładów pilnowania interesów Niemiec przez byłą zaufaną minister Angeli Merkel jest wiele: mimo próśb państw członkowskich nie opracowała propozycji wewnętrznej reformy rynku energii, a zwłaszcza mechanizmu oddzielenia ceny energii elektrycznej od ceny gazu.

„Francja, Hiszpania i Portugalia od roku domagały się tej reformy. Wzrost cen gazu rozpoczął się bowiem daleko przed inwazją Rosji na Ukrainę. […] Doprowadził on do wzrostu cen energii elektrycznej, w tym energii jądrowej. Jednym ze sposobów walki z tym wzrostem jest oddzielenie od siebie obu rynków” – czytamy na łamach „Libération”. Na to Niemcy się jednak nie godziły. „Niemcy, pewne swojego modelu opartego na tanim rosyjskim gazie, wyjścia z energetyki jądrowej i ogromnych inwestycji w odnawialne źródła energii, nie chciały o tym słyszeć i dlatego przewodnicząca komisji, Niemka, Ursula von der Leyen, też nie. Przez rok proponowała bardzo ograniczone środki zaradcze, mimo coraz bardziej naglących próśb ze strony znacznej większości stolic europejskich” – grzmi Quatremer. Według niego pani przewodnicząca w końcu zmieniła zdanie i zaproponowała reformę, ale tylko dlatego, że pod koniec sierpnia Berlin sam zmienił zdanie na ten temat, kiedy zdał sobie sprawę, że recesja w krajach Południa pociągnie Niemcy za sobą w dół”.

WYŚCIG NA DOTACJE

Zdaniem korespondenta „Libération” równie szokujący jest brak reakcji przewodniczącej komisji na wart 200 mld euro niemiecki program hamowania cen energii. Program ten wywołał obawy m.in. we Włoszech, Francji, w Hiszpanii, Polsce. Krótko po jego ogłoszeniu Thierry Breton i Paolo Gentiloni, dwaj prominentni członkowie Komisji Europejskiej, we wspólnym artykule skrytykowali niemieckie plany, ostrzegając przed „wyścigiem na dotacje” i „kwestionowaniem zasady solidarności oraz jedności, które leżą u podstaw naszego projektu europejskiego”. „A pani von der Leyen milczy, mimo iż ten pakiet zagraża integralności rynku wewnętrznego oraz stabilności euro” – uważa Quatremer. Według korespondenta wspólny fundusz energe-

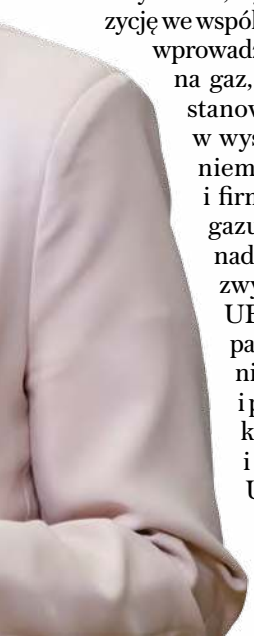


eprasa.pl/a228ebe70d

tyczny (wzorowany na pocovidowym funduszu odbudowy) stanowiłby solidarne wyjście z obecnego kryzysu. „Ale skoro Berlin nie chce o tym słyszeć, to pani komisarz także nie" – dodaje. I wylicza inne sytuacje, gdy von der Leyen jego zdaniem przejęła inicjatywę dopiero po tym, jak zrobiły to Niemcy. „Przed inwazją Rosji na Ukrainę starała się nie antagonizować Kremla. W sierpniu 2021 r. odmówiła udziału w uroczystościach z okazji święta narodowego Ukrainy. Była rzekomo zbyt zajęta. Czym, do dziś nie wiadomo" – czytamy. Gdy Berlin ustami kanclerza Scholza ogłosił 27 lutego tzw. Zeitenwende, epokową zmianę polityki wschodniej, ton szefowej KE wobec Rosji również się zaostrzył.

NIEMIECKI EGOIZM

Także portal Politico zarzuca von der Leyen wierne spełnianie życzeń Berlina. Niemiecki egoizm staje się problemem dla przewodniczącej Komisji Europejskiej, która ryzykuje, że zostanie uznana za niemiecką marionetkę w oczach swoich kolegów i stolic UE. Von der Leyen wiernie grała w rozgrywkę Berlina, odmawiając przedstawienia propozycji wprowadzenia ogólnounijnego limitu cen gazu – nawet gdy 15 stolic wezwało Komisję do przedstawienia takiej propozycji, m.in. Francja, Włochy, Hiszpania i Polska, czyli odpowiednio drugi, trzeci, czwarty i piąty co do wielkości kraj UE – pisze Politico w analizie poświęconej działaniom władz Niemiec w związku z kryzysem energetycznym. Z jednej strony Berlin, wykorzystując swoją pozycję we wspólnocie i KE, zablokował wprowadzenie limitu cenowego na gaz, z drugiej jednak postanowił przyznać pomoc w wysokości 200 mld euro niemieckim obywatelom i firmom, m.in. na zakupy gazu. Berlin może teraz nadal kupować gaz, który zwykle kupują inne kraje UE, przebijając swoich partnerów, dalej przyczyniając się do wzrostu cen i powodując zarówno zakłócenia (na rynku), jak i złą atmosferę w całej UE – diagnozuje portal.



Kanclerz Niemiec – twierdzi Politico – musi się dopiero nauczyć działać jako Europejczyk. Ale przewodnicząca Komisji Europejskiej powinna już to potrafić.

Niemcy nie chcą limitów cen gazu ani solidarnego funduszu energetycznego, za to domagają się przymusowej solidarności w dzieleniu się gazem. Chodzi o specjalne rozwiązanie, które będzie automatycznie stosowane między tymi państwami członkowskimi, które nie uzgodniły do tej pory dwustronnych porozumień solidarnościowych w ramach istniejącego obecnie prawa UE. Według dziennika „Die Welt" ta propozycja KE jest wyraźnie pisana pod Niemcy, które od dawna starają się zobowiązać inne kraje UE do pomocy w przypadku zagrożenia gazowego. Wiele krajów nie ma jednak na zawarcie takich umów specjalnej ochoty. „Wprowadzając przymus solidarności, von der Leyen spełnia życzenie Niemiec, które posiadają odpowiednie umowy tylko z Danią i Austrią" – pisze gazeta.

Spełnianie życzeń Niemiec, ignorowanie posunięć Berlina zagrażających jedności i stabilności Unii Europejskiej – oto zarzuty stawiane von der Leyen. W końcu to m.in. niemiecka polityka wobec Rosji (w tym energetyczna) doprowadziła do obecnego kryzysu. Dlaczego więc rozwiązania przyjmowane na poziomie unijnym miałyby służyć przede wszystkim Berlinowi, a bardziej precyzyjnie – wąskiej grupie niemieckich koncernów?

OCHŁODZENIE NIEMIECKO-FRANCUSKIE

Polityka „Germany First" Olafa Scholza już odbiła się zresztą na relacjach z Francją, tą samą Francją, z którą niemiecki kanclerz chce reformować Unię Europejską w kierunku federalizacji. Paryż odwołał zaplanowane na ten tydzień w Fontainebleau wspólne konsultacje rządowe. Berlin miał być tą decyzją zaskoczony. Według strony francuskiej zbyt duże są różnice zdań dotyczące bardzo wielu tematów. „Wspólna deklaracja o współpracy dwustronnej i postępującej integracji europejskiej nie jest gotowa, ponieważ kluczowe fragmenty wciąż są przedmiotem sporu. Chodzi oczywiście o kwestie dostaw energii. Ale także przy wspólnych projektach zbrojeniowych nie może być mowy o porozumieniu" – czytamy na łamach „Politico". Według „Die Welt" to nagłe ochłodzenie relacji francusko-niemieckich i poważny afront dla Berlina". „Oznacza to, że stosunki rzekomo najlepszych przyjaciół w Europie nie wyglądają zbyt dobrze mimo wojny na Ukrainie i na kilka tygodni przed obchodami 60. rocznicy zawarcia traktatu elizejskiego w styczniu" – martwi się niemiecki dziennik. Na domiar złego francuski prezydent otwarcie skrytykował Scholza w wywiadzie z gazetą „Les Echos" za to, że blokuje wspólne rozwiązanie w sprawie ograniczenia cen gazu w UE. „Europa jest solidarna z Niemcami i dlatego jest zupełnie naturalne, że Niemcy również muszą okazywać solidarność z Europą" – powiedział Macron. „Niemcy muszą zmienić swój model, nie wolno nam oczywiście lekceważyć, jak bardzo to jest destabilizujące" – dodał gospodarz Pałacu Elizejskiego. To jego zdaniem nie oznacza jednak, że należy szukać strategii narodowych. „Należy realizować strategię europejską" – podkreślił.

Po wycofaniu się Niemiec z energetyki jądrowej Berlin i Paryż zgodziły się nie blokować wzajemnie swojej polityki energetycznej, jednak od czasu odcięcia przez Rosję dostaw gazu poprzez Nord Stream Berlin desperacko szuka nowych źródeł importu gazu – przypomina „Die Welt". W tym kontekście wskazuje, że Hiszpania jako importer gazu chce zająć miejsce na rynku i od miesięcy wywiera presję na Francję, by ta zgodziła się na dokończenie budowy gazociągu MidCat, zarzuconej w 2017 r. z powodu nierentowności. Do ukończenia projektu brakuje ponad 200 km rurociągu między hiszpańskim miastem Hostalric a francuskim Carcassonne. Francja blokuje ten projekt, argumentując m.in. że prace związane z rozbudową rury nie zostałyby zakończone przed 2026 r., gdy Berlin będzie już miał pływające terminale LNG. Francja porozumiała się z kolei z Hiszpanią i Portugalią co do stworzenia nowych korytarzy energetycznych dla zielonych nośników energii, takich jak wodór czy prąd z paneli słonecznych, które chętnie dostarczy także do Europy Środkowej.

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

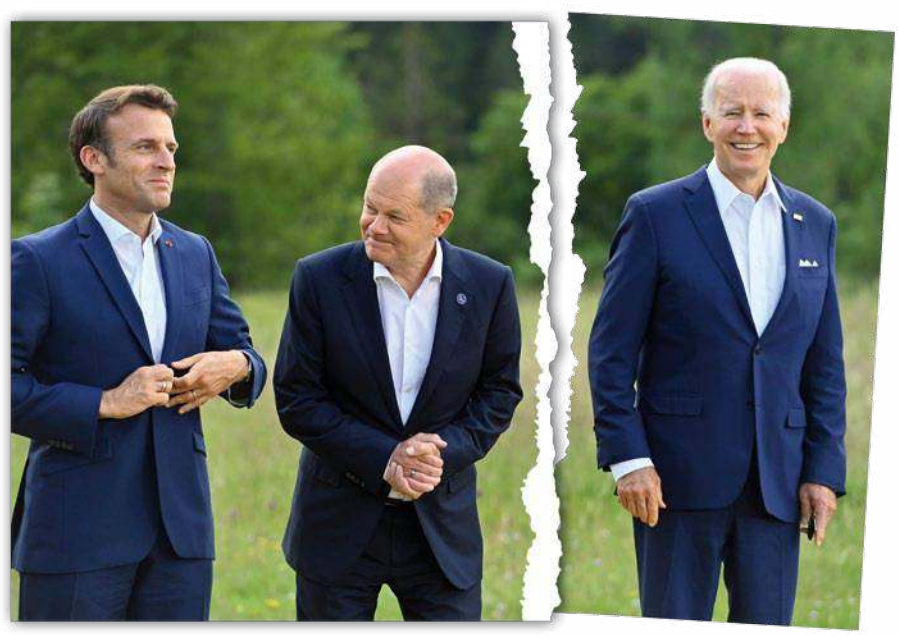
eprasa.pl a228ebe70a

Koniec atlantyckiej jedności

Politykom z Niemiec i Francji wyraźnie zależy na tym, by to Rosja nie straciła swojej pozycji w Europie, a nawet by wygrała wojnę. Bo im silniejsze wpływy Rosji w Europie, tym słabsza jest pozycja USA. Tylko rękoma Rosji mogą doprowadzić do ograniczenia amerykańskich wpływów na Starym Kontynencie



JAN PARYS



Od 24 lutego 2022 r. trwa wojna w Europie. Wiele państw, takich jak USA, Polska, Wielka Brytania i inne, ma jeden cel – pomóc Ukrainie obronić Europę przed rosyjską agresją. Te kraje robią wiele, by Ukraina mogła bronić własnej suwerenności oraz by agresywna Rosja straciła zdolność do ekspansji. W tym samym czasie prezydent Francji i kanclerz Niemiec ogłaszają, że zależy im zupełnie na czymś innym. Pierwszy chce budować autonomię strategiczną UE wobec USA, a drugi chce znieść prawo weta przy podejmowaniu decyzji w Unii i przekształcić ją w superpaństwo zarządzane z Berlina. Te cele nie zostały uzgodnione i zaakceptowane przez poszczególne kraje unijne. Francja i Niemcy zamierzają Europie je porostu narzucić.

Ich bliska kooperacja z Rosją jest warunkiem, by zbudować Europę od Atlantyku po Władywostok, czyli bez wpływów USA. Potencjał Europy bez Rosji jest zbyt mały, by rywalizować ze Stanami Zjednoczonymi czy Chinami. A takie jest marzenie polityków europejskich od czasów gen. de Gaulle'a oraz kanclerza Brandta. Polityka kanclerz Merkel polegała na świadomym uzależnianiu Niemiec i Europy od surowców rosyjskich. Dla każdego doświadczonego politycznie obserwatora było oczywiste, że ta polityka gospodarcza jest budowaniem także sojuszu geopolitycznego.

Ktoś może powiedzieć, że dziś politycy z Paryża i Berlina postulują zmiany w Europie równolegle do prowadzonej wojny. Jednak obserwacja wydarzeń, czyli postępowania polityków z tych dwóch państw, pokazuje, że swoje cele traktują jako nadrzędne wobec toczącej się wojny.

Autonomia strategiczna oznacza, że musi być zmniejszona pozycja Ameryki w Europie. Obecny wpływ USA na bezpieczeństwo Europy prezydent Francji postrzega jako słabość i przejaw negatywnej zależności. Dla kanclerza Niemiec jest jasne, że w Europie nie ma miejsca dla dwóch państw odgrywających rolę lidera. Zatem jeżeli ma powstać superpaństwo pod przywództwem Berlina, to pod warunkiem, że wpływy USA w Europie będą zminimalizowane. Dlatego od kilku lat dyplomaci francuscy i niemieccy mieli zalecenie, by nie mówić o wspólnocie atlantyckiej i cywilizacji zachodniej. Takie określenia zakładają bowiem udział USA, które są krajem najsilniejszym przemysłowo i militarnie. A wtedy Paryż i Berlin nie mają szans na europejskie przywództwo.

Dziś politycy z Niemiec i Francji zabiegają przede wszystkim o to, by wydarzenia bieżące zbliżały ich do celów, które sobie wyznaczyli. Z jednej strony werbalnie potępiają rosyjską agresję. Z drugiej – nie pomagają Ukrainie w sposób proporcjonalny do swoich możliwości. Postępują tak, bo sukces Ukrainy i klęska Rosji utrudnia im realizację własnych partykularnych celów.

Fot. PAP/DPA

eprasa.pl a228ebe70a

Dlatego prezydent Francji rozmawiał ponad 100 godzin z Putinem, namawiając go do przerwania walk, czyli zatrzymania ziem okupowanych. Dlatego też Francja pomaga Ukrainie w sposób symboliczny. Nie ma się także co dziwić, że Niemcy udzielają Ukrainie pomocy na minimalnym poziomie.

Politykom z Niemiec i Francji wyraźnie zależy na tym, by to Rosja nie straciła swojej pozycji w Europie, a nawet by wygrała tę wojnę. Bo im silniejsze wpływy Rosji w Europie, tym słabsza jest pozycja USA. Tylko rękoma Rosji mogą doprowadzić do ograniczenia amerykańskich wpływów na Starym Kontynencie. A to właśnie jest warunkiem zbudowania francuskiej autonomii strategicznej i niemieckiego superpaństwa. Dlatego to nie Rosja jest traktowana przez polityków z Francji i Niemiec jako przeciwnik. Dyplomacja Francji i Niemiec używa Komisji Europejskiej jako narzędzia przeciwko Polsce i Ukrainie. Polska jako sojusznik USA oraz Ukraina jako kraj, który militarnie walczy z wpływami rosyjskimi w Europie, to główne przeszkody w realizacji planów prezydenta Francji i kanclerza Niemiec. Nie ma już zatem tego, co nazywamy jednością atlantycką wobec rosyjskiego zagrożenia. Dla pewnych państw agresywna Rosja jest bardzo użyteczna.

Nie należy się zatem dziwić, że Ukraina nie otrzymuje znaczącej pomocy od tych państw. To nie wynika z braku możliwości czy ze skąpstwa. To wynika z przemyślanej, choć naiwnej polityki Berlina i Paryża. Nie jest przypadkiem, że Niemcy opóźniają przyjmowanie kolejnych sankcji wobec Rosji przez UE. Nawet gdy Unia zadecyduje o wsparciu finansowym dla Ukrainy, Niemcy blokują jej przekazanie. Ostatnio władze w Berlinie ogłosiły, że ich brygada, która zgodnie z decyzjami szczytu NATO ma bronić państw bałtyckich, nie będzie stacjonowała w tych krajach, lecz w Niemczech i pojedzie ich bronić w ciągu 10 dni. Każdy, kto zna wielkość terytoriów państw bałtyckich oraz ich potencjał, wie, że po 10 dniach taka pomoc nie będzie już potrzebna.

W ostatnich tygodniach prezydent Macron ogłosił, że jeżeli Rosja użyje broni nuklearnej na Ukrainie, to Francja wyklucza użycie francuskiej broni nuklearnej podczas riposty. To oznacza, że Rosja może zaryzykować wykorzystanie broni nuklearnej w Europie, gdyż nie grozi jej atomowy odwet. W ten sposób Francja przekreśliła doktrynę odstraszania atomowego, która zapewniła Europie pokój przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Nie ma bowiem odstraszania bez groźby odwetu.

> Mylą się różni komentatorzy, gdy twierdzą, że politycy niemieccy blokują środki dla Polski, bo nie lubią polskiego konserwatywnego rządu. Idzie o coś więcej

Prezydent Francji ponadto wyjaśnił także, że użycie francuskiej broni nuklearnej w obronie Europy nie jest francuskim interesem. Można zatem powiedzieć, że zarówno Niemcy, jak i Francja robią wiele, by obrona flanki wschodniej NATO była słaba oraz by Ukraina była stroną słabszą podczas wojny. To oznacza, że zależy im na tym, by zwiększyć szanse Rosji w konflikcie z Ukrainą.

Polityka Niemiec i Francji jest więc nastawiona na realizację zupełnie innych celów niż te, które mają Stany Zjednoczone, Polska i Wielka Brytania. Stąd Niemcy używają władz KE, by uderzać w głównego sojusznika USA w UE, czyli w Polskę. Nie jest przypadkiem, że to właśnie Polsce komisja zablokowała transfer środków z tzw. funduszu odbudowy po COVID-19 o wartości ponad 50 mld euro. Chodzi o to, by główny sojusznik USA w Europie był słaby, by Polska nie miała silnej gospodarki i silnego państwa. Bo w ten sposób główny kraj flanki wschodniej będzie słabszy. KE zgodnie z życzeniem Berlina ogranicza zdolność flanki wschodniej do obrony oraz siłę NATO, a tym samym pomaga Rosji rywalizować o wpływy z USA.

Niemcy i Francja werbalnie i oficjalnie deklarują, że wspierają politykę USA i są za obroną Ukrainy. W rzeczywistości jednak realizują zupełnie inne cele. Ich polityka bilateralna wobec Ukrainy i Polski świadczy, że ich zamiary nie są tożsame z polityką Waszyngtonu, Warszawy i Kijowa. Chcą doprowadzić do zmiany porządku politycznego w Europie, korzystnego przede wszystkim dla nich i Rosji. Świadczy o tym ich postępowanie każdego dnia wobec Polski i Ukrainy podczas wojny. Polityka bilateralna Francji i Niemiec wobec flanki wschodniej ma doprowadzić do ogólnej zmiany geopolitycznej w Europie. Ma to nastąpić jak zawsze kosztem państw naszego regionu.

Czas wreszcie powiedzieć głośno, że pani von der Leyen, mówiąc, że zależy jej na praworządności w Polsce, wprowadza opinię publiczną świadomie w błąd. Ona po prostu realizuje niemiecki plan wojny z Polską. I KE bierze w niej udział po stronie Berlina. Nie bez powodu dziś Jarosław Kaczyński mówi, że Polska stoi przed wyborem: albo przetrwa jako suwerenne państwo, albo będzie niemiecką prowincją. Jeżeli Polska nie chce być niemiecką prowincją, to – jak widzimy – naraża się na niemiecką agresję ekonomiczną. W takim przypadku polskie suwerenne państwo ma być po prostu zlikwidowane jak w 1939 r. Za czasów kanclerza Scholza Niemcy weszły w fazę brutalnej wojny o charakterze finansowym z naszym krajem.

Mylą się różni komentatorzy, gdy twierdzą, że politycy niemieccy blokują środki dla Polski, bo nie lubią polskiego konserwatywnego rządu. Idzie o coś więcej niż nielubienie kogoś w Warszawie. To nie ze względu na starania o posadę dla Tuska politycy z Berlina łamią traktaty i przeprowadzają atak na polskie państwo. To jest gra Niemiec i Francji o naprawdę duże sprawy, które z interesem Europy czy przestrzeganiem prawa nie mają nic wspólnego poza pustą retoryką.

eprasa.pl a228ebe70a

Rosja w panslawistycznym zwidzie

Polska w oczach Rosji przynależy do wrogiego jej świata Zachodu, jest forpocztą łacińskiego Rzymu, USA, flanką NATO i zdrajcą Słowiańszczyzny. Ukraina nawet nie istnieje. Pansłowiańska identyfikacja to dla Moskwy maska dla dążeń imperialnych. Kompletnie ahistoryczna. Jak twierdził Mickiewicz, to Rosja utraciła słowiański charakter, stapiając się z Orientem. I to ona jest zdrajcą Słowiańszczyzny



MACIEJ WALASZCZYK

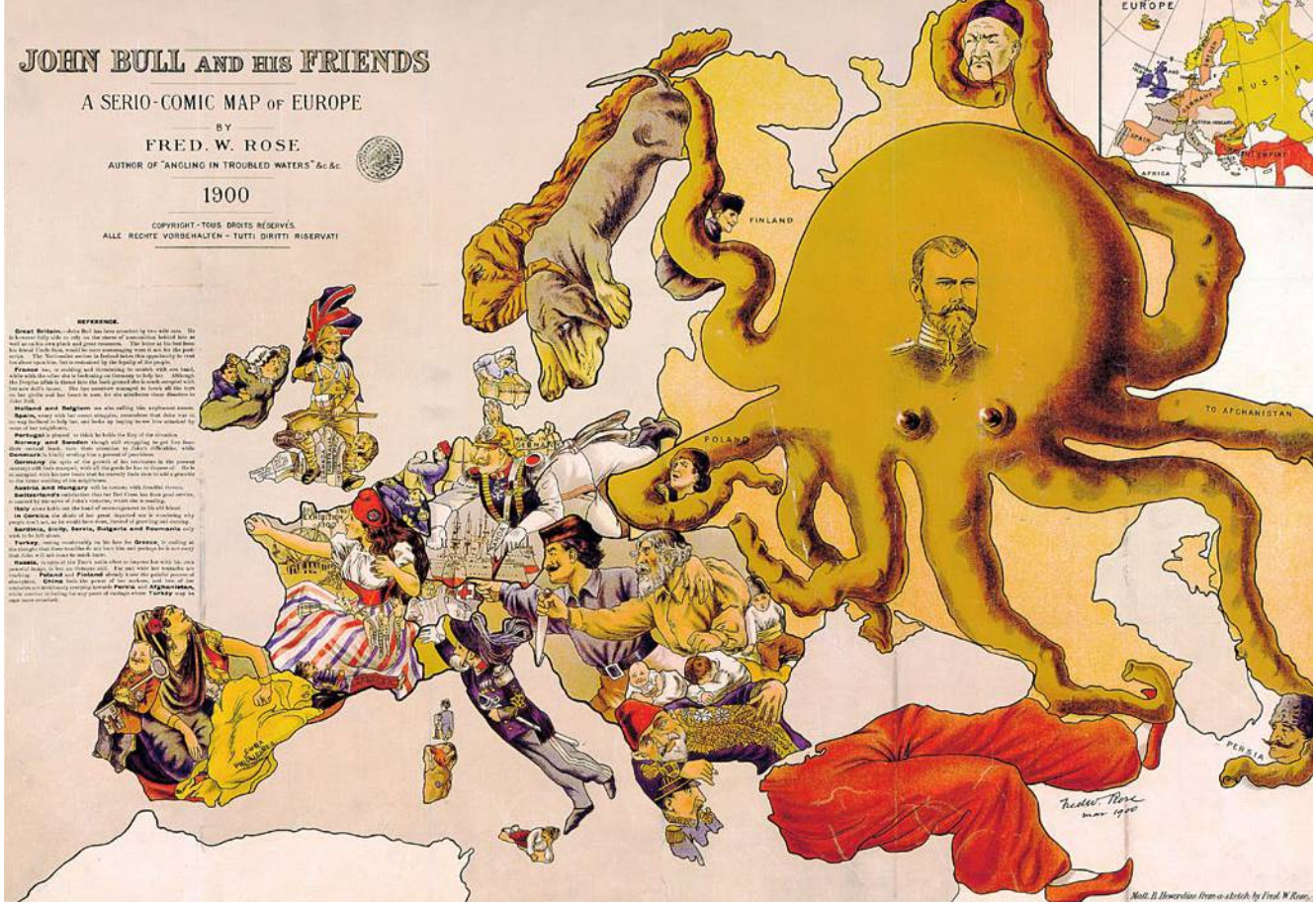
Argument odwołujący się do słowiańskiej tożsamości narodów Europy Środkowej i Wschodniej wciąż wraca w rosyjskiej narracji propagandowej. Pamiętamy wojnę na Bałkanach, prowadzoną między słowiańskimi narodami wtłoczonymi w ramy sztucznego tworu jugosłowiańskiego. Linią podziału okazały się szwy narodowe, religijne, kulturowe i cywilizacyjne, myśląc kategoriami Feliksa Konecznego. Mimo dziedzictwa wspólnego etnosu na Bałkanach starły się wpływy Rzymu i Bizancjum, Zachodu i Orientu, katolicyzmu, prawosławia i islamu, w końcu różnych tradycji politycznych i interesów. Władimir Żyrynowski roił, że wojna ta jest katalizatorem zjednoczenia wschodnioeuropejskich państw słowiańskich, którego od zawsze bała się Europa Zachodnia. W czasie gdy słowiańskie narody zamieszkujące byłą Jugosławię toczyły z sobą zaciętą wojnę, nie zważając na wspólne pochodzenie. Ale faktem jest, że widniejące na flagach Rosji, Serbii, Chorwacji, Czech, Słowenii i Słowacji (czy dawnej Jugosławii) czerwień, błękit i biel nawiązują do idei panslawistycznej sprzed ponad 100 lat. Narody znajdujące się pod władzą monarchii austro-węgierskiej czy Turków przyjmowały panslawizm jako nadzieję na odzyskanie wolności. W Polsce idee panslawistyczne traktowano podejrzliwie, jako ideologię niebezpieczną, wspierającą rosyjski imperializm.

Odwołanie do wspólnoty słowiańskiej podnosi i dzisiejsza putinowska Rosja. Jak zauważył dr Jerzy Rohoziński, historyk, antropolog kultury, adiunkt w Ośrodku Badań nad Totalitaryzmami (Instytut Pileckiego), forsowany w rosyjskiej propagandzie „russkij mir", mający spajać jedność kulturową Rosjan, Białorusinów i Ukraińców, jest kluczowym pojęciem jej przekazu, a przemawiający w przeddzień wojny Putin posługiwał się właśnie językiem XIX-wiecznych panslawistów. A dokładnie Mikołaja Danilewskiego, który w XIX w., na długo przed Huntingtonem, głosił idee starcia cywilizacji – uważał, że w południowo-wschodniej Europie dominuje cywilizacja słowiańska – głosząc panslawistyczną ideę słowiańskiej federacji. Dlatego Putin mówi dziś o Ukrainie jako państwie bez historii, sztucznie stworzonym przez bolszewików. Jednak narracja, że ta wojna to wewnętrzny konflikt w słowiańskiej rodzinie, jest nieporozumieniem. Nie istnieje jednolity krąg cywilizacyjny Słowian. To zróżnicowany pomost między Europą i Azją. Powraca wątpliwość Rosji jako dziedzicu Słowiańszczyzny.

WSZYSCY JESTEŚMY INDOEUROPEJCZYKAMI

Rzeczywiście słowiański rodowód jest wspólny – jesteśmy Indoeuropejczykami, późnymi wnukami praludu będącego przodkami ludów Europy. To rodzi szersze pokrewieństwo z także Bałtami, Germanami, Celtami, Grekami, ludami irańskimi, Anatolijczykami, Indoariami czy Ormianami. Wciąż najsilniej przekonująca dla naukowców jest wizja patriarchalnych, stepowych jeźdźców, reprezentantów jednej grupy językowej, którzy około IV tysiąclecia p.n.e. za pomocą lekkiego rydwanu bojowego ruszyli na podbój Europy i dużej części Azji. A potem, dzieląc się na mniejsze grupy, zdominowali osiadłe ludy, tworząc jedną strukturę etniczną – od Atlantyku po Iran i Indie. Nieśli z sobą atrakcyjniejsze wzorce kulturowe, których znakiem rozpoznawczym był istniejący w świadomości zbiorowej model organizacyjny dzielący na trzy podstawowe funkcje członków wspólnoty: wojowników, kapłanów i rolników.

eprasa.pl a228ebe70a



Fot. Wikipedia

W połowie V w. następuje wyjście z praojczyzny Słowian, której położenie wciąż jest kwestią dyskusyjną, ale uczeni umiejscawiają ją na Zadnieprzu. Przyjmują, że były to plemiona pierwotnie zamieszkujące dorzecze Dniepru i Dniestru, a więc zlewiska Morza Czarnego. Być może zachodnia Słowiańszczyzna zaczęła się już wyodrębniać w II–I tysiącleciu p.n.e., ale zarysy podziału na Słowian wschodnich i zachodnich zostały odnotowane dopiero na początku naszej ery. Spajał ich język, zrozumiałe „słowo". U podstaw odrębności leżały związki wynikające ze wspólnego zamieszkiwania danych ziem, w naszym przypadku w zlewisku Bałtyku, więc dorzeczu Odry i Wisły. W V–VI w. Słowianie zachodni zasiedlili także ziemie w dorzeczu Łaby, wchodząc w zasięg zlewiska Morza Północnego oraz przenikając do Karpat, dotarli nad Dunaj i zlewiska Morza Czarnego i na Bałkany. Jednak osiedlenie się w X w. na Nizinie Panońskiej Węgrów doprowadziło do ostatecznego rozdzielenia Słowian zachodnich od tych, którzy przeniknęli nad Drawę, wchodząc w skład Słowiańszczyzny południowej. W ten sposób różnokierunkowa sieć rzek wywarła piętno na podziały osadnicze, rozbijając pierwotną jedność, także językową. Dlatego zdaniem historyków takiej etnicznej gęstwiny nie dało się dłużej nazywać ludami słowiańskimi.

MIĘDZY KONSTANTYNOPOLEM A RZYMEM

Po geografii przyszła kolej na różnicujące Słowian siły religii i cywilizacji. Przeciwstawienie Wschodu i Zachodu znamy już od czasów antycznych. Historia państwa wielkomorawskiego pokazuje zmagania między łacińskim, niemiecko-rzymskim Zachodem i grecko-prawosławnym Bizancjum. W dolinie Moraw i jej dopływów mieszkali Morawianie, którzy jako pierwsi wśród Słowian zachodnich stworzyli wieloplemienną organizację państwową. U swego zarania wyrwali się z zależności od koczowniczych Awarów i przyjęli chrzest w rycie rzymskim. Jednak po 20 latach, ok. 863 r., swoją skuteczną misję zaczęli prowadzić święci Cyryl i Metody, przynosząc z sobą obrządek słowiański, by potem ustanowić odrębne od Kościoła wschodniofrankijskiego arcybiskupstwo morawskie. A to oznaczało zwrot na wschód ku Konstantynopolowi. Nie trwał on jednak długo i pod koniec IX w. nastąpił gwałtowny powrót ku zachodnim łacinnikom.

Jeszcze silniej doświadczyła tego Ruś Kijowska, czego skutki obserwujemy do dziś. Obcy wschodnim Słowianom Waregowie zdołali ich podporządkować, zbudować państwo, które opanowało dnieprzański szlak wodny. Wraz ze wzrostem znaczenia politycznego państwa kijowskiego papieże rzymscy i patriarchowie Konstantynopola byli zainteresowani w pozyskaniu ich dla wiary chrześcijańskiej. Włodzimierz Wielki w 988 r. zdecydował się przyjąć chrzest z Bizancjum. Jego bliskość powodowała rozwój kultury, wzmacniała rozbudowę struktur plemiennych. Wygasły stosy pogrzebowe, ognie Peruna żądającego ofiar. Obrządek wschodni, manifestujący się przepychem, bogactwem, dawał też legitymizację władzy księcia jako pomazańca boskiego. Ponadto organizacja kościelna wzmacniała struktury państwa, oplatając swoimi ramionami różne plemiona, jednocząc je w jednej wierze. Wyznaczyła też cywilizacyjną granicę między słowiańskimi ludami, orientując się na Wschód. Jednak podboje mongolskie utwierdziły dominację stepu w Euroazji. Na przełomie XI–XII w. środek ciężkości Rusi przeniósł się ku północy, na ziemie poza zasięgiem wojowniczych koczowników.

Ostatecznie po klęsce wojsk ruskich nad rzeką Kałką nadszedł ważny moment w dziejach Europy Wschodniej – gdy cywilizacja miejska, utrzymująca kontakt z ogniskami kultury Bliskiego Wschodu, uległa sile stepu leżącego między Chinami a Dunajem.

eprasa.pl a228ebe70a

Po 1240 r. nastąpił koniec chwały liczącego wtedy 50 tys. mieszkańców Kijowa, najwspanialszego grodu dawnej Rusi, porównywanego z ówczesną Genuą, Paryżem i Florencją, który po zaciętym oblężeniu uległ szturmowi Mongołów. Przestał istnieć najważniejszy w Europie Wschodniej ośrodek kulturalny, zniknęło jądro cywilizacyjne, gospodarcze i polityczne. Ruś została odepchnięta od Morza Czarnego i rozcięta na dwie części: północno-wschodnią z Suzdalem, Włodzimierzem i Moskwą i południowo-zachodnią z Haliczem, Łuckiem i Lwowem. Na dwóch krańcach ziem ruskich zaczną się kształtować dwie różne tradycje kulturalne i polityczne: rosyjska i ukraińska. Odtąd to nie na świętej Rusi, ale w Wielkim Stepie stopiły się w jedno ludy Azji i Słowiańszczyzny. A choć mongolskie zagony dotarły i pustoszyły Polskę, Czechy, Węgry i Dalmację, to nie udało im się ich podporządkować politycznie. Czego świadectwem jest dzisiejsza orientacja tych krajów jako części świata Zachodu. Od tysiąca lat jesteśmy jego częścią, choć na pewno z własną specyfiką.

CIEŃ TURANU NAD ROSJĄ

Na wschód od linii zaczynającej się od Riazania, przez Kaniów, Humań, rumuńskie Jassy, do Karpat nie spotykamy budowli starszych niż XVII-XVIII-wieczne. Znikają lasy, krajobraz zmienia się, gdy sztucznie wytyczone granice pochłania wielka przestrzeń stepu. Tak jak cywilizacje osiadłe nie są w stanie zakorzenić się na euroazjatyckich równinach, tak nomadzi nie potrafili osiedlić się pośród bagien i lasów, gdzie budowano miasta i uprawiano ziemię, by zachować swoją tożsamość i styl życia. Jak pisał Wojciech Zajączkowski w brawurowym eseju-książce „Rosja i narody", w obecnym rozumieniu Zachód to grecko-rzymska Europa ze swoimi zaoceanicznymi kontynuacjami w Amerykach i Australii, ale wschodów jest wiele. Jednym z nich – jak dowodził – jest Rosja: „ósmy kontynent", „osobna sfera dziejów ludzkości" (Lew Gumilow). Tu rodzi się różnica miedzy Rosją, Ukrainą, Białorusią.

Feliks Koneczny rozumiał cywilizację jako wszystko, co dla danej grupy ludzi jest wspólne i zarazem różni ich od innych. Idąc w ślad za Franciszkiem Henrykiem Duchińskim, rozwinął mocno wyostrzoną tezę o odrębności dziejów Rusi Kijowskiej i państwa moskiewskiego oraz zatarciu przez Rosjan słowiańskiego rodowodu przez mongolskie najazdy i kolonizację. W ciągu 243 lat miały miejsce 103 wtargnięcia koczowników na ziemie ruskie, mające charakter ekspedycji karnych. Dotykały one najczęściej Rusi północno-wschodniej i leżących tam miast, takich jak Moskwa, Twer, Jarosław, Niżny Nowogród, Włodzimierz nad Klaźmą. Na wschodzie książęta ruscy płacą Mongołom daninę i znajdują się pod bezpośrednim oddziaływaniem Złotej Ordy. Efektem tego jest – zdaniem Konecznego – orientalne pochodzenie rosyjskich wzorców cywilizacyjnych, błędne rozumienie człowieka. Był zdania, że ludy cywilizacji turańskiej potrzebują despotów, podboju, tworzą obozowo-wojskowy typ organizacji państwowej, nie znają indywidualizmu i społeczeństwa, a prawo jest tam oparte na przemocy. Stąd gorączkowe gonienie Europy i jej zdobyczy technicznych i politycznych przez Piotra Wielkiego i Katarzynę w XVIII w.

Jednak już na początku XIX w., po wojnach napoleońskich, Moskwa kończy z naśladowaniem Europy. Symbolem tego jest przebudowa Kremla, która ma wymowę ideową. Od teraz ma on reprezentować styl bizantyjsko-ruski, zamanifestować przeciwwagę dla tradycji zachodniej. Estetyka noworosyjska pojawia się wszędzie – w kulturze symbolizują ją Fiodor Dostojewski i „Mowa o Puszkinie", publicystyka Konstantina Leontiewa, muzyka Czajkowskiego („Uwertura 1812"), Musorgskiego, Rimskiego-Korsakowa. Moskwie brak jednak symbolicznej siły kijowskiego, zbudowanego przez Włodzimierza Wielkiego soboru Mądrości Bożej, brak Złotej Bramy. Rosji brak aury pierwotnego gniazda państwa ruskiego i jego średniowiecznych korzeni.

Na początku XIX w., po wojnach napoleońskich, Moskwa kończy z naśladowaniem Europy. Symbolem tego jest przebudowa Kremla, która ma wymowę ideową. Od teraz ma on reprezentować styl bizantyjsko-ruski, zamanifestować przeciwwagę dla tradycji zachodniej

PANSLAWIZM, SŁOWIANOFILSTWO, MESJANIZM

W powszechnym przekonaniu to Johann Gottfried Herder sprawił, że słowiańskość przestała być postrzegana jako balast. Tłumaczył, że Słowianie byli ludem nastawionym pokojowo, wrogami rabunku i kradzieży, miłośnikami wiejskiej swobody, rozmiłowanymi w gospodarce rolnej, rzemiosłach i handlu. W idyllicznej wizji niemiecki filozof z Moręga dokonał pod koniec XVIII w. ich rehabilitacji. Dając podstawy do romantycznej rewolucji, z której potem wyłoniło się słowianofilstwo, a także słowiańskość mickiewiczowska, podnosząca głos przeciw fałszowi zachodniej cywilizacji. Romantyzm zrodził też słowiańskie koncepcje historiozoficzne.

Na polskim gruncie mówił o tym Zygmunt Krasiński, przeciwstawiając germańskim filozofom i romańskim politykom religijne „plemię słowiańskie", które zrealizuje na ziemi chrześcijański porządek rzeczy. Także Bronisław Trentowski przypisywał Słowianom dziejowe zadania. Po upadku Rzeczypospolitej nieliczni konserwatyści w odrodzeniu Słowiańszczyzny pod wodzą Rosji upatrywali ochrony przed nadchodzącymi z Zachodu siłami rewolucji. Inni jednak tłumaczyli, że zarówno idea rewolucji, jak i mit Słowiańszczyzny prowadzą na te same manowce. W końcu nasz wieszcz narodowy Adam Mickiewicz dzieje Rosji opisywał jako historię deslawizacji jej ludu przez carskie samodzierżawie. „Aktem słowiańskiej apostazji była nie okcydentalizacja Polski, tylko orientalizacja Rosji" – polemizował z Rosjanami zarzucającymi nam zdradę Słowiańszczyzny. Rosja zdrajcą Słowiańszczyzny – celna riposta.

eprasa.pl a228ebe70a

Niesamowity projekt Polskiej Fundacji Narodowej

Jacht I Love Poland, zwyciężając, opowiada globalnie Polskę

Należy poszukiwać unikatowych, a nie sztampowych instrumentów komunikowania o Polsce. Po raz pierwszy w historii Polska dysponuje profesjonalnym, regatowym jachtem oceanicznym. Oczywiście analogiczne jednostki posiada większość nadmorskich krajów świata, ale w obszarze polskich doświadczeń jest to novum. Właściwie umożliwiło to nam, Polakom, przystąpienie do znamienitego klubu regatowych, oceanicznych armatorów



Jacht klasy Volvo 70 startował w regatach Volvo Ocean Race 2011/12 pod nazwą Mar Mostro z załogą Puma Ocean Racing, a dowodził nim Ken Read. Od 2018 r. żegluje pod polską banderą z naszą – polską – załogą. Jacht odnosi sukcesy na morzach i oceanach, a przede wszystkim szkoli polskich żeglarzy oceanicznych. Projekt I Love Poland należy do przedsięwzięć trudnych, ale w pełni oryginalnych i skutecznych. Wykorzystanie oceanicznego jachtu regatowego do promowania Polski to element wielowymiarowej strategii opowiadania o polskim sporcie, kulturze i historii Polski, polskim dziedzictwie narodowym, ale przede wszystkim o cechach i postawach, jakie reprezentują członkowie załogi – o zdyscyplinowaniu, męstwie i umiejętności zwyciężania. Przykładem jest błyskawiczny powrót dzięki sprawności skippera i załogi do sukcesów regatowych po uszkodzeniu masztu na środku oceanu. Z perspektywy celów projektowych bardzo cenne jest realizowanie zadań szkoleniowych w ramach czterech edycji inicjatywy angażującej młodych polskich żeglarzy oceanicznych. Nie istnieje w Polsce analogiczne działanie, które integruje udział w międzynarodowych regatach z zaawansowanym systemem szkoleń. Ostatnie lata to sukcesy regatowe oraz – co istotne – sukcesy szkoleniowe, ponieważ rozszerzyliśmy projekt o model kształcenia młodych polskich żeglarzy oceanicznych. Przyjęta przez Zarząd PFN w 2019 r. nowa formuła projektu I Love Poland miała zintensyfikować rozwój umiejętności młodych polskich żeglarzy. Świadoma decyzja mająca na celu powiększenie programu szkoleniowego przyniosła znakomite efekty i sukcesy na międzynarodowych regatach. Uważamy, że szkolenie młodego pokolenia polskich regatowych żeglarzy oceanicznych pod opieką doświadczonego kapitana to doskonałe narzędzie do rozwoju polskiego sportu, a jednocześnie doskonała promocja Polski za granicą. Do preliminarza czterech edycji szkoleń akces zgłosiło ponad 1,5 tys. polskich żeglarzy, adeptów i profesjonalistów. Zainteresowanie przerosło nasze oczekiwania.

dr Marcin Zarzecki,
prezes Polskiej Fundacji Narodowej

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a228ebe70a

Projekt I Love Poland powstał, by promować Polskę przez zwycięstwa i szkolić zwycięzców

Rozsławiają imię ojczyzny na morzach i oceanach



I Love Poland to wyjątkowy projekt promujący Polskę za granicą. Zrodził się z inicjatywy Polskiej Fundacji Narodowej i zakładał udział polskiego jachtu w najważniejszych i najbardziej prestiżowych regatach na świecie oraz szkolenie młodego pokolenia polskich regatowych żeglarzy oceanicznych z wykorzystaniem nowoczesnego jachtu, świetnego zespołu i najlepszych rozwiązań technicznych. W tym celu Polska Fundacja Narodowa sfinansowała zakup supernowoczesnego jachtu jednokadłubowego trzeciej generacji Volvo Open 70 o długości 21,5 m i szerokości 5,35 m oraz 34-metrowym maszcie

Inauguracja projektu odbyła się 11 września 2018 r. w żeglarskiej wiosce w Gdyni, a już 30 września jacht pożegnał Polskę, wypływając ze Szczecina do portugalskiego Cascais. Tu rozpoczął się trening i po kilku tygodniach przygotowań jacht przepłynął na drugą stronę Atlantyku. W lutym 2019 r. I Love Poland promował Polskę w Miami, gdzie wraz z żaglowcem Dar Młodzieży przypominał o nadchodzącej rocznicy 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości podczas trwającego tam zjazdu Polonii.

SPORTOWE SUKCESY I DUMA DLA POLSKI

Projekt naszego narodowego jachtu to eksperyment, ale taki, który przynosi dobre efekty promocyjne, ponieważ I Love Poland to regatowy, oceaniczny jacht Volvo 70 z polskim brandingiem, odnoszący globalne sukcesy, jak zwycięstwo regatowe na Rolex Middle Sea Race, RORC Caribbean 600 Salida de Antigua entre Anguilla y Guadalupe, RORC Transatlantic Race, St Maarten Heineken Regatta, Baltic Sea Race i na wielu innych prestiżowych wydarzeniach sportowych. Jacht jest już dwukrotnym rekordzistą wyścigu Orvaldi B8 Race, w którym załoga I Love Poland zwyciężyła w klasyfikacji Open i ustanowiła rekord trasy 120 mil morskich.

Jury przyznające corocznie od 1970 r. najwyższe polskie wyróżnienie żeglarskie „Rejs Roku – Srebrny Sekstant" postanowiło uhonorować kpt. Grzegorza Baranowskiego za wyniki osiągnięte na jachcie I Love Poland. To dowód środowiskowego uznania dla kompetencji skippera i całej załogi jachtu. Jacht dowodzony przez kapitana Grzegorza Baranowskiego otrzymał prestiżową nagrodę Caribbean Maxi Challenge. Międzynarodowe stowarzyszenie jachtów klasy Maxi IMA ustanowiło trofeum przyznawane za najlepszy wynik w cyklu regat, na które składały się RORC Transatlantic Race, RORC Caribbean 600, St Maarten Heineken Regatta, Les Voiles de St Barth – Richard Mille i Antigua Sailing Week. We wszystkich tych regatach wystartowało ponad 30 jachtów klasy maxi (powyżej 60 stóp), a wśród nich m.in. tak znane i utytułowane jednostki jak Rambler 88 George'a Davida, Farr 100 Leopard 3, Botin 85 Deep Blue Wendy Schmidt, czyli światowa czołówka mistrzowskich załóg. Polska, a nie wynajmowana zagraniczna załoga (w wieku 17–33 lat) zdobyła Caribbean Maxi Challenge, wyprzedzając jacht Leopard 3. Duma z polskiej załogi i duma dla Polski.

dr Marcin Zarzecki,
prezes PFN

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 14/0722/F

eprasa.pl a228ebe70a

Pierwszym sprawdzianem sportowym dla jachtu i nowej załogi był udział w 39. edycji St Maarten Heineken Regatta na Karaibach w marcu 2019 r. Regaty te okazały się zwycięskie, I Love Poland zajął pierwsze miejsce w klasyfikacji generalnej, wygrywając we wszystkich czterech wyścigach, w tym w najbardziej prestiżowej kategorii najszybszego opłynięcia wyspy Sint Maarten. W kwietniu 2019 r. I Love Poland przybył do Nowego Jorku, gdzie promował Polskę przy okazji innego projektu Polskiej Fundacji Narodowej, premiery filmu „Poland: The Royal Tour".

SZKOLENIE NASTĘPCÓW

W 2019 r. nowy Zarząd Polskiej Fundacji Narodowej podjął decyzję o zmianie formuły projektu i jacht stał się jednostką dydaktyczną, na której pokładzie szkolą się nowe pokolenia młodych polskich regatowych żeglarzy oceanicznych. W listopadzie 2019 r. ruszyła I edycja programu szkoleniowego. Z nadesłanych 430 zgłoszeń kapituła złożona ze znanych osobowości żeglarskich, reprezentujących najważniejsze instytucje, wyłoniła 40 finalistów konkursu. Szczęśliwa 40 wzięła udział w specjalistycznym, bezpłatnym zgrupowaniu w ośrodkach olimpijskich, które było zarazem drugim etapem programu. Zgrupowanie wyłoniło sześcioro laureatów, dla których nagrodą było uczestnictwo w treningach I Love Poland w portugalskim Cascais.

W lutym 2020 r. I Love Poland wziął udział w klasycznych regatach RORC Caribbean 600 Salida de Antigua entre Anguilla y Guadalupe, załoga jachtu I Love Poland zdobyła drugie miejsce w klasyfikacji monokadłubowców oraz piąte miejsce w klasie IRC Zero.

Kolejne 40. St Marteen Heineken Regatta, w których udział wziął jacht I Love Poland, odbyły się w marcu 2020 r. Załoga na sześć startów zdobyła trzy pierwsze miejsca, dwa drugie oraz jedno trzecie. W obu karaibskich regatach jako pełnoprawni załoganci brali udział dwaj laureaci wyłonieni w pierwszej edycji programu szkoleniowego I Love Poland.

Następnie I Love Poland pierwszy w swojej klasie przeciął linię mety 41. Rolex Middle Sea Race 2020. I Love Poland znów zwyciężył w klasyfikacji monokadłubowców, w tym liczącym 693 mil morskich wyścigu, który jest ceniony na równi z angielskim Rolex Fastnet Race i australijskim Rolex Sydney-Hobart. Kapitan jachtu Grzegorz Baranowski nie krył zadowolenia i dziękował kibicom za żywiołowe wsparcie podczas wyścigu. Gratulacje dla załogi przekazał także ambasador RP na Malcie Tomasz Czyszek oraz Zarząd Polskiej Fundacji Narodowej.

Na początku listopada 2020 r. rozpoczęła się druga edycja programu szkoleniowego I Love Poland. Jej nadrzędnym celem było stworzenie szansy kontynuacji kariery sportowej dla polskich żeglarzy regatowych, których możliwości dalszego rozwoju na jachtach typu dinghy, windsurfing i innych zostały już wyczerpane. Pośrednim zamysłem było wybranie spośród uczestników programu żeglarzy, którzy po odpowiednim przeszkoleniu mogliby się stać częścią stałej bądź lotnej załogi regatowej jachtu. Uczestnicy szkolenia z pomocą stałej załogi jachtu zdobywali cenne doświadczenie i szlifowali swoje umiejętności. Każdy dzień to zadania żeglarskie i teoretyczne. Krótkie odprawy odbywały się na bieżąco na jachcie. Wieczorami zaś omawiano i analizowano na podstawie nagranych materiałów realizowane manewry.

NIE ZABRAKNIE ŻEGLARZY

– Chcemy bazować na ludziach, którzy już brali udział w zawodach, bo dla nich pewne sytuacje i terminologia żeglarska nie są obce. Mając plan, by laureaci wystartowali z nami w regatach, nie możemy sobie pozwolić, by te osoby nie wiedziały, jakie są manewry, i nie znały żagli – do czego służą oraz w jakich zakresach kątów pracują. Nie oczekujemy, że ktoś, kto przyjdzie pierwszy raz, będzie obeznany z tego typu jachtem, więc będziemy stopniowo wdrażać wszystkie etapy, ale jest to jacht zrobiony dla profesjonalistów, więc kandydat nie powinien mieć wyobrażeń o żeglarskim rejsie, ale o ewidentnie sportowej przygodzie – powiedział kapitan jachtu Grzegorz Baranowski.

Praca dydaktyczna, która jest wykonywana na pokładzie jachtu, a także ścisła selekcja dają gwarancję, że polskiej jednostce nie zabraknie w kolejnych latach znakomicie wyszkolonych żeglarzy, którzy będą mogli prowadzić ją do kolejnych wielkich światowych sukcesów i tym samym rozsławiać imię naszej ojczyzny na całym świecie.





Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a228ebe70a



Fot. Materiały prasowe

89 tys. km morskiej żeglugi z Polską na żaglach i w sercu

Jacht I Love Poland od czterech lat przemierza morza i oceany, biorąc udział w najważniejszych światowych regatach i promując tym samym Polskę. W latach 2019–2022 jednostka odbyła rejsy o łącznej długości przekraczającej dwukrotną długość równika o prawie 10 tys. km. Oto jak dokładnie kształtowały się podróże morskie jachtu I Love Poland

Rok 2019 – łączna długość pokonanej trasy: 29 188 km

Porty, do których zawijał jacht I Love Poland w 2019 r.: Cogolin, Francja – Kartagena, Hiszpania – Kadyks, Hiszpania – Cherbourg, Francja – Sassnitz, Niemcy – Szczecin, Polska – Gdynia, Polska – Szczecin, Polska – Dunkierka, Francja – Plymouth, Wielka Brytania – Cascais, Portugalia – Pointe-à-Pitre, Gwadelupa – Miami, USA – Fort Lauderdale, USA – Sint Maarten, Karaiby – Miami i Fort Lauderdale, USA – Dania Beach, USA – Jersey City, USA – Nowy Jork, USA – Portsmouth, USA – Newport, USA – Horta, Portugalia – Cascais, Portugalia

Rok 2020 – łączna długość pokonanej trasy: 22 993 km

Porty, do których zawijał I Love Poland w 2020 roku: Cascais, Portugalia – Sint Maarten, Karaiby – Antigua, Karaiby – Sint Maarten, Karaiby – Saint Thomas, Karaiby – Amsterdam, Holandia – Breskens, Holandia – Cascais, Portugalia – La Valletta, Malta – Cagliari, Włochy – Cascais, Portugalia

Rok 2021 – łączna długość pokonanej trasy: 17 766 km

Porty, do których zawijał I Love Poland w 2021 r.: Cascais, Portugalia – Amsterdam, Holandia – Breskens, Holandia – Szczecin, Polska – Gdynia Polska – Gdańsk, Polska – Platforma B8, Bałtyk – Gdańsk, Polska – Gdynia, Polska – Sztokholm, Szwecja – Gotlandia, Szwecja – Gdynia, Polska – Cherbourg, Francja – Fastnet, Morze Północne –Cherbourg, Francja – Cascais, Portugalia – La Valetta, Malta – Middle Sea – Cascais, Portugalia – Lanzarote, Wyspy Kanaryjskie

Rok 2022 – łączna długość pokonanej trasy: 19 638 km

Porty, do których zawijał I Love Poland w 2022 r.: Lanzarote, Wyspy Kanaryjskie – Grenada, Karaiby – Antigua, Karaiby – Sint Maarten, Karaiby – Antigua, Karaiby – Horta, Portugalia – Cascais, Portugalia – Cherbourg, Francja – Gdynia, Polska – Gdańsk, Polska – Platforma B8, Bałtyk – Gdańsk, Polska – Gdynia, Polska – Helsinki, Finlandia –Gotlandia, Szwecja – Helsinki, Finlandia – Gdynia, Polska

Łączny dystans pokonany przez załogę I Love Poland w latach 2019–2022: 89 585 km

eprasa.pl a228ebe70a



Dziesięć lat czekała, by jej pseudonim stał się szeroko rozpoznawalny. Pomógł czerwony fotel. Może go zajmować z satysfakcją. Małgorzata Uściłowska, znana jako Lanberry, jest najlepszym przykładem, że warto walczyć o marzenia

Czerwony fotel Lanberry

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a228ebe70a



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Młoda, atrakcyjna, oryginalna, utalentowana, kompetentna, wymagająca, a także empatyczna. Wzbudzająca sympatię uczestników i widzów. Tak prezentuje się jako jurorka oraz trenerka trwającej właśnie 13. edycji „The Voice of Poland".



Fot. Materiały prasowe

REGUŁY SHOW

Na czerwony fotel trafiła blisko 10 lat po pierwszym spotkaniu z muzycznym show Jedynki. Jako uczestniczka wzięła udział w trzeciej edycji programu. W składzie jurorskim byli wtedy: Edyta Górniak, Maria Sadowska, Tomson i Baron oraz Marek Piekarczyk. Podczas przesłuchań w ciemno zaśpiewała znakomicie, ale nikt się nie odwrócił, chociaż po występie trenerzy nie szczędzili jej komplementów.

W komentarzach po tamtym odcinku pojawiały się w sieci cięte uwagi dotyczące reguł przesłuchań nieprzewidujących, że podczas ostatniej sesji może pojawić się taka perełka jak Lanberry. Trenerzy poniekąd mają związane ręce. Jeśli zapełnili swoje ekipy, nie mogą już dobrać nikogo.

Jednak, jak zauważa dziś część internautów, dzięki tamtej sytuacji Lanberry musiała sama o siebie zawalczyć w muzycznym show-biznesie. I choć trwało to dłużej i może więcej ją kosztowało, udało się.

STAWIAM NA MUZYKĘ

Aleksander Milwiw-Baron wspomina, że po jej występie powiedział: „Mam nadzieję, że wrócisz tutaj, by zasiąść na złotym lub platynowym tronie, bo na to zasłużyłaś".

– Lanberry wróciła do programu nie jako uczestnik, ale trener i absolutnie na to miejsce zasługuje – podkreśla gitarzysta Afromental i dodaje, że nową trenerkę szybko połączyła z doświadczonym teamem wspólna estetyka, poczucie humoru i profesjonalizm.

A Lanberry? Oceniając z perspektywy swoje działania sprzed dekady, mówi, że jest najlepszym przykładem, iż mimo kilku porażek można osiągnąć sukces. – Stałam na tej scenie, śpiewałam „Imagine" i nikt się nie odwrócił, ale ta historia ma piękny finał, finał na tym pięknym, czerwonym fotelu. Nie poddałam się, z determinacją i konsekwentnie stawiałam na to, co kocham najbardziej, czyli na muzykę.

LINGWISTYCZNA JAGODA

Małgorzata Uściłowska (rocznik 1987) pochodzi z leżącego 60 km od Warszawy Wyszkowa. Od małego ciągnęło ją do muzyki. Uczyła się gry na skrzypcach, należała do klubu piosenki w lokalnym domu kultury, próbowała sił w różnych muzycznych składach i projektach. Miłość do sztuki odziedziczyła po tacie i dziadku, którym nieobce były gitara, skrzypce i pianino. Jednocześnie, szlifując muzyczne umiejętności, przyszła Lanberry wybrała na studia... lingwistykę.

Jej zamiłowanie do języków obcych znalazło odbicie w artystycznym pseudonimie. Cząstka „lan" jest początkiem angielskiego słowa „language", a „berry", jak mówi wokalistka, dołączyło się spontanicznie. A potem pasja do muzyki oraz języków, wsparta przez determinację i konsekwencję, doprowadziły ją do miejsca, w którym obecnie się znajduje.

Wydała trzy własne płyty. Ma też udział w sukcesach innych wokalistów. Zdobyła sporo nominacji do najbardziej prestiżowych nagród muzycznych w Polsce – Fryderyków. W latach 2019, 2020 i 2021 rywalizowała o tytuł w kategoriach album roku, utwór roku, a także kompozytor roku i autor roku (to w teamie z Dominikiem Buczkowskim-Wojtaszkiem i Patrykiem Kumorem).

GOTOWA NA WSZYSTKO

Dziś pseudonim Lanberry jest kojarzony zarówno z jej autorskimi utworami (takimi m.in. jak „Podpalimy świat", „Piątek", „Nie ma mnie", „Gotowi na wszystko" czy „Plan awaryjny", który zwyciężył w konkursie Premiery 57. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu), jak i z piosenkami innych wykonawców. Utalentowana wokalistka jest m.in. współautorką utworów, które dwa lata z rzędu zdobywały Grand Prix w Konkursie Piosenki Eurowizji Junior. Mowa o hitach „Anyone I Want to Be" Roksany Węgiel oraz „Superhero" Viki Gabor.

Napisane przez Lanberry piosenki śpiewają też m.in. Dawid Kwiatkowski (m.in. „Bez ciebie", „Proste"), Kayah i Viki Gabor („Ramię w ramię"), Honorata Skarbek („Na koniec świata"), Maja Hyży „Błysk". Z Dodą współtworzyła utwór „Don't Wanna Hide", promujący film „Dziewczyny z Dubaju". Raz wykonała go z Dorotą Rabczewską – było to podczas koncertu z okazji urodzin Dody.

Mówi, że dużo wydarzyło się w jej życiu przez ostatnich 10 lat. Przede wszystkim debiut w 2015 r., pierwsza płyta, potem kolejne. Teraz też pracuje nad krążkiem. Podkreśla, że ze swoimi muzycznymi i showbiznesowymi doświadczeniami może lepiej wspomagać uczestników „The Voice of Poland". Zachęca ich, by podążali za marzeniami: – Walczcie, naprawdę warto.

eprasa.pl a228ebe70a

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Lodowata pustka „Nie-Boskiej komedii”

„Nie-Boska komedia” Zygmunta Krasińskiego była zawsze przyjmowana speszeniem. Arystokrata, choć i romantyczny poeta, zdawał się negować ideę postępu, a artyści przeważnie w nią wierzyli. Owszem, realizowali ją na scenie wielcy: Konrad Swinarski, Adam Hanuszkiewicz, Jerzy Grzegorzewski, na różne sposoby mocując się z jej przesłaniami. Ale w Teatrze Telewizji została pokazana tylko raz.

I właśnie tę inscenizację, Zygmunta Hübnera z 1982 r. (nakręconą podczas karnawału Solidarności), przypomniał Mikołaj Mirowski w swoim cyklu w TVP Historia. To dobry spektakl, z czasów, kiedy wybitni reżyserzy nie przesłaniali swoimi wtrętami i pomysłami tekstu.

Możliwe, że początek, obraz porażki rodzinnej hrabiego Henryka, wyda się trochę konwencjonalny, ale taki jest ten dramat. Za to scenę, w której hrabia Henryk prowadzony przez zaskakująco smutnego diabła (świetny Jerzy Trela) zwiedza obóz rewolucjonistów niczym kolejne kręgi piekieł, dysputę Henryka z wodzem rewolucji Pankracym i końcową obronę zamku św. Trójcy przed nieuchronnym ogląda się z napięciem. Sceny zbiorowe wychodzą w filmowy plener, wojenny finał odbywa się w zamkowych ruinach. Apokaliptyczna muzyka Bohdana Mazurka wzmaga wrażenie czegoś ostatecznego.

Mirowski wraz Filipem Memchesem oznajmili we wstępie, że ten dramat to niejako wewnętrzna krytyka romantyzmu (hrabia Henryk ponosi klęskę jako poeta szukający romantycznej ułudy), a do tego katastroficzny obraz końca świata uruchamianego przez rewolucję. Która na dokładkę nie jest pokazana jednoznacznie.

I faktycznie nie jest. Kiedy znakomity Marek Walczewski jako Pankracy (upozowany trochę na Lenina) ściera się ze stylowym Jerzym Zelnikiem jako arystokratą, doznajemy wrażenia, że racje wodza rewolucji popierane przykładami brzmią wręcz mocniej. Także w innych scenach autor mówi o nędzy ludu. Bunt nie jest efektem spisku czy ideologicznej fanaberii.

Nie zmienia to faktu, że Krasiński pasowany przez Mirowskiego i Memchesa na proroka przyszłych czasów, pokazywał rewolucję plakatową, wymyśloną. Owszem, posługiwał się przykładami radykalizmu wielkiej rewolucji francuskiej, łącznie z próbą wymyślenia rewolucyjnej religii. Owszem przeczuwał apokalipsę rewolucji bolszewickiej, a nawet kontrkulturę XX w. Ale pisząc „Nie-Boską...” w 1833 r., nie zauważał, bagatela, ewolucji świata w kierunku mieszczańskiej demokracji, którą starcia rewolucyjne przyśpieszały. Przyszła klasa średnia dla niego nie istniała. Był motłoch i byli panowie.

W efekcie miast społecznej wiwisekcji mamy recytacje w duchu romantycznych emocji. Zarazem zaciekawiło mnie, choć i odepchnęło coś jeszcze. Henryk wspomina, że nowa władza będzie równie grzeszna jak stary porządek. Ale przede wszystkim przeciwstawia diagnozom Pankracego recytacje pełne arystokratycznej wyższości, swoistego pańskiego szowinizmu. Ciekawe, na ile odczuwał ten szowinizm sam Krasiński. Cóż z tego, że uznawał go za schyłkowy.

Z kolei finał, kiedy Pankracy doznaje wizji triumfującego Chrystusa, to niby zwycięstwo chrześcijaństwa. Skądinąd wyklinanego w tej sztuce przez lud jako dodatkowy symbol dziejowej niewoli. Czy wiara to trzecia droga? Ale w dramacie nie ma ani jednego jej reprezentanta. „Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił, potępion będziesz” – oznajmiają duchy z zamkowego lochu Henrykowi, który zdaje się bronić religii jako tradycji. Wcześniej pojawiają się wizje oszalałego Jezusa. To ciekawe sygnały szaleństwa nowoczesności, ale też po tej sztuce pozostaje wrażenie lodowatej pustki. Dlatego tak jestem jej ciekaw i tak jej nie lubię.



Piotr Zaremba



Potrafimy. „Orzeł. Ostatni patrol”

Orzeł i jego bliźniacza jednostka Sęp stanowiły przed wybuchem wojny parę najnowocześniejszych i najsilniej uzbrojonych jednostek tej klasy na świecie

Okręt podwodny Orzeł, zwodowany w 1938 r., to jedna z ikon polskiej historii zbrojnej XX w. – podobnie jak Westerplatte, Dywizjon 303 czy Legiony. Stał się nią już na etapie zbierania na jego budowę funduszy i ofiarnych składek całego społeczeństwa. Wraz ze swoją bliźniaczą jednostką Sępem stanowił przed wybuchem wojny parę najnowocześniejszych i najsilniej uzbrojonych jednostek tej klasy na świecie. Tak, na świecie. To mniej więcej tak, jakbyśmy wyposażyli dzisiaj naszą marynarkę wojenną w dwa oceaniczne nowoczesne okręty podwodne z napędem atomowym, wyposażone w rakiety z głowicami nuklearnymi.

10 lutego 1939 r. po raz ostatni przed II wojną światową obchodziliśmy Święto Marynarki Wojennej. Najważniejszym punktem obchodów było wpłynięcie nowego Okrętu Rzeczpospolitej Polskiej „Orzeł” do gdyńskiego portu i zacumowanie przy Nabrzeżu Pomorskim. Prócz oficjeli witała go 30-tys. [sic!] publiczność, a wydarzeniem żył cały kraj. Orzeł był dumą wszystkich Polaków. Stał się również jedną z naszych najboleśniejszych strat w czasie II wojny światowej, kiedy nie powrócił z patrolu na Morzu Północnym w czerwcu 1940 r.

Jednak jego wojenna epopeja do dzisiaj rozpala wyobraźnię. Udział w obronie polskiego wybrzeża we wrześniu 1939 r., utrata chorego dowódcy, internowanie w Tallinie, brawurowa ucieczka z portu, przedarcie się bez map nawigacyjnych przez Cieśniny Duńskie do Wielkiej Brytanii, rejsy bojowe z posłaniem na dno niemieckiego statku transportowego. Wszystko to wręcz prosiło się o przeniesienie na ekran. I zostało przeniesione. Film pt. „Orzeł”, zainspirowany prawdziwą historią okrętu, w reżyserii Leonarda Buczkowskiego miał swoją premierę 7 lutego 1959 r. Obraz udany, broniący się do dzisiaj. Możemy w nim zobaczyć nawet Sępa, który zagrał swojego morskiego bliźniaka.

Jacek Bławut, reżyser znany szerokiej publiczności przede wszystkim ze swoich znakomitych filmów dokumentalnych, postanowił kilka lat temu zmierzyć się z tematem i sfabularyzować to, czego w dziele Buczkowskiego brakuje – czyli ostatni rejs Orła. Pokazać, jak ten patrol przebiegał i jak najprawdopodobniej wyglądał jego koniec. Pełnej wiedzy na ten temat niestety nadal nie mamy, jednak prace wielu badaczy – kwerendy archiwalne, analizy map nawigacyjnych, raportów, rozkazów i dzienników pokładowych – pozwoliły wyłonić reżyserowi najbardziej prawdopodobną wersję wydarzeń.

Widzimy zatem Orła patrolującego swój sektor u wybrzeży Holandii, broniącego się przed okrętami Kriegsmarine i samolotami Luftwaffe, ale próbującego również dopaść największe jednostki wroga znajdujące się wtedy w tym rejonie – pancerniki Scharnhorst i Gneisenau. Nie jest to jednak zapis zdarzeń, prowadzonych zgodnie z filmowymi regułami zawiązania akcji i stopniowego budowania napięcia aż do kulminacji. Opowieść Jacka Bławuta te reguły przełamuje zarówno formą, jak i treścią przekazu. Nie poznajemy bohaterów filmu – autentycznych postaci przecież – z pełnią ich charakterów i wzajemnych relacji. Kpt. Jan Grudziński (w tej roli Tomasz Ziętek), por. Andrzej Piasecki (Mateusz Kościukiewicz), ppor. Marian Mokrski (Antoni Pawlicki) i Jerzy Sosnowski (Filip Pławiak) oraz inni zarysowani są tak oszczędnie, że możemy uznać załogę *in gremio* za bohatera zbiorowego, drugoplanowego. Bohaterem pierwszoplanowym jest... sam Orzeł.

Dzięki fenomenalnie zbudowanej warstwie dźwiękowej (nagroda 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni dla Radosława Ochni i Michała Fojcika) okręt jest niemalże żywą istotą. Słyszymy i wręcz czujemy napięcia i zgrzytanie stalowej konstrukcji poddawanej podwodnemu ciśnieniu oraz zgniatanej wybuchami bomb głębinowych. Nasze uszy wypełnia szum szasowanych balastów i łoskot pracujących maszyn okrętowych. Patrzymy też na załogę oczami Orła. Widzimy marynarzy i oficerów w codziennej służbie. Służbie morderczej, w warunkach niewyobrażalnych dla współczesnego widza, przyzwyczajonego do pachnącego i higienicznego komfortu. Brud, pot, wilgoć, ciasnota, brak powietrza, trujące stężenie chloru i dwutlenku węgla – wszystko to przywodzi na myśl

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a228ebe70a

katorżnicze warunki pracy w dawnej kopalni. Różnica polega na tym, że górników nikt z zewnątrz nie starał się zabić. Marynarze Orła muszą walczyć o przeżycie z przeciwnikiem, prawami fizyki oraz własnym, paraliżującym strachem.

Pokazane w filmie wnętrza okrętowe zostały odtworzone z niezwykłym pietyzmem i dokładnością. Zajęło to ponad rok pracy, a konsultantami byli maryniści, historycy oraz oficerowie, którzy służyli na bliźniaczej jednostce ORP Sęp. Zrekonstruowane przedziały umieszczono na ruchomej platformie hydraulicznej, dzięki czemu oglądamy bardzo realistycznie oddane zachowanie okrętu oraz załogi podczas wynurzeń i zanurzeń okrętu oraz w momentach wybuchów bomb głębinowych. Jest to przedsięwzięcie scenograficzne o skali niespotykanej dotąd w polskim kinie. Trudno doprawdy zrozumieć jurorów gdyńskiego festiwalu, którzy nie przyznali autorce scenografii – Marcelinie Początek-Kunikowskiej – nagrody w tej kategorii.

Jeszcze wyżej od scenografii można ocenić jedynie zdjęcia nawodne i podwodne – po prostu doskonałe. Brawa na stojąco dla wszystkich twórców. Poziom najlepszych produkcji hollywoodzkich tego gatunku. Okazuje się, że nad Wisłą również potrafimy zrobić coś takiego.

Reżyser zastosował też ujęcia bardzo specyficzne, kiedy zaglądamy z zewnątrz, przez bulaje do wnętrza Orła. Innymi razy patrzymy na postacie filmu przez zarysowaną szybę, a wypowiadane przez nich słowa dochodzą do nas jakby z tuby, jakbyśmy podsłuchiwali marynarzy – znów z zewnątrz. Szczególną uwagę warto zwrócić na scenę, kiedy załoga – jak się wydaje – wyczerpała już możliwości ratowania okrętu. Jest bezradna. Kpt. Grudziński nagle zwraca głowę w kierunku kamery i patrząc nam w oczy, pyta: „I co teraz?". No właśnie – elektryzujące, zaskakujące wyjście z formy fabuły. Jak wtedy, gdy Wojciech Pszoniak (filmowy Moryc Welt) w „Ziemi obiecanej" Andrzeja Wajdy uśmiechnął się do kamery i pomachał do nas ręką. Po raz kolejny mamy poczucie uczestnictwa w dramacie załogi jako obserwator zaglądający do czeluści zanurzonego okrętu.



Fot. Andrzej Wencel

> Dzięki fenomenalnie zbudowanej warstwie dźwiękowej okręt jest w filmie niemalże żywą istotą. Słyszymy i wręcz czujemy napięcia oraz zgrzytanie stalowej konstrukcji poddawanej podwodnemu ciśnieniu i zgniatanej wybuchami bomb głębinowych. Nasze uszy wypełnia szum szasowanych balastów i łoskot pracujących maszyn okrętowych

Oryginalny, specyficzny sposób filmowania oraz klaustrofobiczne, przerażające życie podwodniaków tworzą u widza wrażenie wręcz nierealistyczne, jakiegoś sennego koszmaru, z którego trudno się obudzić. Odbiorca filmu ma prawo być przyzwyczajony do reguł i schematów gatunku, w którym powstało wiele znakomitych dzieł – jak chociażby słynny „Okręt" Wolfganga Petersena w 1981 r. Oniryczność opowieści Jacka Bławuta może odpychać lub nużyć widza, ale może też pozytywnie zaskoczyć, wciągnąć i pozostać w pamięci. Oryginalność została nagrodzona podczas 47. FPFF w Gdyni laurami dla Jacka Bławuta za reżyserię oraz dla Bartłomieja Piaska i Piotra Wójcika za montaż filmu.

„Orzeł. Ostatni patrol" prędzej czy później trafi do platform streamingowych, kanałów satelitarnych i kablowych, gdzie będzie można go obejrzeć w ramach opłaconego abonamentu. Należy jednak wydać dodatkowe pieniądze na bilet, by zobaczyć (i usłyszeć) film w sali kinowej, dysponującej całym oprzyrządowaniem audiowizualnym. Koniecznie. „Orzeł..." oglądany w zaciszu domowym znacznie straci.

Epopeja ORP Orzeł była krótka, ale tak intensywna i dramatyczna, że nie sposób zawrzeć jej całej w jednej opowieści. Warto pomyśleć zatem o serialu. Sukces odcinkowej wersji wspomnianego dzieła Wolfganga Petersena jest dobrym drogowskazem.

Artur Kolęda
Autor jest historykiem i publicystą, pracownikiem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

eprasa.pl a228ebe70a

3 MIŁOŚCI

Wojna przed nami



ROBERT TEKIELI

Cywilizacje upadają, kiedy władza prześciga religię. Wierni obrządku liberalnego nie są w stanie obronić Zachodu. Nawet przed Putinem. A my?

Na początku marca 2014 r. w jednym z felietonów pytałem: „Co zdarzy się na Ukrainie? Czy będziemy mieli wojnę domową za naszą wschodnią granicą? Kiedy piszę te słowa, jeszcze tego nie wiadomo". Jednak już wtedy było wiadomo, że „suwerenna, prozachodnia Ukraina czyni niemożliwym zrealizowanie zasadniczej wizji władcy Kremla: zbudowania geopolitycznej i cywilizacyjnej alternatywy dla Zachodu".

I dalej tekst z marca 2014 r.: „Czy Rosja w niedalekiej przyszłości zaatakuje Polskę militarnie? Musimy pamiętać, że Kreml postępuje konsekwentnie. Już w 2010 r. żądał od NATO odstąpienia od planu obrony państw bałtyckich. Ogłoszona niedawno po raz kolejny doktryna mistycznej wyjątkowości państwa rosyjskiego, które stwierdziło w swej oficjalnej doktrynie, że przyznało sobie prawo do agresji na każdy kraj, w którym mieszkają Rosjanie, jest kolejnym dowodem münchausenowskiej natury Kremla. Ale pamiętajmy również, że caryca Katarzyna uzasadniała pierwszy rozbiór Polski potrzebą ochrony Rosjan mieszkających w I Rzeczypospolitej".

Cała konstrukcja zbójeckiego państwa ze stolicą w Moskwie opiera się na satanicznej odmianie prawosławia. Przemoc na fundamencie religii. Fałszywa mistyka usprawiedliwieniem terroru, ludobójstwa i wojennych zbrodni. Bez zdobyczy orda udająca organizm państwowy osuwa się w smutę, a ten stan grozi jej rozpadem. Rosja musi prowadzić wojny. Musi. Ile ich było po 1990 r.? Osiem? Dziesięć?

W maju 2014 r. pytałem: „Czy Putina stać na ludobójstwo na Ukrainie? Oczywiście. Wiedzą dobrze o tym Czeczeni. Kreml wymordował co dziewiątego. Świat dyskretnie się odwrócił. Gdy zaczną masowo ginąć Ukraińcy, będzie trudniej udawać, że nic się nie dzieje". Dziś widzimy, że krajom dominującym w Unii Europejskiej udawanie wychodzi doskonale.

I dalej w tym samym felietonie: „Minister spraw zagranicznych Niemiec Frank Steinmeier zapewnia działaniom Putina aktywną ochronę dyplomatyczną, a Francja Moskwę zbroi. Wiceszef CSU mówi o Krymie: aneksja nie jest niezgodna z prawem. Kiedy zatem mamy się spodziewać negocjacji na temat powrotu Wrocławia i Katowic do niemieckiej macierzy?

Cała konstrukcja zbójeckiego państwa ze stolicą w Moskwie opiera się na satanicznej odmianie prawosławia. Przemoc na fundamencie religii. Fałszywa mistyka usprawiedliwieniem terroru, ludobójstwa i wojennych zbrodni. Bez zdobyczy orda udająca organizm państwowy osuwa się w smutę, a ten stan grozi jej rozpadem. Rosja musi prowadzić wojny

Kiedy Niemcy sprzedadzą nas Rosji?". Te pytania pozostają po ośmiu latach aktualne. Kanclerz Scholz wspomniał ostatnio o kwestii granicy polsko-niemieckiej.

Sześć lat temu powtarzałem najistotniejsze dziś dla Polaków pytanie: „Dlaczego Rosja prowokuje wojnę? Czy jesteśmy realnie zagrożeni?". Odpowiedź była taka: „Rosjanie powtarzają manewr geopolityczny sprzed II wojny światowej. Razem z terrorystycznym odłamem totalitarnego w swojej niereligijnej istocie islamu popychają Euratlantykę w kierunku wojny. Tocząc przy tym z miękkim z definicji Zachodem swoje standardowe gierki. Małe (podbijanie cen ropy i gazu) i większe (syryjski port na Morzu Śródziemnym jest warunkiem globalnej pozycji Kremla)". W Syrii Rosjanie dokonali ludobójstwa. Dziś rzeźnik z Aleppo został głównodowodzącym wojsk rosyjskich na Ukrainie. Czy Polska będzie musiała prowadzić wojnę obronną? Czy Niemcy wbiją nam nóż w plecy?

W 2019 r., notując w jednym z wierszy niedawno wydanego tomu „Bramy rany" obrazy z trasy warszawskiego autobusu 521, zapisałem frazę o niedalekiej wojnie: „Radisson, Blu Sobieski, Cafe Trylogia, Filtrowa, / kończy się świat, kończą słowa. Plac Narutowicza czerwony / czub na głowie sześćdziesięcioletniej kobiety, / jutro pierwszy listopada, słońce twarz pali, / wojna przed nami". Tyle wyobraźnia, przeczucie, intuicja. A rozum?

Nieuchronność tego, na co nie mamy wpływu, zabija w człowieku racjonalność. Łatwo się oszukiwać. Również dzisiaj się oszukujemy. A co z naszą wiarą? Została już wypłukana jak na Zachodzie? Czy jest po co zstępować do głębi?

eprasa.pl a228ebe70a

WOJNA CYWILIZACJI



POPKULTURA

Niezłe Futurystyczny thriller kryminalny ***„Rebelia”*** Ruperta Wyatta („Geneza planety małp”, „The Escapist”, „Gracz”) z Johnem Goodmanem w roli głównej ma tak misternie skonstruowaną fabułę, że ostatni zwrot akcji może umknąć mniej uważnemu widzowi. A dopiero dzięki niemu można zrozumieć przesłanie filmu. Akcja rozgrywa się w niedalekiej przyszłości w Chicago. 10 lat wcześniej Ziemię opanowali obcy, krwawo tłumiąc opór i eksploatują ją, wysługując się zdrajcami i koniunkturalistami. Mimo że istnieje ruch oporu, sytuacja wygląda na zupełnie beznadziejną, bo na współpracę poszły wszystkie rządy i duża część ludzkości. „Rebelia” nie jest filmem wybitnym, poza konstrukcją fabuły wszystko właściwie jest w nim przeciętne. Brak pasji jest jednak grzechem ciężkim.

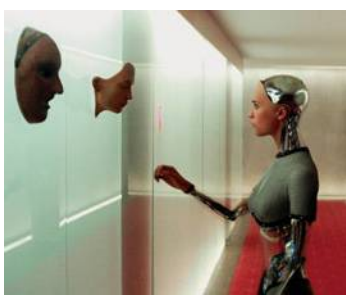


POPKULTURA

Ostatecznie Akcja ***„Ruchomego chaosu”*** toczy się w dalekiej przyszłości. Ludzkość, która wyemigrowała z Ziemi, chce na nią wrócić. Jednak świat wygląda już zupełnie inaczej, a kolebka ludzkości nie jest jej już przyjazna. Film wyreżyserował Doug Liman („Tożsamość Bourne'a”, „Pan i Pani Smith”, „Jumper”). Niestety, w przeciwieństwie do swoich sztandarowych produkcji nie udało mu się stworzyć żywej akcji, frapującej fabuły ani wciągającego klimatu. Filmu za 100 mln dolarów nie ratuje Daisy Ridley, znana jako Rey z trzech nowych odsłon „Gwiezdnych wojen”, ani Tom Holland, wcielający się ostatnio w Spider-Mana. Choć może jestem zbyt surowy. Mamy tu kilka konceptów zupełnie dla SF świeżych, choćby taki: myśli mężczyzn wszyscy mogą słyszeć, myśli kobiet – nikt. I co powiedzielibyście, żyjąc w takim świecie, panowie?

POPKULTURA

Może być Dzisiejsza popkultura jest właściwie już tylko formą propagandy kilku dominujących na Zachodzie odmian ideologii marksistowskiej. W tysiące idzie liczba filmów i seriali promujących projekcje i konstrukty feminizmu, gender, ideologii antyantyrasistowskiej czy LGBT+. Jeśli ktoś nie wierzy w siłę tego oddziaływania, niech zastanowi się, jak to się stało, że dla 51 proc. Kanadyjczyków używanie plastikowych słomek jest dużo gorsze od przeprowadzenia aborcji. Jedynie 26 proc. respondentów wyraziło odwrotną opinię. W ciągu pół wieku stworzono rzeczywistość alternatywną. Okazuje się, że oswajanie ze światem, który rewolucjoniści chcieliby zrealizować, jest niesamowicie skuteczne.



Z wiązki tych zwycięskich ideologii najmniej jest chyba rozpoznany transhumanizm. Pomyślałem sobie o tym wszystkim, oglądając film Alexa Garlanda ***„Ex Machina”***. Produkcję tę można bez szkody dla zdrowia obejrzeć, a ja po kilkudziesięciu minutach tego filmu doszedłem do wniosku, że największą siłą antycywilizacji jest głoszona przez jej heroldów naiwność. I zręczne ukrycie nihilizmu oraz oszalałej nienawiści do świata.

POPKULTURA

Może być Wraca zapomniany superbohater. Zaszył się na dwie dekady, wybrał życie śmieciarza, odwrócił się od świata pogrążającego się w chaosie. Niedane jest mu jednak dożyć swoich dni na wewnętrznym wygnaniu, demaskuje go bowiem jego 13-letni fan. A właściwie nie tyle demaskuje, ile mobilizuje. Nie będę spojlerował, zasadniczy zwrot akcji sprawia, że ***„Samarytanina”*** z Sylvestrem Stallone w roli głównej daje się oglądać. Tym bardziej że postapokaliptyczny świat nie wygląda tu jak na amerykańskich produkcjach o komunistycznej Rumunii, przypomina raczej Sosnowiec sprzed 40 lat. Film trzyma klimat, choć przecież jest komiksem.



Reżyser Julius Avery zręcznie wybrnął z geriatrycznej pułapki filmów z bohaterami sprzed wielu lat i to inaczej niż np. Stallone w „Niezniszczalnych”, gdzie wykpił się z niej kabaretowo. Rambo ma dziś 76 lat, więc gra superbohatera obdarzonego supermocami, co sprawia, że walcząc na ekranie, nie naraża się na śmieszność jak choćby Bruce Willis w wymagających sprawności fizycznej scenach akcji w swoich ostatnich filmach. Sylvester Stallone gra swoje, nigdy nie był wybitnym aktorem, ma też przyzwoitego aktorsko partnera, młodego, 15-letniego Javona Waltona („The Umbrella Academy”).

Napisałbym na koniec: „Samarytanin” to komiksowy moralitet, lecz nikt by mi nie uwierzył, że nie żartuję. Więc cytat: „Gdyby tylko źli ludzie czynili zło, łatwo byłoby się ich pozbyć”... No właśnie.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl a228ebe70a



Wielkie gąsienice wagonów

Tragiczne losy rodziny Jaseńciów są szkatułką, w której zostały upakowane dziesiątki innych doświadczeń i relacji z czasów Hołodomoru

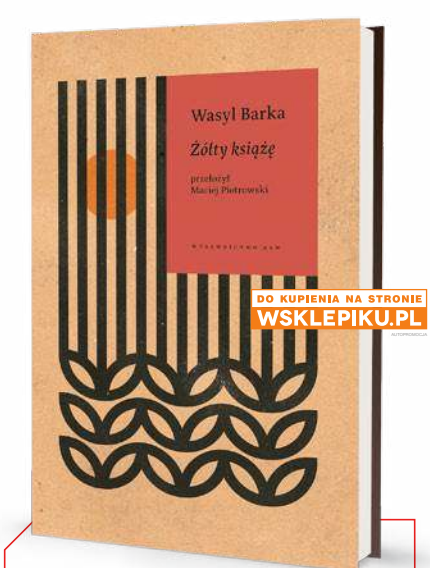
Wojciech Stanisławski

Ludobójstwo w sercu Europy, poprzedzające Shoah o blisko 10 lat – z taką oceną ukraińskiego Hołodomoru zgotowanego przez Stalina już nikt niemal nie polemizuje. Jak jednak sprawić, by pamięć o tej tragedii stała się czymś więcej niż datą w kronice, by jej wyobrażenie stało się obecne w wyobraźni ludzkiej?

Bez wyobrażenia nie sposób mówić o powszechnej pamięci i współczuciu. Dokonana przez Niemców Zagłada, stała się za sprawą fotografów, pamiętnikarzy, pisarzy i reżyserów częścią światowego imaginarium. Obrazek chłopca w kaszkiecie i przykusym płaszczyku podnoszącego ręce w śmiertelnym przerażeniu rodzi natychmiast skojarzenie „getto – Zagłada – naziści" niezależnie od wiedzy i poglądów patrzącego. Podobnie z kosym uśmiechem i warkoczem Anny Frank, z rozdwojoną nitką torów rampy w Auschwitz, także – bo przecież proste świadectwa są wzmacniane przez ich artystyczne przetworzenie – z czarnymi oczami Adriena Brody'ego w roli Władysława Szpilmana w „Pianiście". Czy istnieje jakikolwiek porównywalny pod względem siły skojarzeń wizerunek jednej z kilku milionów ofiar Wielkiego Głodu?

Obawiam się, że nie. Ani dziewczynka z kijowskiego pomnika Hołodomoru tuląca do piersi kłosy, ani ukradkowe, dokonane z narażeniem życia w Charkowie zdjęcie zwłok leżących na ulicy (dwa tułuby z podkulonymi nogami pod parkanem, szare jak płachty „Prawdy"; idąca chodnikiem dorosła postać mocno trzyma za rękę dziecko, starając się odwrócić jego wzrok) nie udźwignęły tego zadania. Dziewczynka, bo zbyt ckliwa i znika w wysokiej fali patetycznej, wschodnioeuropejskiej „pomnikozy", tułuby, bo zbyt drastyczne; dużo by zresztą mówić o niepowodzeniu ukraińskich czy polskich doświadczeń na światowych rynkach współczucia. Więc może powiodłoby się literaturze – działającej z siłą, która przenika serca i nerki, wolnej od wymogów dobrego skadrowania zdjęcia?

Taką nadzieję niosła powieść Wasyla Oczereta (na emigracji przyjął pseudonim Barka), ukraińskiego poety i pisarza, powstała w latach 1958–1961, wydana w Kanadzie przez ukraińskich wychodźców w 1962 r., a na Ukrainie dopiero w 1991 r., na rok przed odzyskaniem niepodległości. Czy je spełniła?



Wasyl Barka, „Żółty książę", tłum. Maciej Piotrowski, Kolegium Europy Wschodniej, 2022

To niełatwe pytanie, na które odpowiedź w znacznej mierze będzie zależeć od upodobań czytelnika. „Żółty książę" jest mocno osadzony w tradycji powieści realistycznej, ale zarazem posiadającej „wymowę", ku której pisarz popycha mniej pojętnych odbiorców lekko zaostrzonym kijkiem paraboli. Tragiczne losy (zagłada) rodziny Jaseńciów rozwijają się w monotonnych sekwencjach („poszli – pojechał – umarła"), a zarazem są szkatułką, w której zostały upakowane dziesiątki innych doświadczeń i relacji z czasów Hołodomoru. Wielka to zasługa autora książki jako dokumentalisty, który sam przetrwał Wielki Głód, a następnie niezmordowanie gromadził relacje innych ocalałych – i jego potknięcie jako prozaika. Kolejne postacie, dające na kartach powieści świadectwo, pojawiają się w niej trochę jak kukły w przedstawieniu dla dzieci, w dodatku – kukły osadzone na szynach, więc poruszające się nienaturalnym, szarpanym ruchem. Wjeżdżają one zgrzytliwie na scenę powieści, bez żadnego uzasadnienia w fabule ani w logice „Żółtego księcia", wygłaszają swoją relację – o wymarłych wsiach, o uzbrojonych kordonach, oddzielających Ukrainę od reszty Związku Sowieckiego, o sklepach dla partyjnych, w których można dostać nie tylko makuchy i padlinę, lecz nawet chleb, biały chleb! – po czym znikają. Gdyby rzecz o Hołodomorze powstawała pod piórem redaktorów polskiej Karty w doprowadzonej przez nich do perfekcji technice kolażu – taki wielogłos byłby porażający: na wątłej konstrukcji

eprasa.pl a228ebe70a

fabularnej obwisa niczym łachman na zagłodzonym człowieku.

Dyskusyjne jest również, nierzadkie u debiutantów – a Barka, który debiutował jako poeta pod koniec lat 20. i zamilkł wraz z nadejściem socrealizmu, nie pisywał przedtem wielkich fabuł – „protezowanie" książki, dodawanie jej mocy przez nawiązania do największych (i na pierwszy rzut oka rozpoznawalnych) opowieści ludzkości: „Boskiej komedii" z kolejnymi kręgami piekła, Apokalipsy św. Jana... Mnie podobne futrowanie symbolami wydaje się dość natrętne: być może jednak pisarzowi wydawało się nowatorskie, być może oddaje, przynajmniej jeśli chodzi o czterech jeźdźców niosących głód, zarazę, wojnę i śmierć, optykę osłuchanych w Biblii mieszkańców wiśniowych wsi?

Taki kłopot z nami, naczytanymi: nie wystarcza nam, że jakiś tekst jest słuszny i sprawiedliwy, chcemy też, by był świetny literacko, by nie osuwał się w koleiny komunału. „Szlachetność, niestety" – wzdychał już Miłosz. Ale na szczęście dla opowieści o Hołodomorze są w „Żółtym księciu" akapity, których ekspresja robi wrażenie nawet na zblazowanym czytelniku („Zza parkanu wytoczyły się wagony, wielkie gąsienice, które nażłopały się krwi spomiędzy żeber trupów. Z Moskwy przypełzły suche, a gdy wracają, to aż się ziemia pod nimi ugina"). Sam tryb opowieści, kulejący i spowalniający doświadczenia rodziny Jaseńciów, szarpiącej się w sidłach śmierci na oślep i wbrew logice – czym jest, jeśli nie oddaniem stanu świadomości człowieka majaczącego z głodu, popadającego na zmianę w stany pobudzenia i apatii? Wreszcie opowieść o ukrytym kielichu mszalnym, stanowiąca jedną z klamer powieści – w odróżnieniu od innych, zbyt łatwo czytelnych metafor biblijnych – odwołuje się do ambiwalencji cierpienia i zbawienia. Może to jedyna nadzieja Barki dla milionów, których śmierć usiłował opisać?

Piórko mi się migoce

Liczba poważnych prac, które malowałyby relacje dworu z wsią w czarnych barwach, rośnie w Polsce z każdym rokiem. Szlachta, ziemianie czy wręcz klasy panujące są w nich oskarżane o wyzysk, przemoc i tworzenie systemu quasi-niewolniczego z zacięciem publicystyczno-prokuratorskim – źródłem zaś tych uniesień bywa najczęściej prezentyzm. Ich autorzy sięgają, co do tego nie ma sporu, po rzetelne źródła – rzeczą dyskusyjną jest żar dekonstrukcyjny, łatwość potępień.

W obliczu takiej sytuacji zapowiedź nowatorskiej historii chłopstwa polskiego brzmiała jak obietnica polemiki. Biorąc jeszcze pod uwagę, że obietnicę tę składał Znak, wydawca w ostatnich dekadach skłonny do żeglugi z prądem raczej niż pod prąd – zapowiedź ta zabrzmiała sensacyjnie i jeśli byłem czegoś ciekaw bardziej niż książki prof. Mateusza Wyżgi, to jej recenzji pióra Adama Leszczyńskiego.

Na tę ostatnią muszę jeszcze poczekać. Przez „Chłopstwo" przebrnąłem, utrudzony niczym po całodziennej orce, po przerzuceniu ton obornika, po wielu godzinach spędzonych w mżawce nad redliną.

Obietnica wydawcy została spełniona: Wyżga upomina się już w pierwszych akapitach o „oddanie sprawiedliwości wszystkim aktorom sceny historycznej". Taki umiarkowany solidaryzm, „z szlachtą polską – polski lud", to jak na 2022 r. w Polsce i tak dużo, zwłaszcza jeśli dodać dwie inne prawdy wskazywane przez autora: istnienie przez stulecia różnych „ścieżek awansu", pozwalających na ucieczkę od pańszczyźnianej doli, oraz fakt, że życie wiejskich wspólnot, ze współczesnej perspektywy nieznośnie surowe, dawało zarazem pewien ład, zakorzenienie, również urodę życia. Na radykałów tezy takie działają jak płachta na byka, dla większości historyków są oczywiste – dobrze jednak, że ktoś stawia je na nowo.

Problemem z „Chłopstwem" nie są jednak jego tezy ani fakt, że książka ta nie jest (bo i być nie może ze względu na naturę zachowanych źródeł i chłopskiej, „pozaczasowej" egzystencji) podręcznikową historią wpisaną w ramy polityczne i chronologiczne, lecz raczej portretem zbiorowym, opisującym egzystencję jednostek i zbiorowości – od narodzin i chrzcin do śmierci, od św. Jana do Godów, od karczowania lasów do wprowadzenia uprawy ziemniaka.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Mateusz Wyżga, „Chłopstwo. Historia bez krawata", Znak, 2022

Byłoby to fantastyczne przedsięwzięcie, solidne wypisy z Kolberga uzupełnione poważnym dorobkiem autora w obszaru historii lokalnej i jego świetną znajomością prac z tej dziedziny – gdyby nie zdumiewająca maniera narracyjna.

To, co zostało uprzejmie opisane jako „wykorzystanie przez autora własnego doświadczenia w roli specyficznego źródła historycznego", okazuje się niepowstrzymanym przez redaktorów książki (pytanie, czy w ogóle podjęli taką próbę?) strumieniem narcystycznych dygresji o dokonaniach prof. Wyżgi jako sołtysa, puzonisty, joggera, zapaśnika, nastoletniego sprzedawcy warzyw i organizatora kół gospodyń wiejskich. Perspektywa osobista, cenna jako pojedyncze odwołanie, bezcenna jako podstawa wrażliwości w pisaniu o wsi – na kartach „Chłopstwa" stała się wulkanem. Obok odwołań do własnej biografii autor sufluje nam kalambury, anegdoty, koncepty felietonowe i poetyzujące oraz dygresje, dla których nie sposób znaleźć najbłahszego choćby uzasadnienia – i pod tym deszczem pawich piór epicka opowieść o dziejach polskiej wsi właściwie znika. Jeśli to ma być nowa historiografia – to ja już, bogać ta bogać, wolę trzymający się reguł dyskursu naukowego neomarksizm.

eprasa.pl a228ebe70a



Gdy lichwa pożera ludzkie życia



PIOTR FILIPCZYK

Dramaty jednostek i rodzin. Domy przejęte za bezcen. Depresje, samobójstwa. To skutki panoszącej się lichwy. To efekt działalności tych, którzy żerują na ludzkim nieszczęściu. Przez lata polskie prawo patrzyło na lichwę przez palce, a w 2011 r. rząd PO złagodził jeszcze przepisy penalizujące to zjawisko. Dziś pojawia się szansa na ucywilizowanie krajowego rynku finansowego. Projekt zmian przegłosowany przez Sejm trafił do Senatu. Jak zachowają się senatorowie, ważąc na szali ludzkie życia i zyski potężnych korporacji finansowych mających w garści również media?

Choć słowo „lichwa" w dzisiejszym języku polskim wydaje się archaiczne i poniekąd zapomniane, z pewnością jego praktyczny wymiar Polacy odczuwają każdego dnia. Bo lichwa i działalność lichwiarzy pozostają żywe, choć są sprytnie kamuflowane pod płaszczykiem kolorowego marketingu promującego drakońsko oprocentowane pożyczki. Kryją się pod zawiłymi umowami, które stają się przyczyną ludzkich dramatów.

Ucywilizowanie krajowego rynku pożyczkowego to zadanie, z którym polscy politycy mierzą się od lat. A przynajmniej mierzą się z nim ci, którzy mają odwagę przeciwstawić się potężnemu lobby pożyczkowemu.

RESORT SPRAWIEDLIWOŚCI ZAOSTRZA KURS

Do Senatu trafił rządowy projekt ustawy o zmianie niektórych ustaw w celu przeciwdziałania lichwie. Projekt został przegłosowany przez Sejm 6 października, a za jego przyjęciem głosowało 303 posłów, w tym 224 z PiS. 119 posłów Koalicji Obywatelskiej wstrzymało się od głosu, a przeciw zagłosowali politycy Konfederacji i 7 z 8 zasiadających w poselskich ławach polityków Polski 2050.



> Od wielu lat walczymy o to, by te przepisy zostały wprowadzone w życie. Niestety, napotykamy na przeszkody, czasami zupełnie nieoczekiwane. Środowisko lichwiarskie ma ogromne wpływy, dysponuje wielkimi pieniędzmi i ma wpływ na działanie niektórych przedstawicieli polskiego parlamentu
>
> ***Zbigniew Ziobro,***
> *minister sprawiedliwości, prokurator generalny*

Nowe przepisy zakładają określenie maksymalnych kosztów pozaodsetkowych pożyczek i obniżenie tych kosztów dla kredytów konsumenckich, zapobieganie „rolowaniu kredytów" oraz nadzór Komisji Nadzoru Finansowego nad instytucjami pożyczkowymi. – Przede wszystkim chcieliśmy ukrócić bezkarność lichwiarzy, skończyć z ich żerowaniem na krzywdzie ludzi tracących domy, mieszkania na skutek przepisów, które w 2011 r. przyjęła Platforma Obywatelska – mówi Marcin Warchoł, wiceminister sprawiedliwości.

Zmiany zakładają m.in. uzależnienie udzielenia pożyczki konsumenckiej od pozytywnej oceny zdolności kredytowej oraz wprowadzają konsekwencje za udzielenie takiego kredytu w przypadku

Projekt ustawy antylichwiarskiej

Przygotowany przez Ministerstwo Sprawiedliwości projekt ustawy o zmianie przepisów w celu przeciwdziałania lichwie, nazywanej antylichwiarską, ma w zamierzeniu rządu skutecznie zwalczać patologie na rynku pożyczek i kredytów konsumenckich. Ustawa odnosi się do zmian w kilku aktach prawnych – chodzi o nowelizacje: Kodeksu cywilnego, Kodeksu postępowania cywilnego, Kodeksu karnego, Prawa bankowego i ustawy o kredycie konsumenckim. Ustawa zakłada precyzyjne określenie zjawiska lichwy oraz definiuje i reguluje koszty pozaodsetkowe pożyczek – marże, prowizje, opłaty dodatkowe i ubezpieczenia. Obniżono górny limit pozaodsetkowych kosztów kredytu konsumenckiego oraz wprowadzono możliwość udzielenia takich pożyczek tylko firmom, które są w formie spółki akcyjnej o minimalnym kapitale 1 mln zł. Ustawa uzależnia udzielenie pożyczki konsumenckiej od pozytywnej oceny zdolności kredytowej oraz wprowadza konsekwencje za udzielenie takiego kredytu w przypadku oceny negatywnej. Ustawa wprowadza też nadzór Komisji Nadzoru Finansowego nad instytucjami pożyczkowymi z możliwościami nakładania kar na członka zarządu do 150 tys. zł, a na instytucję pożyczkową do 15 mln zł bądź wykreślenie jej z rejestru.

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl a228ebe70a

oceny negatywnej. Dodatkowo Komisja Nadzoru Finansowego otrzymuje nadzór nad instytucjami pożyczkowymi. – Wprowadzamy nadzór KNF i możliwość nakładania sięgających 15 mln zł kar na lichwiarzy. Nakładamy obowiązki na notariuszy, komorników i sędziów, żeby odmawiali ochrony prawnej lichwiarskim pożyczkom. Notariusz nie będzie mógł już w formie aktu notarialnego zatwierdzić poddania się przez dłużnika egzekucji dochodzonej z tytułu lichwy. Ten brak ochrony prawnej jest bardzo ważny. Tylko do postępowania w sprawie mafii lichwiarskiej prowadzonego przez Prokuraturę Regionalną w Gdańsku dołączono 150 postępowań podjętych przez ministra Zbigniewa Ziobrę, a wcześniej umarzanych. W 2016 r. minister Ziobro powołał zespół prokuratorów do zbadania nieprawidłowości lichwiarskich i okazało się, że po zmianach wprowadzonych w 2011 r. w Polsce mieliśmy do czynienia z falą uniewinnień lichwiarzy. Setki postępowań było umorzonych lub odmawiano ich wszczęcia – to skutki likwidacji lichwy jako przestępstwa przez PO w 2011 r. – podkreśla Warchoł.

OPOZYCJA NIE CHCE PRZEPISÓW ANTYLICHWIARSKICH

– Zmiany te są potrzebne, bo w obecnym stanie prawnym ewidentne luki przepisów umożliwiały drenowanie portfeli osób, a nawet instytucji znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej przez obciążanie ich nieproporcjonalnie (w stosunku do ponoszonego przez firmę pożyczkową ryzyka) wysokimi kosztami pozaodsetkowymi – mówi ekonomistka prof. Grażyna Ancyparowicz, były członek Rady Polityki Pieniężnej.

Przepisy opracowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości spotkały się z krytyką Koalicji Obywatelskiej. „Tak naprawdę ta ustawa lichwę wzmacnia. [...] Ten bubel prawny wypchnie ludzi w »czarną strefę« i tak naprawdę wpędzi najuboższych w łapy bandziorów. Czy klienci firm pożyczkowych, które znikną z rynku, pójdą do banków? Nie, będą pożyczać w bramie, a jak nie oddadzą pieniędzy na czas, to w ruch pójdą kije bejsbolowe” – mówiła w trakcie wrześniowej debaty nad ustawą Izabela Leszczyna, posłanka Koalicji Obywatelskiej.

W podobnym tonie wypowiada się Związek Banków Polskich, a media piszące o opinii ZBP na temat nowych przepisów przytaczają dokładnie te same argumenty i frazy, którymi posługuje się Izabela Leszczyna.



> Musieliśmy zmierzyć się z potężnym lichwiarskim lobby. Na każdym etapie ustawa napotykała problemy, na powielane na szeroką skalę fałszywe opinie medialne, na dezinformację. Firmy, które za tym stoją, dysponują dużymi pieniędzmi, mogły więc sobie pozwolić w mediach na wiele. Teraz nowe przepisy trafiły do Senatu
>
> ***Marcin Warchol,***
> *sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości*

„Jako Ministerstwo Sprawiedliwości od wielu lat walczymy o to, aby te przepisy zostały wprowadzone w życie. Niestety, napotykamy na przeszkody, czasami zupełnie nieoczekiwane. Środowisko lichwiarskie ma ogromne wpływy, dysponuje wielkimi pieniędzmi i ma wpływ na działanie niektórych przedstawicieli polskiego parlamentu. Stąd te problemy, te cuda nad tą ustawą i dziwne wydarzenia, które sprawiają, że tej ustawy nie udało nam się uchwalić” – mówił z kolei minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro podczas konferencji prasowej poświęconej tym przepisom.

TRUDNA HISTORIA PRZEPISÓW ANTYLICHWIARSKICH

To kolejny raz, kiedy Izabela Leszczyna i jej koledzy z Platformy Obywtelskiej usiłują ograniczyć ochronę państwa polskiego przed lichwą. Jeszcze w 2004 r. z inicjatywy posłanki Aldony Michalak (SLD) w Sejmie ruszyły pełną parą prace nad ustawą o kredycie konsumenckim, zwaną popularnie antylichwiarską.

– Do podjęcia prac nad ustawą zmobilizował mnie artykuł w „Rzeczpospolitej”, w którym rzecznik praw obywatelskich podawał przykłady kuriozalnych odsetek, którymi są obciążani pożyczkobiorcy. Kuriozalne były również wyroki sądów w tych sprawach. Sędziowie wydawali wyroki, zasądzali na rzecz kredytodawców odsetki ustawowe, licząc je dziennie. Była to sytuacja niesłychana. Byłam wówczas w sejmowej komisji finansów publicznych, a Polska była w procesie przedakcesyjnym do Unii Europejskiej. Było przyjmowanych mnóstwo ustaw, by przystosować nasze prawodawstwo do wejścia do Unii. Poprosiłam o weryfikację, jak wygląda sytuacja odsetek od pożyczek w krajach unijnych. Informacja dotycząca ustalania tych odsetek była wręcz powalająca. Regulacje ustawowe i bankowe na Zachodzie obligowały kredytodawców do trzymania się określonych limitów: maksymalnie w okolicach 10 proc. Pożyczki oprocentowane powyżej tej wartości były uznawane za lichwę i niedopuszczalne – opowiada Aldona Michalak.

Była posłanka wspomina, że wówczas na nowe przepisy niechętnie patrzyły nie tylko instytucje finansowe, ale również wielu polityków.

– Kiedy podjęłam prace nad ustawą, pojawił się ogromny opór. Lobby było bardzo silne, a naciski potężne, z zastra-

eprasa.pl a228ebe70a

szaniem włącznie. To są ogromne pieniądze, a lobbyści byli bardzo aktywni i widać to było również wśród polityków poszczególnych klubów, które były zaangażowane w pracę nad przepisami – przypomina Michalak.

INTERWENCJA AMBASADORA

Wrzawa, która wówczas podniosła się ze strony wielu środowisk, osiągnęła skalę międzynarodową. We wrześniu 2004 r. ambasador Wielkiej Brytanii w Polsce Charles Crawford wysyła do polskich ministrów list z kopią raportu opublikowanego przez brytyjskie Ministerstwo Handlu i Przemysłu. Przestrzega w nim przed negatywnymi skutkami wprowadzenia antylichwiarskich regulacji. Negatywnymi jednak nie tyle dla społeczeństwa, ile dla największej firmy pożyczkowej na polskim rynku – brytyjskiego Providenta. Kolejny list – zawierający ten sam raport – trafia od Mirosława Gronickiego, ówczesnego ministra finansów w rządzie Marka Belki (SLD), do sejmowej komisji finansów publicznych.

Prace nad ustawą antylichwiarską podjął w 2005 r. śp. Przemysław Gosiewski (PiS), który zauważył, że coraz mocniej wchodzące na polski rynek firmy pożyczkowe narzucają swoim klientom odsetki i koszty kredytu, których wartość potrafiła sięgać nie setek, ale tysięcy procent pożyczonej kwoty. W przygotowaniu przepisów z 2005 r. Gosiewskiemu pomagał przyjaciel z czasów studenckich Grzegorz Bierecki.

Już wówczas na Biereckiego rozpoczęła się medialna nagonka. Bianka Mikołajewska, związana z Piotrem Niemczykiem z Zarządu Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa, publikuje w tygodniku „Polityka" materiał, w którym usiłuje wywołać nastrój grozy związany z działalnością prowadzonych przez Biereckiego przedsięwzięć.

To fakt, który tylko pozornie nie jest związany ze zwalczaniem lichwy. Bo politycy Platformy Obywatelskiej i przychylne im media podnoszą larum za każdym razem, kiedy mają być naruszone interesy firm pożyczkowych. Podobnie było w 2021 r. Wówczas Izabela Leszczyna i Paulina Hennig-Kloska (Polska 2050) rozpętały histerię wokół nowych przepisów. Zdaniem posłanek próba ograniczenia kosztów kredytu zaciąganego w firmach pożyczkowych to kolejne niecne działania Prawa i Sprawiedliwości.

Innego zdania są ekonomiści.

– Polski rynek pożyczkowy obsługiwany przez parabanki trudno uznać za ucywilizowany. Mógł się takim stać, gdyby z premedytacją nie niszczono dynamicznie rozwijającego się systemu spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych – SKOK. Tam, gdzie przed laty były oddziały SKOK, dziś często panoszą się parabanki. W moim przekonaniu ataki na system SKOK były prowadzone nie w trosce o bezpieczeństwo finansowe członków kas, ale po to, żeby stworzyć przestrzeń do ekspansji dla różnej maści parabanków. I to się udało. No, prawie udało. Na szczęście tylko „prawie" – zaznacza prof. Ancyparowicz.



> Zmiany są potrzebne, bo w obecnym stanie prawnym ewidentne luki przepisów umożliwiały drenowanie portfeli osób, a nawet instytucji znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej przez obciążanie ich nieproporcjonalnie (w stosunku do ponoszonego przez firmę pożyczkową ryzyka) wysokimi kosztami pozaodsetkowymi
>
> ***prof. Grażyna Ancyparowicz,*** *członek Narodowej Rady Rozwoju, Rady ds. Społecznych przy Prezydencie RP*

ZA LICHWĄ STOJĄ LUDZKIE DRAMATY

Jak wynika z informacji Ministerstwa Sprawiedliwości, tylko w Gdańsku toczą się postępowania w sprawach strat sięgających 35 mln zł. Strat zwykłych Polaków, którym odebrano domy i mieszkania. Prokuratura bada tam ponad 2 tys. aktów notarialnych, oskarżyła kilku notariuszy. Popełniono ponad 430 przestępstw na szkodę ponad 250 pokrzywdzonych. Skala naruszeń jest gigantyczna.

Prokuratorzy obok działań karnych podejmują też działania cywilne mające pomóc ofiarom lichwy, wnosząc o stwierdzenie nieważności pożyczek lichwiarskich i odszkodowania na rzecz pokrzywdzonych oraz stosowne wpisy w księgach wieczystych.

– Ta pomoc często jest potrzebna, bo nieruchomości padały wielokrotnie łupem lichwiarzy – podkreśla Marcin Warchoł. – Kobieta, która pożyczyła 50 tys. zł, straciła pensjonat wart 2 mln zł. Mąż jednej z kobiet, która zgłosiła się do prokuratury, odebrał sobie życie po problemach z lichwiarzami. Takich dramatów jest wiele. Za każdym z nich kryją się zwykli ludzie – dodaje. Wiceminister zaznacza, że naruszenie interesów firm lichwiarskich wiąże się z furiackimi atakami na twórców nowych przepisów.

– Musieliśmy zmierzyć się z potężnym lichwiarskim lobby. Na każdym etapie ustawa napotykała problemy, na powielane na szeroką skalę fałszywe opinie medialne, na dezinformację. Firmy, które za tym stoją, dysponują dużymi pieniędzmi, mogły więc sobie pozwolić w mediach na wiele. Teraz nowe przepisy trafiły do Senatu. Posłowie PO nie zagłosowali w Sejmie za tą ustawą. Zobaczymy, jak zachowają się senatorowie. Liczę na refleksję – mówi Marcin Warchoł.

Fot. Piotr Małecki dla NBP

eprasa.pl a228ebe70a

Drewniana dezinformacja



Drewno – z niszowego tematu dla specjalistów stało się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Polacy przypomnieli sobie o jego właściwościach grzewczych, a różne środowiska zaczęły siać dezinformację w celu ochrony swoich interesów. O co tak naprawdę chodzi? O krociowe zyski branży drzewnej

Fala alarmistycznych w tonie newsów na temat sprzedaży drewna rozlała się nieprzypadkowo z początkiem jesieni. To moment, gdy Lasy Państwowe ogłosiły nowy regulamin sprzedaży tego surowca. W tej grze stawką są miliony metrów sześciennych drewna. Informacją rządzi dzisiaj czas – wygrywa ten, kto pierwszy narzuci swoją narrację, najlepiej najbardziej sensacyjną w tonie. Mało kto ma tyle determinacji, by weryfikować medialne rewelacje. Zwłaszcza że takie informacje przekazują organizacje branżowe, więc wydają się tym bardziej wiarygodne. Problem polega na tym, że są nieprawdziwe.

WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY!

Od wielu miesięcy przez media przetacza się narracja o rzekomym masowym eksporcie polskiego drewna do Chin. Winę mają ponosić Lasy Państwowe, które co prawda w ogóle drewna nie eksportują, ale przecież nie o prawdę chodzi, tylko o publiczne oskarżenie. Doskonałym tego przykładem jest artykuł na temat skokowego wzrostu eksportu drewna w Polsce – na stronie internetowej Portu Gdańsk pojawiła się informacja, że od stycznia do końca lipca br. przeładowano w tym porcie ponad 36 mln ton towarów – o 20 proc. więcej niż w analogicznym okresie ub.r. Największy skok wystąpił w drewnie – o 3150 proc.! I się zaczęło – internet aż się rozgrzał od oskarżeń, że Lasy Państwowe wysyłają dobro narodowe do Chin.

– Takie tezy postawiły nawet poważne media, podając dane z portu, ale nikt nie zweryfikował, skąd te wzrosty. Zrobili to dopiero leśnicy! – zauważa Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych.

Okazało się, że podawana na stronie portu dynamika +3151 proc. przeładunku drewna dotyczy 368 tys. ton drewna pochodzącego z... importu z Litwy, Estonii, Łotwy i ze Skandynawii. W porcie w Gdańsku to drewno jest pakowane w kontenery i wywożone do Chin, a niewielka ilość pozostałego drewna

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a228ebe70a

wyjeżdża samochodami do odbiorców w Polsce. Innymi słowy – to nie było polskie drewno.

Lasy Państwowe w ogóle nie są eksporterem drewna. Przez bezstronny system elektroniczny sprzedają drewno prywatnym firmom. A te czasami potem odsprzedają surowiec za granicę, gdy uznają, że to dla nich bardziej opłacalne niż przerób w kraju. Leśnicy nie mają na to żadnego wpływu. Mogą jedynie promować przy sprzedaży firmy, które deklarują, że zakupione drewno przerobią w Polsce.

ŻONGLERKA CENAMI

Żeby lepiej zrozumieć, na czym polega problem z handlem drewna, warto poznać, jak działa system sprzedaży drewna Lasów Państwowych dla przemysłu.

– Nie prowadzimy zwykłych licytacji na zasadzie „kto da więcej". Już wiele lat temu stworzyliśmy informatyczne narzędzia wsparcia dla stałych klientów. Chodzi o to, by przedsiębiorcy mieli stabilne warunki działania i gwarancje cen – podkreśla Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

W temacie świetnie za to poruszają się przedstawiciele firm drzewnych. Szczególnie ci, którzy kupują najwięcej metrów sześciennych drewna. I dlatego kiedy z ich ust płyną porównania cenowe, nie może być mowy o pomyłkach. To celowa dezinformacja.

– Kiedy chodzi o zaakcentowanie, że drewno podrożało, niższe ceny oferowane stałym klientom zestawia się z rekordowymi cenami z otwartych aukcji, gdzie ceny ustalają sami przedsiębiorcy, konkurując między sobą – wskazuje dyrektor Lasów Państwowych. – Ten sam chwyt stosują, gdy chcą wykazać, jakoby w Polsce drewno kosztowało najwięcej w Europie. Rekordowe ceny aukcyjne z Polski zestawiają ze średnią ceną w wybranych krajach.

Ta dezinformacja ma swoje duże luki w logice – mówi się o najdroższym drewnie w Europie, a jednocześnie zarzuca się, że polskie drewno jest wykupywane przez zagranicę. Skoro wszędzie wokół drewno jest tańsze, to komu opłaca się je sprowadzać z Polski? Ale przecież... nie o prawdę chodzi.

PRZYKŁADY BEZ WERYFIKACJI

W przestrzeni publicznej pojawia się także opinia, jakoby w Europie standardem było zabezpieczanie w drewno krajowych producentów. Przedstawiciel jednej z polskich organizacji branżowych podaje jako przykład Niemcy: jeśli odpowiednik polskich Lasów Państwowych sprzedaje drewno gdzieś pod Hanowerem czy Monachium, to Polak może co najwyżej ustawić się na końcu kolejki. Kupi dopiero, gdy swój apetyt nasycą firmy z Niemiec. Jak jest naprawdę?

– Nie ma jednej ogólnoniemieckiej organizacji „Lasy Państwowe". Każdy land zarządza lasami na własnych warunkach. Większość ma preferencje dla stałych niemieckich odbiorców podobnie jak w Polsce – tłumaczy Michał Gzowski, rzecznik LP. Niemiecka Rada ds. Leśnictwa wyjaśniła, że nie istnieją jakiekolwiek dodatkowe obostrzenia wykluczające czy utrudniające zakup firmom z innego unijnego państwa. Wszyscy podlegają tej samej procedurze sprzedaży uwzględniającej jasne i jawne preferencje dla niemieckich firm. Tak jak w Polsce.

WINNY POSZUKIWANY

Polski przemysł drzewny i meblarski to miara sukcesu naszej transformacji gospodarczej. Od 2010 r. branża podwoiła wartość produkcji sprzedanej. Wyjątkowy sukces miał miejsce w 2021 r. i w pierwszych miesiącach br. Ich miernikami są skokowy wzrost produkcji sprzedanej (z 28 do 39 mld zł), eksportu (z 4,5 do 5,8 mld euro) i wyjątkowo wysoka rentowność poszczególnych sektorów. Z tych sukcesów należy się cieszyć. Nie jest to zasługą Lasów Państwowych, tylko przedsiębiorczości firm z branży drzewnej. Tak samo nie jest winą Lasów Państwowych obecna redukcja zamówień, z której skutkami boryka się branża drzewna zarabiająca w ostatnich latach rekordowe pieniądze.

Jednak branża drzewna, zamiast szukać oszczędności czy nowych rynków zbytu, winą za rosnące ceny energii i komponentów do produkcji woli obarczyć Lasy Państwowe. – Lasy Państwowe nadają się najlepiej do roli głównego winowajcy. Duże państwowe przedsiębiorstwo, któremu łatwo odmówić przymiotów biznesowych. Dominujące na rynku dostaw, w dodatku którego zadaniem jest dostarczać surowiec polskiej gospodarce. To łatwy cel ataku – zauważa Michał Gzowski.

Stabilne zasady dostaw surowca to jeden z filarów bardzo dobrych wyników polskiego przemysłu drzewnego. Stabilność ta wynika jednak ze stałych zasad prowadzenia zrównoważonej gospodarki leśnej. Polscy leśnicy od dziesięcioleci pozyskują drewno według ściśle określonych limitów, tak by lasów co roku przybywało. Liczy się rozwój naszego narodowego dobra – polskich lasów. Nie mają tu znaczenia wahania popytu czy cen. Obecne obawy branży drzewnej przed spadkami jej zysków też nie będą mieć znaczenia. Leśnicy nie zaczną pozyskiwać więcej drzew, by biznes leśny mógł więcej zarobić.

Andrzej Dąbrowski

MITY KONTRA FAKTY

Nieprawda	Prawda
W 2021 r. drewno podrożało o 100 proc.	W 2021 r. drewno podrożało o 8 proc.
Leśnicy eksportują drewno do Chin i Niemiec.	Leśnicy w ogóle nie zajmują się eksportem.
Nowy regulamin sprzedaży oznacza wzrost cen o 60 proc.	Nowy regulamin sprzedaży wprowadza ceny wyjściowe na 2023 r. o 21 proc. niższe niż w 2022 r.
Lasy Państwowe nic nie robią, by powstrzymać eksport nieprzetworzonego drewna.	Lasy Państwowe wprowadziły nowe kryteria oceny ofert, które promują zaawansowany przerób w Polsce.
Leśnicy za dużo drewna kierują na otwarte aukcje, zamiast sprzedawać je stałym klientom.	Leśnicy kierują do stałych odbiorców aż 70 proc. pozyskiwanego drewna – zgodnie z zaleceniami UOKiK.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 10/1022/F

eprasa.pl a228ebe70a



Przyszłość zaczyna się w Podlaskiem

Światowa gospodarka gwałtownie się zmienia, a wydarzenia takie jak pandemia czy konflikt na Ukrainie wymuszają dostosowywanie się do nowych warunków nie tylko całych państw, ale i mniejszych podmiotów – regionów, regionalnych instytucji i przedsiębiorstw. Jak reagować na nowe zagrożenia, a jak wykorzystywać dostępne szanse? O tym rozmawiano podczas Podlaskiego Forum Ekonomicznego w Białymstoku

Samorządowcy, menedżerowie, politycy, eksperci, dziennikarze, influencerzy, a także goście zagraniczni, w tym wysocy rangą dyplomaci – łącznie ponad tysiąc uczestników w br. spotkało się w stolicy Podlasia, by rozmawiać na temat trendów w gospodarce, a także odpowiedzieć sobie na pytania dotyczące tego, jak rozwijać gospodarkę w niełatwej sytuacji popandemicznej i konfliktu na Ukrainie, jak skutecznie podejmować międzynarodową współpracę, wreszcie – jak prowadzić edukację, by nadążyć za pędzącymi naprzód realiami.

Jednak forum miało też silny akcent lokalny! Otwierając spotkanie, wicemarszałek województwa podlaskiego Sebastian Łukaszewicz, mówił o istotnym znaczeniu wydarzenia nie tylko dla regionu, ale także jego miejscu w Polsce... i na świecie!

– Stawiamy na umiędzynarodowienie województwa podlaskiego, choć sytuacja zagraniczna tego nie ułatwia – powiedział, odnosząc się do dramatycznej sytuacji na Ukrainie wicemarszałek Łukaszewicz. – Tylko współpraca ułatwia rozwój regionu, dlatego jeden z bloków forum poświęciliśmy kontaktom z rynkami azjatyckimi. To Podlaskie jest bramą do Unii Europejskiej, leżąc, dosłownie, w samym centrum Europy. Za kilka lat region stanie się ważnym regionem komunikacyjnym w Europie – mówił wicemarszałek, dodając, iż wiele podlaskich firm odnosi sukcesy właśnie na rynkach azjatyckich.

Azja podczas forum miała niezwykle silną reprezentację – na zaproszenie organizatorów przybyli dyplomaci z Japonii, Chin, Korei, Tajlandii i Wietnamu. Ich obecność nie była przypadkowa. Polska od lat dostrzega potencjał rynków azjatyckich. Jak jednak robić na nich interesy? I jak nasz kraj jest postrzegany na Dalekim Wschodzie?

DALEKOWSCHODNIA GRA

– 20 lat obserwowałem Polskę i jestem pod wrażeniem siły polskiej gospodarki. Japończycy bardzo pozytywnie oceniają Polskę i ciepło o niej myślą. Ta przyjazna atmosfera jest ważna, gdy chodzi o interesy – powiedział podczas wydarzenia Kamio Nobumitsu, I sekretarz Ambasady Japonii w Polsce. – Kryzys na Ukrainie zbliżył nas jeszcze bardziej. Jesteśmy świadomi działań Polski i Polaków np. na rzecz uchodźców. Nie jest łatwo znaleźć solidnych partnerów, ale Polska takim partnerem jest – podsumował.

To podobieństwa, a nie różnice kulturowe, były podkreślane wielokrotnie przez stronę japońską podczas forum. Japończycy zauważali, że tak jak pracownicy z Kraju Kwitnącej Wiśni polscy pracownicy mają silne poczucie szacunku dla swojej pracy i zaangażowania. I choć dla polskich firm japoński rynek nadal jest niełatwy do podjęcia potencjalnej ekspansji, to są szanse na zmianę tego stanu rzeczy – choćby przez współpracę z partnerami lokalnymi w Japonii.

– Japoński rynek nie jest rynkiem prostym – potwierdził Jumpei Kakinuma, dyrektor generalny Itochu Corporation. – Ale zdecydowanie można na nim prosperować. Dla Japończyków istotne są takie kwestie jak jakość wyrobów danej firmy, a także szacunek dla regionalności – znalezienie lokalnego partnera w Japonii może być połową sukcesu. Polskie firmy także mogłyby

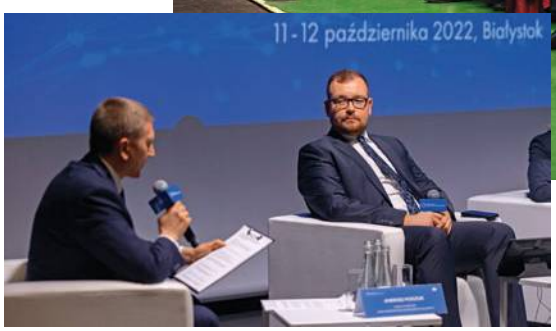
Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 52/0322/F

eprasa.pl a228ebe70a

konkurować ceną z firmami japońskimi, wyrabiając sobie solidną markę.

A co z innym, potężnym azjatyckim partnerem – Chinami? Bartosz Komasa z Bank of China, wskazał, że mimo trudności ostatnich lat współpraca i na tym polu wciąż postępuje. – Mimo arcytrudnych okoliczności przez ostatnie dwa lata widzę głównie wzrost i polepszenie naszych dwustronnych relacji. Tradycyjnie oczywiście nasi klienci eksportują do Chin głównie produkty spożywcze, doszła do tego branża meblarska, import to też elektronika. We wszystkich tych branżach nasi partnerzy ekonomiczni stali się nie tylko bardziej profesjonalni, ale także pewniejsi siebie i jednocześnie bardziej wymagający. Dziś zainteresowanie partnerów chińskich inwestowaniem w Polsce jest bardzo wysokie. Niemal wszystkie największe chińskie firmy e-commerce szukają w Polsce partnerów i magazynów, tu widać bardzo duży potencjał. Handel dwustronny notuje wzrosty, import nieustannie wzrasta – mówił Komasa.





EDUKACJA DLA PRZYSZŁOŚCI

Nie da się prowadzić współpracy bez edukacji. Jak ją dostosować do zmieniającego się świata? Jak wskazał Tomasz Kulasa z Ministerstwa Edukacji i Nauki, kluczowe jest określenie umiejętności, których potrzebujemy. – Z jednej strony edukacja musi kształcić specjalistów, a także należy rozwijać takie umiejętności, które wydają się oczywiste, a jednak niekoniecznie je mamy, np. komunikację, współpracę, liderowanie, radzenie sobie z porażką czy analizę krytyczną informacji – mówił reprezentant MEiN.

Potwierdza to Sebastian Rynkiewicz z Klastra Obróbki Metali. Jako przedsiębiorca Rynkiewicz posiada odmienną perspektywę, będąc niejako „odbiorcą" kształconych w systemie edukacji absolwentów.

– Współczesny świat stawia przed nami bardzo duże wymagania. Wymagane są nie tylko kompetencje twarde, ale też umiejętność dostosowania się. Uczelnie wyższe doskonale zdają sobie sprawę z tej potrzeby – mówił Rynkiewicz.

Jak powiedziała prof. Marta Kosior-Kazberuk, rektor Politechniki Białostockiej, uczelnie modernizują programy studiów zgodnie z oczekiwaniami rynku pracy. Oprócz znanych kierunków powstają nowe specjalizacje, pokrywające się z trendami rozwoju przemysłu. Ale powstają też całkiem nowe kierunki, jak choćby cyfryzacja przemysłu.

WSPARCIE

W niełatwym czasie postpandemii i wojny oprócz edukacji i współpracy kluczowe jest wspieranie firm. Jak to robić z głową? Jedną z możliwości są np. lokalne fundusze rozwoju, które wypełniają lukę między sektorem bankowym a wspieraniem przedsiębiorczości z poziomu centralnego. To, co wyróżnia takie wsparcie, jak mówił Artur Duda, szef Podlaskiego Funduszu Rozwoju, jest fakt, że lokalne fundusze nie są nastawione na zysk.

– Musimy się oczywiście bilansować, ale możemy bardziej elastycznie wspierać MŚP, niż np. robią to banki – zapowiadał Artur Duda. – Dzięki możliwościom, które teraz dał rząd, możemy wspierać firmy pożyczkami opartymi na mikrooprocentowaniu – co jest bardzo atrakcyjne dla firm. Zwłaszcza że doradcy udzielają informacji całkowicie bezpłatnie – dodał.

A co np. z ulgami podatkowymi dla firm? Nikodem Świdergał, radca prawny z R&D Tax Hub, przedstawił kwestię niekoniecznie powszechnie znaną. – Od 2016 r. w podatkach występuje coś takiego jak ulgi badawczo-rozwojowe, których niestety przedsiębiorcy trochę się boją. Pytani o te ulgi odpowiadają, że nie opierają się na dotacjach – wyjaśniał Nikodem Świdergał. Jak wskazał ekspert, definicja rozwoju i ulgi jest dla przedsiębiorców nieco inna – oczywiście działalność badawcza jest istotna dla uzyskania dotacji, ale i działalność rozwojowa, czyli tworzenie nowych produktów i wdrażanie ich na rynek. Innowacja niekoniecznie jest wysoką technologią – dla definicji ulg wyczerpuje je chociażby wprowadzenie nowego produktu w przedsiębiorstwie – wyjaśnił ekspert.

IDZIE NOWE

Biznes można wspierać także w sposób dostępny dla każdego – promocję w sieci. Influencerzy i marketingowcy, także obecni podczas imprezy, wskazywali, że to właśnie w sieci można najskuteczniej promować swoje wyroby, biznes lub samego siebie! Rafał Kupiński, ekspert ds. social mediów, wskazał, iż w wypadku jego przedsiębiorstwa istotna jest nie identyfikacja personalna, lecz identyfikacja marki. Jak wskazał, budowanie społeczności, która nam ufa, pozwala skutecznie promować i siebie, i inne firmy.

Na Podlaskim Forum Ekonomicznym poruszano naprawdę wiele tematów. Dzięki przyjętej przez organizatorów formule każde zagadnienie było dokładnie przeanalizowane i omówione. Tak rodzi się w Podlaskiem jedno z najciekawszych wydarzeń ekonomicznych w kraju, które warto wpisać sobie do kongresowych kalendarzy.

(AS)

eprasa.pl a228ebe70a

PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY
PREZYDENT.PL

MAŁOPOLSKA



Polski sport właśnie dostał swoje Davos

Pierwszy Europejski Kongres Sportu i Turystyki potwierdza, jak bardzo polski sport potrzebował takiego wydarzenia. Ekonomiści, politycy i przedstawiciele biznesu w Polsce mają mniej więcej stały kalendarz forów i kongresów w ciągu roku. Tymczasem sport w Polsce nie miał do tej pory ani jednej imprezy o takiej randze. I to się właśnie zmieniło



MAKSYMILIAN WYSOCKI

Zebrani w Zakopanem wybitni sportowcy, przedstawiciele administracji państwowej i samorządów podkreślali, jak wiele się w sporcie przez ostatnich kilka lat zmieniło na plus oraz jak ważne jest to, że administracja państwowa i Ministerstwo Sportu i Turystyki włączyło się w budowę sportowego soft power realnymi działaniami. Polski sport, niedoceniany przez dekady, czasem lekceważony, nadal ma przed sobą wiele wyzwań związanych z przeszłością, a jednocześnie ze zmieniającymi się trendami przyszłości.

ROSJI MÓWIMY „NIET"

W czasie oficjalnej gali Małopolski Laur Sportu na zakopiańskim EKSiT prezydent Andrzej Duda podziękował uczestnikom kongresu, a także sportowcom, działaczom i sponsorom, bez których sukces w sporcie zawodowym nie byłby dziś możliwy. Prezydent wspomniał, że sport ma także wymiar polityczny i w dzisiejszym świecie sportu nie ma miejsca dla Rosji i rosyjskich zawodników. – Chciałbym podziękować organizatorom, ministrowi sportu, panu marszałkowi województwa małopolskiego w trudnym i ważnym momencie. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że sport przeżywał w ciągu ostatnich lat ogromnie trudny czas. W związku z pandemią COVID-19 wiele wydarzeń było przerywanych, to wiązało się z ogromnymi tragediami wielu zawodników, organizatorów, wiele kłopotów i porażek finansowych, wiele straconych szans. Dziś stoimy w obliczu sytuacji jeszcze trudniejszej, w obliczu wojny wywołanej przez Rosję na Ukrainie, co samo w sobie jest ogromną tragedią o wymiarze ogólnoludzkim, ale ma także wymiar finansowy i wiąże się z ogromnym kryzysem finansowym – mówił prezydent Andrzej Duda. – Nie trzeba mówić nikomu także tego, jak ważny jest sport z politycznego punktu widzenia. Z jednej strony sport to rozwój młodzieży, zdrowie, tężyzna fizyczna, hart ducha, ale sport, zwłaszcza sukces – ten na najwyższym poziomie, ten który owocuje hymnami narodowymi

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a228ebe70a

i najwyższym stopniem podium – ma również niezwykle silny polityczny wymiar. Jest to bardzo trudne pytanie, co zrobić, jeśli kraj, który przez tyle dziesięcioleci przoduje w sporcie, nagle staje się agresorem i zabija ludzi w imię żądzy podboju i czystej neoimperialnej ambicji. Czy środowisko tak ważne jak środowisko sportu może takie działanie tolerować i udawać, że tego nie widzi? Dziękuję wszystkim tym, którzy to zrozumieli, często mimo osobistej sympatii z rosyjskimi sportowcami, tym, którzy zrozumieli, iż jest konieczność wykluczenia Rosji z wszystkich imprez sportowych – powiedział prezydent RP.

ZAANGAŻOWANIE I STRATEGIA

Sportowe Talenty – ogólnopolski program identyfikacji talentów sportowych oraz rozpoznawania predyspozycji motorycznych dzieci i młodzieży – to niewątpliwy sukces w rządowej strategii budowania silnego polskiego sportu. Zainteresowanie sportem jest bez wątpienia żywe, o czym świadczy bardzo aktywne uczestnictwo w panelach dyskusyjnych kluczowych przedstawicieli Ministerstwa Sportu i Turystyki – ministra Kamila Bortniczuka oraz sekretarza stanu Andrzeja Guta-Mostowego.

Minister Kamil Bortniczuk brał udział w panelach „Sankcje wobec Rosji – znaczenie dla przebiegu wojny i dla świata sportu", „Wspólna strategia wobec wojny. Czy międzynarodowe środowisko sportowe powinno stworzyć spójne zasady postępowania z agresorami?", „Sport w służbie rosyjskiej propagandy", „Wielkie imprezy w Polsce na przykładzie mistrzostw świata w siatkówce", „Sportowe Talenty – ogólnopolski program identyfikacji talentów sportowych oraz rozpoznawanie predyspozycji motorycznych dzieci i młodzieży", „Turniej »Z podwórka na stadion o puchar Tymbarku« i jego rola w upowszechnianiu sportu".

Andrzej Gut-Mostowy, sekretarz stanu w MSiT, wziął z kolei udział w panelach „Gotowość na zmiany – jak budować odporność turystyki w czasach niepewności?", „Igrzyska Europejskie Kraków Małopolska 2023 – największe wydarzenie sportowe 2023 r. na świecie wyzwaniem i wielką szansą promocji Polski", „Rola samorządu terytorialnego w rozwoju turystyki", „Wyzwania dla turystyki we współczesnym świecie".

Podczas trzech dni I Europejskiego Kongresu Sportu i Turystyki paneli było ponad 60, zebranych w ośmiu blokach tematycznych, a prelegentów 100. Było z kim i o czym rozmawiać oraz kogo słuchać.

Budowanie orlików było najlepszą receptą poprzedniej władzy z ekipy PO-PSL na cały polski sport i najpewniej jedyną, na którą było ją stać. Powodowało to, że nadal mistrzowie sportu w Polsce byli raczej samorodkami niż efektem działającego systemu. Powodowało to też, że w społecznej świadomości utrwalał się obraz piłki nożnej jako jedynej atrakcyjnej formy sportu. Dziś widzimy znaczącą zmianę – nie tylko działań jest więcej, ale i więcej międzynarodowych sukcesów polskiego sportu, także w dyscyplinach olimpijskich. Wciąż jednak zarobki każdego zawodnika ekstraklasy są znacznie wyższe niż sportowców, nawet polskich mistrzów olimpijskich, nie mówiąc już o zarobkach trenerów.

KOSZTY

Podczas dyskusji „Ile kosztuje nas olimpijski medal?" wszyscy zgadzali się co do tego, że większą uwagę trzeba poświęcić nie tylko zawodnikom, lecz także trenerom i infrastrukturze sportowej, której najzwyczajniej nadal brakuje. Zarówno Adam Korol, prezes Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich, mistrz olimpijski w wioślarstwie, Małgorzata Hołub-Kowalik, lekkoatletka i mistrzyni olimpijska z Tokio w sztafecie mieszanej 4x400 m, Ryszard Stadniuk, były prezes Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich, Apoloniusz Tajner, były prezes Polskiego Związku Narciarskiego, Tomasz Majewski, wiceprezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, czy Otylia Jędrzejczak, prezes Polskiego Związku Pływackiego, podkreślali wagę dofinansowania infrastruktury. Choć mieszkańcom dużych miast może się wydawać, że liczba basenów się zwiększyła, Otylia Jędrzejczak zaznaczyła, że czasem na trening pływacki trzeba jechać do sąsiedniego powiatu.

Sport nadal wymaga większych nakładów finansowych, także większego zaangażowania firm w sportowy sponsoring, bo choć w polskim sporcie jest dużo lepiej niż jeszcze dziewięć lat temu, niektórzy oceniali tę różnicę nawet w kategoriach przepaści, to nadal jest jeszcze dużo do zrobienia. Ryszard Stadniuk ocenił, że w przypadku niektórych dyscyplin, jeśli spojrzeć na cały proces, złoty medal może kosztować od kilku do nawet 14 mln zł. Żeby wytrenować dobrego sportowca, potrzeba też dobrego i zmotywowanego trenera, a jak podkreśliła Małgorzata Hołub-Kowalik, trudno o to, jeśli trener nie ma nawet na paliwo, by zawieźć podopiecznego na trening. Zmiana na tym polu wymaga współpracy administracji państwowej, związków sportowych i samorządów.

Uczestnicy kongresu byli też zgodni w kwestii niezbędnego wysiłku, by kłaść większy nacisk na lekcje wychowania fizycznego w szkołach oraz konieczności stymulowania uczniów do efektywnego udziału w lekcjach WF. Mistrzowie olimpijscy i trenerzy, z którymi rozmawialiśmy w kongresowym studiu tv wPolsce.pl, zwracali uwagę na potrzebę pracy nad postawą rodziców. Sukcesy naszych sportowców – zwłaszcza Roberta Lewandowskiego czy Igi Świątek – sprawiły, że rodzice przestają traktować sport jak pasję, a zbyt często wywierają niewspółmierną do potrzeb presję zdobycia mistrzostwa na miarę Lewego.

Europejski Kongres Sportu i Turystyki w Zakopanem, który zakończyło uroczyste wręczenie nagród dla osób wspierających polski sport, z pewnością można uznać nie tylko za imprezę udaną, ale i bardzo potrzebną. Z rąk ministra sportu Kamila Bortniczuka nagrodę ambasadora sportu odebrał Marian Kmita, dyrektor ds. sportu w telewizji Polsat i twórca kanału Polsat Sport. Nagroda innowatora sportu trafiła do twórcy idei „Pucharu Tymbarka", dyrektora Grupy Maspex, Krzysztofa Pawińskiego. Nagrodę za wspieranie polskiego sportu i sponsoring wielu imprez sportowych odebrał członek zarządu PKN Orlen Adam Burak.

Polski sport doczekał się w końcu swojego Davos i można śmiało powiedzieć, że EKSiT w Zakopanem na stałe wpisze się w kalendarze najważniejszych wydarzeń kongresowych.

eprasa.pl a228ebe70a



GÉRARD DEPARDIEU AKTOR

Obywatel świata i jego wina

Jako 13-latek porzucił szkołę i uciekł z kolegą z rodzinnego Châteauroux. Celem był Paryż. Oba miasta dzieli ponad 200 km.

Jeszcze w Châteauroux jako dzieciak okradał stacjonujących w mieście amerykańskich żołnierzy. Potem handlował zdobycznymi papierosami i whisky. Po latach wspominał, że doskonale wie, co znaczy żyć na marginesie, nie dojadać, ale najważniejsze dla niego – było i nadal jest – życie na własnych warunkach. Oznacza to też konflikty z prawem, a nawet więzienie (trafił do niego, gdy zabrał się za kradzież samochodów i biżuterii). Przystojnemu chłopakowi nieobce było też prostytuowanie się i ochranianie w zamian za mieszkanie dam lekkich obyczajów. Już jako uznany artysta powtarzał, że dobry aktor to taki, który wiele doświadczył.

Był chłopakiem bez wykształcenia, z kryminalną przeszłością (miał trudności z pisaniem oraz czytaniem, więc pierwsze lata w Paryżu upłynęły mu na nauce), a stał się gwiazdą kina, z którą chcieli pracować tacy mistrzowie jak Bertolucci czy Truffaut. Za sprawą ekranizacji sztuki „Cyrano de Bergerac" wykosił konkurencję w Cannes i jako nominowany do Oscara znalazł drogę za ocean. Ameryka przyniosła mu m.in. rolę w „Zielonej karcie" Petera Weira, „Czystej formalności" Giuseppe Tornatore, „Człowieku w żelaznej masce" Randalla Wallace'a czy „Vatelu" Rolanda Joffé. Dużo też grał w Europie.

Wśród ponad 200 filmowych postaci pojawił się też komiksowy Obeliks. Dzięki potężnemu wojowi aktor zadomowił się w legendarnej Galii. Złośliwi mówili, że w kolejnych produkcjach coraz mniej potrzebował charakteryzacji. Podobnie jak jego bohater folgował sobie w jedzeniu i piciu, jakby rekompensując głodowanie w dzieciństwie.

Wiele podróżował – jako aktor i winiarz. Trafił też nad Wisłę. W 2011 r. mówił w wywiadzie: „Jestem zakochany w Polsce i bywam tu regularnie. Myślę, że Polska to kwintesencja słowiańskości – jesteście otwarci i bardzo przebojowi, z dużą fantazją. Obserwuję wasz kraj od początku lat 80. i dziś się cieszę razem z wami, że możecie korzystać z wszystkich dobrodziejstw demokracji. Waszymi braćmi są Ukraińcy, zwłaszcza ci z zachodniej części kraju. Rosjanie są bardziej zamknięci i zacięci...".

Nie minęło wiele czasu, a zweryfikował swoje poglądy. W grudniu 2012 r. – po tym, jak francuski rząd wprowadził 75-proc. podatek dla najbogatszych – postanowił zostać... Belgiem. Kilka dni później Władimir Putin zaproponował mu rosyjskie obywatelstwo i Depardieu je przyjął, stając się jednym z najgorętszych piewców Rosji oraz jej przywódcy. Twierdził nawet, że czuje się Rosjaninem.

W sierpniu 2014 r. deklarował: „Kocham Rosję i Ukrainę, która jest częścią Rosji" (mieszkał wtedy w rosyjskim Sarańsku), ale już w 2015 r. powiedział: „Jestem Francuzem, który będzie płacił podatki w Belgii". W 2018 r. ogłosił, że przeniesie się na stałe do Algierii.

Kilka tygodni po agresji Rosji na Ukrainę skrytykował „szalone, niedopuszczalne ekscesy" i apelował do Putina o negocjacje. W następstwie tych wypowiedzi władze rosyjskie postanowiły rozważyć odebranie aktorowi wszystkich jego dóbr znajdujących się na terenie federacji.

Gdzie teraz mieszka Gérard Depardieu i co robi, gdy schodzi z filmowych planów? Autor tekstu zamieszczonego w magazynie „La Belle Vie!" (towarzyszącym tegorocznej edycji French Touch) pisze: „Ostrygi, pasztet z dziczyzny i wino o 10 rano to dla aktora normalny dzień. Ten prawdziwy francuski epikurejczyk uwielbia dobre restauracje, lokalne produkty oraz wyborne wina, i to w dużych ilościach". By ułatwić sobie podróżowanie „mnoży paszporty".

Ulubionym winem Depardieu jest Haut-Brion. W latach 80. ub.w. zainwestował w winiarski biznes, kupując posiadłość Château de Tigné nad Loarą. Od tego czasu „jego dziedzictwo winiarskie rozwija się w Burgundii, regionie Bordeaux i za granicą: we Włoszech, Argentynie, Hiszpanii, na Węgrzech".

Depardieu postawił na wina, które długo leżakują. Mówi o nich, że są jak haute couture, w które każdy może się ubrać. Jest też właścicielem sklepów spożywczych i restauracji znajdujących się Paryżu. Nazywa siebie obywatelem świata, a przede wszystkim – wolnym człowiekiem.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a228ebe70a



SŁODKO-SŁONY

Kulinarna tożsamość

ANNA MONICKA

Przeglądając przepastne zasoby Facebooka, natknęłam się na genialny post – odezwę „Chwastożercy", zaadresowaną do, cytuję, „polskich restauratorów, kierowników (menedżerów), kelnerów, kucharzy, szefów kuchni, blogerów i celebrytów kulinarnych, a także do rzetelnych kręgów slowfoodowych w Polsce!

Nie tłumaczcie nazw polskich klusek (ani innych potraw) na obce języki. Nie ma potrzeby. Jest za to potrzeba promocji nazw polskich.

Tłumaczenie takie przynosi wielką stratę kulturową polskiej gastronomii. Innoziemcy też chcą poznać nasze rodzime nazwy, tak jak i my poznajemy i przyswajamy te od nich. Nikt w Polsce nie mówi »sznureczki po bolońsku«, lecz raczej »spaghetti bolognese« [bolo'ńeze], a przecież to są właśnie sznureczki bolońskie. Nikt nie mówi »kiszonka«, gdy robi lub je kimchi, a to jest właśnie kiszonka. Nikt nie mówi »przecier«, gdy robi i je pesto, a to jest właśnie przecier (od pestare – przecierać).

Skoro nie tłumaczycie zagranicznych nazw, to dlaczego nie dajecie polskich nazw turystom? Dlaczego w kartach restauracyjnych są tak absurdalne tłumaczenia jak placki ziemniaczane na pancakes albo twaróg na cottage cheese?"

Trudno się z tym nie zgodzić. Sprawa przypomina tłumaczenie tytułów filmów. Pamiętacie, jak z „Dirty Dancing" zrobiono „Wirujący seks"?

Można się z tego problemu pośmiać, ale – tu znów cytat z posta – „Tłumaczenie polskich nazw potraw, SZCZEGÓLNIE W RESTAURACJACH, prowadzi do nieobecności polskich potraw w światowym dyskursie gastronomicznym i do osłabiania wiedzy o naszych skarbach kulinarnych, ale przede wszystkim do osłabienia Polaków świadomości ciągłości i ogromnej wagi naszego dziedzictwa nazewniczo-kuchennego, lingwistyczno-gastronomicznego.

NAZWA = TOŻSAMOŚĆ".

Konkludując – jeśli goście z zagranicy chcą zjeść nasz skarb narodowy, czyli barszcz, gąszcz, schaboszczak lub żur, niechże nauczą się wymawiać nazwy tych dań! Wszyscy będą mieli dobrą zabawę, a na wypadek, gdyby próba artykulacji jednak się nie powiodła, w kartach dań powinny pojawiać się piękne zdjęcia lub wysmakowane ilustracje.

Dla chętnych podaję przepis na coś prostego (do wymówienia i zrobienia), czyli kluski. Kładzione, moje ulubione, ale nie z mąki pszennej. Szklankę mąki owsianej ukręć z jednym lub dwoma jajkami (zależy od wielkości), odrobiną soli i łyżką mleka. Kładź łyżką na wrzątek, gdy wypłyną – podawaj, najlepiej do gulaszu.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Nowy ul

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pszczoły miodne *Apis mellifera* to owady społeczne. Ta bardzo rzadka w przyrodzie forma organizacji (pojawiająca się też u mrówek, krewetek i golców) ma swoją specyfikę. Przynosi korzyści, pozwalając odnosić sukces i odgrywać fundamentalną rolę w przyrodzie. Jednocześnie sprawia, że różne formy ingerencji z zewnątrz mogą odbijać się na społeczności w trudny do przewidzenia sposób.

Od jakiegoś czasu, hodując kolejne pokolenia pszczół, dążono do uzyskania owadów mniej agresywnych, nieżądlących, nierzucających się od razu w szale na ludzi, a dzięki temu łatwiejszych i bezpieczniejszych w obsłudze. Niekiedy pszczoły są tak spokojne, że w zasadzie otwierając ul i przeglądając kratki z plastrami, nie trzeba zakładać stroju ochronnego. To z jednej strony zaleta, jednak zmiana od razu odbiła się nie tylko na pszczelich społecznościach, ale na całym gatunku.

Mniej agresywne pszczoły nie czyszczą bowiem uli z chorych osobników, na skutek czego choroby szybko przenoszą się między pszczołami i opanowują całą rodzinę – obecnie trudno jest spotkać ul, który by nie chorował, a tabliczki takie jak np. „Zgnilec amerykański pszczół – obszar zapowietrzony" są widywane coraz częściej.

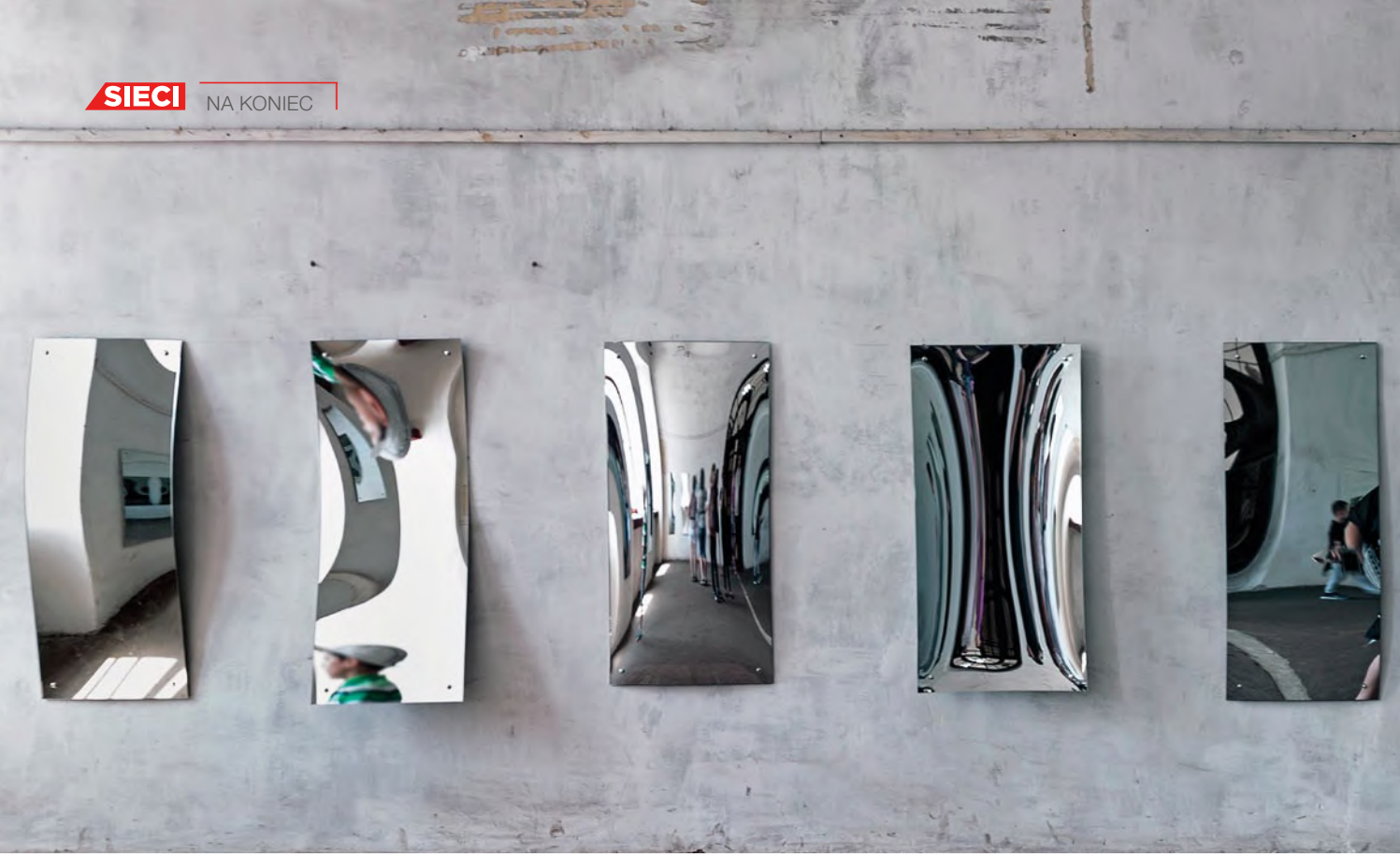
Drugi przykład dotyczy królowych. Obecnie królową, oznaczoną kolorowym numerkiem na tułowiu, po prostu się kupuje. Jest już zapłodniona. Jeżeli pszczoły z ula przyjmą ją i zaakceptują, będzie rodzić kolejne pszczele pokolenia, obsługiwana przez krótko żyjące robotnice, których zadaniem jest także opieka nad larwami, zbieranie pyłku i nektaru, obrona ula, poszukiwanie nowych miejsc z pożytkami czy dalekie niekiedy i niebezpieczne wyprawy po wodę.

W pszczelej społeczności są jeszcze trutnie. Ich rolą jest zapładnianie królowej. Jeżeli jednak królowa nie wymaga zapłodnienia, trutnie stają się w zasadzie niepotrzebne (oczywiście z formułowaniem takich stwierdzeń trzeba być ostrożnym, przyroda wielokrotnie pokazała, że to, co człowiekowi wydawało się niepotrzebne, w rzeczywistości było niezbędne).

Dlatego tak ważne są ochrona i wspomaganie dzikich rojów. Programy przywracające dzikie pszczoły w lasach, istotne zarówno dla ochrony pszczół, jak i funkcjonowania ekosystemu leśnego, są prowadzone od jakiegoś czasu przez leśników.



eprasa.pl/a228ebe70a



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Pora aniołów

Jesień to pora aniołów. Andrei Pleşu, rumuński antropolog, filozof religii i polityk, prześladowany przez komunistyczny reżim z zakazem publikowania, późniejszy minister kultury (1989–1991) i spraw zagranicznych (1997–1999) Rumunii, w latach 2000–2004 członek Narodowego Kolegium ds. Badań Archiwów Securitate, był autorem bardzo inspirujących prac o aniołach. W jednej z książek („O aniołach”, 2003) pisał, co dawniej mówiono o tych wysłańcach niebios. Przypomniał, że są też swoistym niebiańskim drugim „ja” człowieka. I że ów wzór towarzyszy nam zawsze, czyli od urodzenia, jako pewien idealny portret. I byłoby wskazane, byśmy z ową potencjalną stroną naszego doskonałego wizerunku pozostawali w stałym dialogu i łączności.

ANIOŁ STRÓŻ I INNI POSŁANI NA RATUNEK

Jak naucza Kościół, anioł jest bytem stworzonym, duchowym, osobowym i nadprzyrodzonym. Szczególny kult Aniołów Stróżów rozwinął się na początku XVII w. Od 1670 r. ich święto jest obchodzone w całym Kościele. W 1608 r. ustanowił je papież Paweł V. Szczególną modlitwę do Anioła Stróża zalecał św. Ojciec Pio. Nauka o Aniołach Stróżach i o aniołach płynie z Pisma św. i Magisterium Kościoła, przekazuje ją Tradycja, w tym szczególnie świadectwa świętych i błogosławionych. Aniołowie Stróże są posłani na pomoc i ratunek, prowadzą do Boga i życia wiecznego. Strzegą nie tylko dzieci, które z ufnością proszą o pomoc, ale i każdego, kto się do nich zwraca, aż do kresu życia, a potem towarzyszą dalej.

Angelologia naucza, że anioł jest istotą duchową. Jego funkcją zasadniczą jest pośredniczenie. Greckie „angelus” oznacza posłańca, hebrajskie „malak” podkreśla czynność anielską – posłania do kogoś. Dlatego anioł to także posłaniec w ogóle, nie tylko istota nadprzyrodzona, ale może też człowiek, którego spotykamy na swojej drodze, a który niesie nam szczególne przesłanie, mądrość, ostrzeżenie – zwykle nagle i nieoczekiwanie.

GRUPY ANIELSKIE

Imiona aniołów wiążą się z ich funkcjami: „Michał” – hebr. mika-el „któż jak Bóg”, to pogromca smoka, szatana. „Gabriel” – hebr. gabri-el „mąż Boży”, „moc Boża”. To on ukazuje w Ewangelii św. Łukasza najgłębsze tajemnice dziejów zbawienia. „Rafał” to hebr. rafa-el –

eprasa.pl a228ebe70a

„Bóg leczy, uzdrawia, zbawia", to anioł podróży, pomocnik w podstawowych sprawach naszego codziennego życia, anioł bożej zapłaty. Według przekazów Biblii aniołowie ukazują się w swojej przynależności do grup anielskich. I tak przykładowo Rafał jest jednym z siedmiu aniołów (Tb 12,5), Michał jednym z najwyższych książąt anielskich (Dn 10,13).

Aniołowie Stróże jak wszystkie byty anielskie są czysto duchowe i jako takie aktywne są na pograniczu między Bogiem i człowiekiem. Księga Rodzaju zawiera także wzmianki o aniołach jako istotach osobowych. Zwłaszcza gdy spełniają Boże polecenia, przybierają różne postacie. Ikonografia często przedstawia ich jako uskrzydlone serafiny, uwielbiające Boga (Iz 6, 2–3).

Aniołowie, wysłannicy Boga, pełnią – jako się rzekło – także funkcję eschatologiczną. Ta wskazuje na ich zadanie przy sądzie ostatecznym. Poza aniołami dobrymi istnieją też źli. Teologia mówi tu o osobowym złu, przeszkadzającym realizacji Bożych zamiarów. O aniołach nauczają Ojcowie Kościoła, w tym św.św. Klemens, Jan Chryzostom, Augustyn, Leon Wielki, Ireneusz czy Grzegorz z Nyssy. Ale także Orygenes, Tacjan czy Atenagoras.

Angelologia rozwijała się szczególnie żywo w okresie średniowiecza – św. Tomasz z Akwinu pisał o aniołach w „Summie teologicznej" i dziele „O duchowych stworzeniach".

Kościół, opierając się na Piśmie św. i Tradycji, naucza, że aniołowie mogą ukazywać się w snach, wizjach czy nawet na jawie. W tym ostatnim wypadku mówi się o angelofaniach, jedną z nich jest ta, opisana w Ewangelii św. Mateusza: „Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg. Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby umarli" (Mt 28, 3–4).

STRAŻNICY DRÓG

Teologia naucza, że każdy z nas ma swojego Anioła Stróża. W Księdze Psalmów czytamy: „Bóg swoim aniołom dał rozkaz o tobie, aby cię strzegli na wszystkich swych drogach. Na rękach będą cię nosili, abyś nie uraził swej stopy o kamień" (Ps 91,11).

Tradycja naucza o Aniołach Stróżach poświęconych narodom, państwom, są aniołowie od wojska, rodu, domu. Anioł opiekujący się rodem ma cieszyć się poszanowaniem, posłuszeństwem, gdyż opiekuje się nim przez całe życie i ochrania, prowadząc do zbawienia. Opieka Anioła Stróża objawia się szczególnie – jak naucza Biblia – ludziom sprawiedliwym, żyjącym w stanie łaski uświęcającej, w chwilach szczególnych życiowych prób. Św. Jan Damasceński powiada, że aniołowie uosabiają miłość Bożą ku człowiekowi, niosą Bożą troskę i opiekę.

Według filozofa Dunsa Szkota zadaniem Aniołów Stróżów jest ochrona ludzi, także grzeszników, przed atakami złych duchów, by skłonić do nawrócenia i wkroczenia na drogę łaski. Ojciec Kościoła Bazyli Wielki pisał: „Każdy wierny ma u boku swego anioła jako opiekuna i stróża, by prowadził go do życia". Katechizm Kościoła Katolickiego dodaje: „Już na ziemi życie chrześcijańskie uczestniczy – przez wiarę – w błogosławionej wspólnocie aniołów i ludzi, zjednoczonych w Bogu" (KKK, nr 336). Teologia przypomina, że obecność Anioła Stróża nigdy nie przestaje być aktualna. Także w wieczności. Człowiek ogląda oblicze Boga w obecności swojego Anioła Stróża. A jest on szczególnie obecny w chwili śmierci, u kresu ziemskiego wędrowania.

> Anioł jest naszym niebiańskim drugim „ja", który towarzyszy nam od urodzenia jako pewien idealny portret nas samych

Perspektywa powszechnej woli zbawczej Boga pozwala założyć, iż Anioła Stróża mają także niewierzący i grzesznicy. Anioł Stróż służy pomocą Bożą ku zbawieniu każdemu. A szczególnie ważna jest jego modlitwa wstawiennicza, gdy przedkłada prośby w naszych intencjach przed Boży Tron. Anioł Stróż służy dobrymi natchnieniami, umacnia duchowo, ma moc ingerować w bieg nie tylko naszych spraw duchowych, ale także tych na planie materialnym, takich jak ratunek przed ciężką chorobą, niespodziewanym zagrożeniem, niebezpieczeństwem, nieszczęściem, a nawet śmiercią. Przed uzależnieniem od niepokonalnego uzależnienia i grzechów śmiertelnych. Jest jednak jedno „ale". Pomoc bożego Anioła zakłada naszą wolną wolę i współpracę z łaską Bożą.

ŚPIEWAJĄ I… MILCZĄ

Błogosławiony Josemaria Escrivá de Balaguer w „Bruździe" pisał o Aniele Stróżu: „Anioł Stróż towarzyszy nam zawsze jako świadek wyjątkowy" i zauważa, prosząc czytelnika: „Dlatego nie zapominaj nigdy o swoim Aniele Stróżu, a ten Książę Niebieski nie opuści cię ani teraz ani w tym decydującym momencie".

Przywołany na wstępie Andrei Pleşu zauważa, że w pewnym sensie najważniejszym zajęciem niebieskich hierarchii jest śpiew. Wysławiają one bezustannie świat stworzony, a zwłaszcza jego stwórcę. Mówi to Ewangelia św. Mateusza w rozdziale 24: „Pośle On swoich aniołów z trąbą o głosie potężnym".

Na koniec jeszcze zdanie z Pleşu: „Anioły milczą, tak jak umieją milczeć na ogół natury służebne. Ich milczenie jest najwyższą formą posłuszeństwa, radykalnym znakiem pełnej pokory, intensywnym oczekiwaniem na Boży rozkaz. Tym, co »słychać« w tym milczeniu, jest maksymalna receptywność woli drugiego. Mnisi, którzy starają się naśladować zwyczaje aniołów, nigdy nie są bliżej celu jak wtedy, kiedy milczą".

POST SCRIPTUM

Tekst był napisany na okoliczność październikowego święta Aniołów Stróżów, ostatecznie jednak się nie ukazał. Jednak na prośbę czytelników, argumentujących, że skoro już został napisany, to może warto, by jeszcze został przeczytany, z przyjemnością tekst ten publikuję.

dr hab., prof. AKSiM, religiolog, medioznawca, członek KRRiT

eprasa.pl a228ebe70a

Stawiam na młodych



Alina Czerniakowska

Chciałoby się wierzyć, że wokół żyją ludzie mądrzy, dobrze wychowani, kulturalni, wrażliwi na dobro i piękno, a jednocześnie stawiający sobie wymagania i mający ambicje im sprostać. („Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali" – JP2, Westerplatte 1987). Tymczasem wystarczy przejść się ulicą, by czar tych wyobrażeń przygasł. Nie jest rzadkością wulgarny język młodych – wydawałoby się – światłych ludzi w miejscach publicznych, nonszalanckie, prymitywne zachowanie, rzucanie opakowań po jedzeniu gdzie popadnie. Trudno liczyć na mądre postępowanie takich ludzi w życiu rodzinnym, społecznym, na dokonywanie właściwych wyborów. Żyją na zasadzie „byle było fajnie". Chcą w ten sposób być modni, nowocześni, europejscy, a stają się karykaturą tych wszystkich pojęć.

Młody człowiek trzymający napis „wolne sądy", zapytany, co przez to rozumie, odpowiada z tępym uśmieszkiem, cedząc słowa – „no, żeby były wolne sądy". W podobnym stylu padały odpowiedzi uczestniczek protestów wspierających aborcję, były tylko bardziej szokujące. Młoda dziewczyna mówi – nie urodziłabym kalekiego dziecka, bo to chyba nie jest człowiek, a starsza kobieta dodaje – aborcja najlepiej reguluje liczbę urodzeń, bo chemia jest bardziej szkodliwa...

Młodzi ludzie są tacy jak ich rodzice, domy rodzinne, szkoły, nauczyciele. Sprawdza się porzekadło – czym skorupka za młodu nasiąknie... Często spotykam się na pokazach swoich filmów dokumentalnych z uczniami, których w większości niezbyt interesują poważne sprawy – historia, literatura, polityka. Nie lubią się wysilać, myśleć, przychodzą, bo lepiej posiedzieć na filmie niż na lekcji. Ale jeśli film nie jest nudny, dobrze zrobiony i prawdziwy, budzi się w nich zainteresowanie, zaczynają spostrzegać, że prawda może być inna od tego, czym są bombardowani na co dzień. W czasie dyskusji tworzy się wyraźny podział – na tych, którzy są przekonani, że rację mają znani, podziwiani przez nich celebryci, medialne autorytety, a nie jakieś tam śmieszne oszołomy, patrioci. Powtarzają gotowe formułki, zasłyszane w mediach lewicowo-liberalnych. I na tych, którzy szukają prawdy, mają wiedzę o wielkich Polakach, docierają do filmów, dokumentów, nierozreklamowanych książek, których trzeba poszukać, znają historie rodzinne, walki swoich przodków w czasie wojny, powstania warszawskiego, świetnie rozumieją, o co chodziło żołnierzom wyklętym. Właśnie ci nieliczni młodzi doskonale widzą grę interesów, kłamstwa i krętactwa obecne Polsce i na świecie. Świetnie rozeznają się w polityce i interesach Niemiec i Rosji.

Zaskakująca była dla mnie rozmowa z 16-latkiem, zadawał sensowne pytania – dlaczego Polacy nie buntują się, gdy inni nas obrażają, niszczą dobre imię, dlaczego boimy się mówić prawdę, dlaczego jesteśmy zastraszeni przez kłamców. Ze zdziwieniem słuchałam, z jaką pasją i dumą mówił o Polsce ten młody chłopaczek. Pomyślałam, więc: „Nie jest tak źle".

Żyjemy w natłoku informacji, na ogół złych, sensacyjnych, bo takie szybko znajdują odbiorców i przynoszą dochód. Brakuje piękna, czasu na refleksję, okazji do zamyślenia i prostych wniosków, że przecież są wokół nas wspaniali ludzie. Dr Wanda Półtawska, bliska znajoma krakowskiego kapłana, papieża Jana Pawła II, autorka niezwykłej książki pt. „Beskidzkie rekolekcje", mówi: „Stawiam na młodych, to dzisiaj lepsza część naszego narodu. W nich żyje duch prawdy i piękna, Wojtyła też na nich stawiał". Mogłam przekonać się o tym osobiście w szkole w Jońcu niedaleko Warszawy, gdy zostałam zaproszona na wieczór poświęcony Janowi Pawłowi II. Jadąc na to spotkanie, myślałam: „Znowu będzie jakaś kolejna rutynowa szkolna akademia", a tu nagle zobaczyłam coś niezwykłego – opracowania, wykonania, dobory tekstów, muzyki, układu i reżyserii – wszystko na najwyższym poziomie. A przecież nie jest łatwo wybrać odpowiednio krótkie teksty z ogromnej twórczości Jana Pawła II, nadać im chronologię, puentować fragmentami Ewangelii, akompaniując, połączyć z odpowiednimi pieśniami i muzyką. Dziewczęta i chłopcy – odświętni, uroczyści – z wielkim zaangażowaniem i nad podziw dużymi umiejętnościami aktorskimi odgrywali powierzone im role, wymieniając szybkie, kontrolne spojrzenia ze swoją reżyser, panią od biologii i chemii Elżbietą Krysiak. O tej nauczycielce można by wiele opowiadać oprócz przedmiotów, których uczy, ukończyła też teologię. Codziennie kilka kilometrów do szkoły dojeżdża rowerem, zabiera uczniów na różne wyprawy, pojechała nawet z nimi do Lwowa, by pokazać i przybliżyć młodym utraconą przedwojenną Polskę. A wszystko za przyzwoleniem i pod czujnym okiem pani Bożeny Jaworskiej, dyrektorki Zespołu Szkół w Jońcu.

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród" – jakże prawdziwie rozbrzmiała tu w pięknym pejzażu nad rzeką Wkrą ta pieśń do słów Marii Konopnickiej. Wtedy powracała Norwidowska triada – „Piękno na to jest, by zachwycało / Do pracy – praca, by się zmartwychwstało". Ale by tak było potrzebni są nauczyciele, którzy potrafią wydobyć ze swoich uczniów to, co najpiękniejsze, najwartościowsze i dać im radość z dobrego wypełniania powierzonych zadań. JP2 liczył na młodych, ale przede wszystkim ich kochał, dawał przykład, jak żyć, czym się kierować, żeby nie zmarnować życia, bo tylko raz je dostajemy.

To wszystko czytelnie i pięknie wybrzmiało na wieczorze w szkole w Jońcu, też mojej szkole, bo tu kończyłam ostatnie dwa lata podstawówki, a teraz było mi podwójnie miło, bo przy okazji tak świetnie opracowanej uroczystości zostałam uhonorowana Odznaką Wybitnego Absolwenta z wygrawerowanym pięknym cytatem z Jana Pawła II: „Człowiek nie może przecież oprzeć swego życia na czymś nieokreślonym, na niepewności albo na kłamstwie, gdyż takie życie byłoby nieustannie nękane przez lęki i niepokój. Można zatem określić człowieka jako tego, który szuka prawdy".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Reklama | 40/0822/F

eprasa.pl a228ebe70a

PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna

Dworce przyjazne każdemu

- Dworce łatwo dostępne i pozbawione barier
- Proekologiczne technologie z myślą o środowisku
- Udogodnienia dla rodzin z dziećmi i osób starszych







eprasa.pl/a228ebe70a

PRZEZ ŚWIETLIK

48 godzin



Wiktor Świetlik

Człowiek powinien rozwijać się przez całe życie, także ćwicząc swój umysł. Już dawno dowiedziono, że osoby, które dużo czytają, rozwiązują zadania logiczne czy do późnego wieku są czynne zawodowo, jak np. naukowcy, mają szanse na dłuższy przebieg. W tej sytuacji nie można nie docenić troski Donalda Tuska o swój elektorat.

Otóż po dość kuriozalnym artykule w „Newsweeku", w którym znany dziennikarski mitoman przekonywał, że to Kreml stał za zwycięstwem PiS w 2015 r., Donald Tusk znalazł niezwykle wiarygodnego świadka. Było to w poniedziałek. Już w środę świadek okazał się absolutnie niewiarygodny, kiedy okazało się, że twierdził także, iż Tusk junior nosił tacie większe ilości gotówki w reklamówce z popularnej sieci dyskontowej. Wszyscy to znamy.

Przeurocze było jednak obserwowanie, jak z sytuacją radzi sobie najbardziej twarde ogniwo naszego społeczeństwa. Twarde i ciężkie, szczególnie jeśli chodzi o samodzielne myślenie, czyli tzw. Silni Razem, wraz ze swoim organem z ul. Czerskiej. Cirque du Soleil przy tym siada. Akrobaci z Państwowej Szkoły Sztuki Cyrkowej w Julinku mogą się po tym pakować i zapisywać na kursy księgowości albo zająć szydełkowaniem. Ewolucje lotnicze i spadochroniarskie to przy tym nudziarstwo i łatwizna. Ale podołali. Świadek, którego zeznania w poniedziałek były morderczo precyzyjnie prawdziwe, w środę okazał się mitomanem zmuszonym przez pisowską prokuraturę do kłamania. To wprost niezwykłe, do jakich rzeczy może zmusić ludzki mózg stresująca sytuacja.

Pamiętam, że kiedy pracowałem w tabloidzie, to były tam jakieś badania, które mówiły, że pamięć czytelnika sięga dwóch tygodni. Czyli tekst może nie identyczny, ale zbliżony można po dwóch tygodniach powtórzyć. Ale Silni Razem wraz ze swoim organem byli w stanie po prostu zapomnieć o tym, co było, i uwierzyć w dokładnie odwrotną tezę w ciągu 48 godzin od postawienia poprzedniej. Tak szybko prawda etapu nie działała ani w PRL, ani nawet u Orwella. To rekord świata. To jakby skrzyżować umysły ludzki i mniej inteligentnej rybki akwariowej albo muchówki. Aż dziw, że w tej ostatniej sprawie nie doradzał znajdujący się już poza PO prof. Niesiołowski. Chapeau bas. A jak znam życie, to autor książki pod tytułem „Szczerze" nie powiedział jeszcze w tej sprawie ostatniego słowa.

Szkoła przetrwania



Lech Makowiecki

Prawdziwa wojna za wschodnią granicą skłania nas do szukania survivalowych patentów na niespokojne czasy. Pandemia, atak terrorystyczny, klęska żywiołowa czy globalny krach finansowy stawiają wyzwania, z jakimi do tej pory nie było nam dane się mierzyć. Wszak wyłączenie prądu, przerwa w dostawach żywności, brak wody pitnej i opieki medycznej zagrażają nie tylko egzystencji, ale i życiu. Jeśli nawet zgromadzimy jakieś zapasy, to czy uda się nam obronić je przed plądrującymi okolicę bandami głodnych, uzbrojonych i brutalnych rabusiów?

Gdy więc dojrzałem na półce księgarni tytuł: „Jak przeżyć koniec świata" eksperta od tzw. preppingu, byłego oficera wywiadu armii USA J. W. Rawlesa, natychmiast nabyłem i jednym tchem przeczytałem tę „biblię przetrwania". I odpadłem już na starcie... Amerykańskie recepty na przeżycie nijak się mają do naszej rzeczywistości. W kraju, w którym zwykłe mieszkanie w bloku wciąż jest dobrem luksusowym, budowanie w dziczy oddalonej od zagrożonych metropolii i głównych szlaków komunikacyjnych zamaskowanej warowni, otoczonej drutem kolczastym, dołami-pułapkami, wyposażonej w generatory prądu, noktowizory, niezawodne środki łączności, magazyn żywności, paliwa, broni (?!), leków, narzędzi (w tym rolniczych), posiadającej skarbiec i tzw. bezpieczny pokój (czyli schron), zagrodę dla zwierząt hodowlanych, pole uprawne lub ogród – toż to dla normalnie zarabiającego Polaka pomysł księżycowy.

Autor idzie dalej: przewidując problem z dostawami paliwa, radzi zakupić aż cztery pojazdy: diesla z napędem na cztery koła, samochód na gaz, benzynę oraz... ciągnik gąsienicowy. Widać, że Stany Zjednoczone nigdy nie zaznały okupacji. Zapewne te specyficzne „porady" rozbawiłyby dziś do łez mieszkańców Ukrainy.

PS Moi dziadkowie prowadzili swe autarkiczne gospodarstwa zupełnie bez elektryczności, a żołnierze wyklęci potrafili przetrwać zimę w lesie. Szkoda, że nie napisali o tym żadnego poradnika.

Reklama | 57/0922/F

eprasa.pl a228ebe70a

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO



Zobacz, jak zmienia się Polska dzięki Programowi Inwestycji Strategicznych

Wartość przyznanych promes inwestycyjnych BGK: **58,4 mld zł**
Więcej na bgk.pl/inwestycje

Program realizowany jest poprzez promesy inwestycyjne Banku Gospodarstwa Krajowego

eprasa.pl a228ebe70a

Michał Korsun prezentuje:
Lotnisko Kaliningrad – akcja „otwarte niebo”



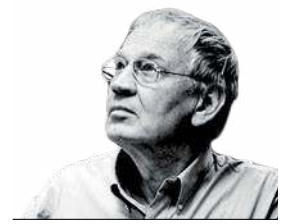
Wycinki z przeszłości

W natłoku wydarzeń świąteczno-noworocznych ta rocznica zapewne w ogóle nie zostanie zauważona, więc z wyprzedzeniem odnotowujemy w naszym kąciku okrągłą, 30. rocznicę rozpadu Czechosłowacji. Dokonało się to 31 grudnia 1992 r. 1 stycznia powstały Republika Czeska i Republika Słowacka. Z tej okazji publikujemy trzy znaczki wydane jeszcze w CSRS, czyli rządzonej przez komunistów Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej.

(mk)



Przygrywka przedzaduszna



Leszek Długosz

Kto mi akurat teraz podsunął te wiersze Karola Wojtyły? Biskupa Krakowa, biskupa Rzymu, papieża Jana Pawła II, świętego, aktora, dramaturga, poety, filozofa, pracownika fizycznego. Dla mnie przez pewien czas tu, w Krakowie, można rzec – sąsiada. Ile go było? Ile z niego mamy? Nawet z tego wiersza, który czytam właśnie i który przyszło mi do głowy powtórzyć w sieciowej rubryce. To choćby do zapamiętania, uspokojenia, uładzenia się z sobą: „w tej ciszy ukryty – liść / oswobodzony od wiatru / Już się nie troskam o żaden z upadających dni / gdy wiem, że wszystkie upadną”.

Ot taka, pomyślałem, przygrywka przedzaduszna.

Karol Wojtyła (1920–2005)

„Miłość mi wszystko wyjaśniła...”

Miłość mi wszystko wyjaśniła,
Miłość wszystko rozwiązała
– dlatego uwielbiam tę Miłość,
gdziekolwiek by przebywała.
A że się stałem równiną dla
cichego otwartą przepływu,
w którym nie ma nic
z fali huczącej, nieopartej
o tęczowe pnie,
ale wiele jest z fali kojącej,
która światło w głębinach odkrywa
i tą światłością po liściach
nieosrebrzonych tchnie.

Więc w tej ciszy ukryty ja – liść,
oswobodzony od wiatru,
już się nie troskam o żaden z upadających dni,
gdy wiem, że wszystkie upadną.

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Reklama | PK/1022/F

eprasa.pl a228ebe70a



ZAPEWNIAMY BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE

Strategia dywersyfikacji realizowana w ostatnich latach przez **Rząd Rzeczpospolitej Polskiej i PGNiG przyniosła Polsce suwerenność energetyczną.** Jednym z jej filarów jest **gazociąg Baltic Pipe**, który poprzez Danię, połączył Polskę ze złożami gazu w Norwegii. Już dzisiaj Polska jest krajem zabezpieczonym pod względem dostaw gazu – dzięki dostawom gazociągiem Baltic Pipe (z własnego wydobycia i podpisanych kontraktów), dostawom skroplonego gazu ziemnego poprzez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu a także własnemu wydobyciu krajowemu i dostawom poprzez Terminal LNG w Kłajpedzie oraz zapełnionym magazynom gazu. **Potrzeby klientów PGNiG w zakresie dostaw gazu będą w pełni zaspokojone zarówno w obecnym sezonie, jak i w latach kolejnych.**

PGNiG

eprasa.pl a228ebe70a



OD A DO ZYBERTOWICZA

Wolne sądy, czyli z deszczu pod rynnę

Czy sędziowie nie powinni być wolni od lęku przed tym, co na temat ich orzeczenia napisze jakaś gazeta, np. „Wyborcza”?

Jest poniedziałek 18 października, chyba już zbliża się godzina 19. Pada deszcz. Stoję na przystanku autobusowym na Krakowskim Przedmieściu naprzeciwko hotelu Bristol. Myślę sobie, że to był ciekawy dzień.

Z rana lektura horrendalnego tekstu w polskim „Newsweeku” i przegląd opozycyjnego spinu na jego temat w mediach społecznościowych: logikę klasyczną zastąpiła tu szczególna *logika* spodziewanych politycznych efektów. Później niebanalne spotkanie w gronie analityków na temat „intelektualnego” zaplecza rosyjskiej polityki na ziemiach podbitych podczas obecnej inwazji Ukrainy. Rozmowa w cztery oczy z politykiem, od którego bardzo wiele zależy w Polsce. Po południu briefing z przedstawicielami ważnej organizacji międzynarodowej o tym, jak nowe technologie zmieniają oblicze wojny na Ukrainie.

Przyjeżdża autobus 222, do którego wsiadam. W autobusie nie pada – logiczne. Zamyślony, po kilku przystankach dostrzegam, że pani, która siedzi naprzeciwko mnie, ma na kurtce naklejoną (przypiętą?) sporą plakietkę z napisem „Wolne sądy” – kontur Polski i nad nią czarne kruki? Chyba w autobusie nie było zbyt jasno.

Jako że jestem niemal świeżo po wyroku Sądu Okręgowego w Warszawie, który wydaje mi się wolny m.in. od... logiki, zastanawiam się, na czym w przypadku inicjatywy, którą popiera moja współpasażerka, ma polegać wolność naszych polskich sądów.

Rozumiem, że w zasadzie inicjatorom, aktywistom i wspierającym ich sympatykom chodzi chyba o to, by sądy były wolne od nacisków ze strony władzy politycznej. I tu się z nimi w pełni zgadzam. Ale przecież na tym – toczą się moje autobusowe skojarzenia – problem wolności sądów się nie wyczerpuje.

Czy sędziowie mogą być wolni od etosu ciężkiej pracy i przychodzić na rozprawy bez znajomości akt? Doświadczyłem tego lata temu w Sądzie Rejonowym w Toruniu, gdy sędzia prowadząca sprawę włamywacza, który wśród wielu innych „odwiedził” także nasze mieszkanie, zachowywała się tak, jakby w ogóle nie wiedziała, po co znajduje się na tej sali.

Czy sędziowie mogą być wolni od znajomości przepisów prawa, według których mają orzekać, w tym od wiedzy o orzecznictwie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka? Tak zachowali się bowiem inni sędziowie, którzy lata temu orzekali we wszystkich instancjach w procesie, który wytoczył mi Adam Michnik.

Czy sędziowie mogą być wolni od zdrowego rozsądku, który m.in. domaga się zachowania proporcji przy osądzaniu spraw oraz odróżniania argumentacji polityczno-ideologiczne od argumentów ściśle prawniczych?

Czy dokonując – jako ważnej części procedury swojego postępowania – interpretacji wypowiedzi językowych sędzia może *arbitralnie* decydować, jakie znaczenie nadać słowu z wypowiedzi, która w naturalny dla ludzkiej komunikacji codziennej sposób jest wieloznaczna, zatem nieprecyzyjna? Czy zatem sędzia może być wolny od wiedzy o kanonie kulturowym polskiego języka?

Czy sędziowie mogą orzekać, będąc wolnymi od logiki, która pozwala, jeśli uwzględnimy naturalny kontekst zdarzenia będącego przedmiotem sporu, wyciągać proste wnioski co do interpretacji słów będących przedmiotem sądowego sporu?

Czy sędziowie nie powinni być wolni od lęku przed tym, co na temat ich orzeczenia napisze jakaś gazeta, np. „Wyborcza”?

Czy nie powinni być wolni od nacisków swojego środowiska zawodowego, którego część z tą gazetą oraz innymi „wolnymi” (ale nie od zagranicznych wpływów) mediami jest aż nazbyt blisko *zaprzyjaźniona*?

Czy sędziowie powinni być wolni od ulegania aurze celebrytwa, która spowodowała, że twórczość popularnej piosenkarki została uznana za okoliczność łagodzącą w przypadku kierowania autem pod wpływem alkoholu?

Mam nadzieję, że siedząca naprzeciw mnie pani z autobusu, może już emerytka, wyglądająca nieco w klimacie aktywistek Komitetu Obrony Demokracji, popiera inicjatywę „Wolne sądy” w dobrej wierze. Pewno poświęca *sprawie* sporo swojej energii. Ciekaw jestem, czy wolność sądów rozumie podobnie, jak naszkicowałem w tym tekście. A może napisze polemikę?

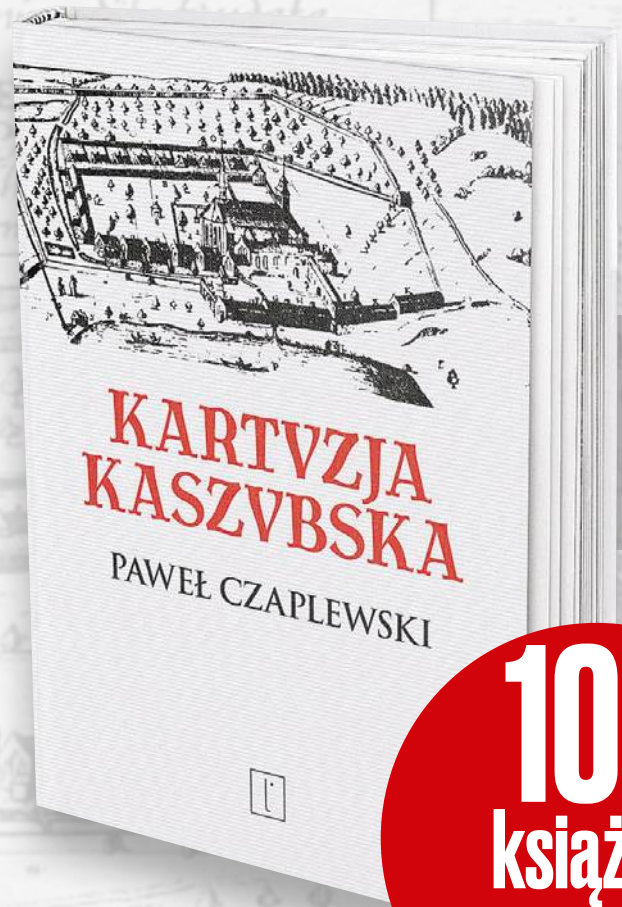
Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 8/0822/F

eprasa.pl a228ebe70a

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI



400 lat pięknej historii klasztoru w Kartuzach – od fundacji w 1382 r. po zabór dóbr przez króla pruskiego w 1772 r.

100 książek w prezencie



Fot. pbc.gda.pl

Książkę **„Kartuzja Kaszubska”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **265 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA SIECI i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl a228ebe70a

Więcej, szybciej, lepiej!

Z APLIKACJĄ **ORLEN VITAY** ZAWSZE ZYSKUJESZ!

Ekstrapunkty i dodatkowe rabaty dzięki atrakcyjnym kuponom w aplikacji.

Mobilne płatności bez podchodzenia do kasy.

Wirtualna karta VITAY zawsze w zasięgu ręki.



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację **ORLEN VITAY**

eprasa.pl a228ebe70a